

WYDAWNICTWO MATERIAŁÓW DO DZIEJÓW
ZAMOJSZCZYZNY W LATACH WOJNY 1939–1944
POD REDAKCJĄ Dr ZYGMUNTA KLUKOWSKIEGO

TERROR NIEMIECKI W ZAMOJSZCZYŹNIE 1939 – 1944

ZAMOŚĆ 1945

TERROR NIEMIECKI



Dr Zygmunt Klukowski.

Zdjęcie pochodzi z zasobów Archiwum Państwowego w Zamościu

WYDAWNICTWO MATERIAŁÓW DO DZIEJÓW
ZAMOJSZCZYZNY W LATACH WOJNY 1939–1944
POD REDAKCJĄ Dr ZYGMUNTA KLUKOWSKIEGO

TERROR NIEMIECKI W ZAMOJSZCZYŹNIE 1939 – 1944

ZAMOŚĆ 1945

WYDAWNICTWO MATERIAŁÓW DO DZIEJÓW
ZAMOJSZCZYZNY W LATACH WOJNY 1939–1944
POD REDAKCJĄ Dr ZYGMUNTA KLUKOWSKIEGO

TOM I.

Copyright © by:
Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej Okręg Zamość
Fundacja Szczepreszyn Kultur
Roztoczański Park Narodowy

ISBN 978-83-951553-0-7

A – 2429

TŁOCZONO W DRUKARNI POWIATOWEJ RADY NARODOWEJ W ZAMOŚCIU

REPRINT – 2018

DRUKARNIA ATTYLA S.J. ZAMOŚĆ, UL. PARTYZANTÓW 61, WWW.ATTYLA.EU

DEDICATION

It is with great honor as representative of the Klukowski-May family to dedicate these volumes to the citizens of Szczepieszyn. The Remembrance Day of July 22, 2018 is the 74th anniversary of the town's liberation from the forces of the German Army. These volumes have been specially prepared for you as a way of remembering those who lived through the horrific Occupation period of five years.

ANDREW GEORGE KLUKOWSKI

Hua Hin, Thailand, July 17, 2018

DEDYKACJA

To dla mnie wielki zaszczyt, że jako wnuk Zygmunta Klukowskiego i członek z rodziny Klukowski – May, mogę dedykować tę książkę mieszkańcom Szczepieszyna.

Niech upamiętnia ona, tak jak zorganizowane 26 lipca 2018 r. obchody 74. rocznicy wyzwolenia miasta z rąk niemieckiego okupanta tych, których udziałem było te straszne pięć wojennych lat.

ANDREW GEORGE KLUKOWSKI

Hua Hin, Tajlandia, 17 lipca, 2018 r.

PRZEDMOWA

Dr Zygmunt Klukowski był dla Szczepieszyna i całej Zamojszczyzny postacią niezwykłą. Urodził się w Odessie w 1885 r. w polskiej rodzinie ziemiańskiej. Jego ojciec Jordan prowadził aptekę, zaś matka Felicja zajmowała się domem. W 1892 r. wraz z rodziną przeniósł się do Moskwy. Tam ukończył gimnazjum, zaś wiosną 1904 r. zdał maturę i zapisał się na studia medyczne na Uniwersytet Moskiewski. W 1905 r. władze carskie zamknęły Uniwersytet z powodu wrzenia rewolucyjnego wśród studentów, dlatego Klukowski przeniósł się na studia medyczne do Krakowa na Uniwersytet Jagielloński.

Już w gimnazjum należał do tajnej organizacji uczniowskiej, podobnie na studiach brał czynny udział w strajkach studenckich, a po przeniesieniu do Krakowa z polecenia konspiratorów z PPS zajmował się przerzutem tzw. bibuły do Warszawy. W czasie I wojny światowej służył jako lekarz w armii rosyjskiej na froncie w Prusach Wschodnich.

W wolnej Polsce od października 1919 r. kierował (jako dyrektor) szpitalem przylegającym do kościoła pw. św. Katarzyny w Szczepieszynie oraz prowadził prywatną praktykę w miasteczku.

Śmiało można stwierdzić, że w Szczepieszynie dr Klukowski był instytucją. Szpital, którym kierował w prowincjonalnym miasteczku, ciągle się rozwijał, zaś jego dyrektor był animatorem życia kulturalnego w regionie. Organizował niezliczone spotkania, odczyty i wystawy dotyczące książek. Rozbudzał pasję czytelnictwa wśród dzieci i młodzieży, zgromadził jeden z największych na Lubelszczyźnie prywatnych księgozbiorów, liczący ponad 10 tysięcy woluminów (znacz-

na jego część to dzieła z historii medycyny i Zamojszczyzny). Dzięki jego staraniom w Zamościu w 1923 r. powstało Koło Miłośników Książki, które reaktywowało w 1927 r. Bibliotekę Miejską.

Dr Klukowski redagował też „Tekę Zamojską – Kwartalnik Regionalny” – jeden z najbardziej cenionych periodyków tego typu w II RP. Ponadto był popularyzatorem wiedzy i kultury, autorem z zakresu historii regionu i medycyny (członek Instytutu Filozofii i Historii Medycyny w Poznaniu, Miłośników Książki w Krakowie i wielu innych) oraz współpracownikiem Polskiego Słownika Biograficznego.

W 1939 r. został zmobilizowany jako oficer rezerwy i dostał przydział do jednostki we Włodzimierzu Wołyńskim. Po powrocie do Szczepieszyna od początku okupacji stał się aktywnym członkiem konspiracji. Należał do ŻWZ, potem do AK. Był lekarzem oddziałów partyzanckich działających na Zamojszczyźnie. Podobnie jak w okresie międzywojennym, również podczas okupacji prowadził swój dziennik, który po wojnie stał się jednym z najbardziej cenionych przez historyków źródłem do okresu niemieckiej okupacji w Generalnym Gubernatorstwie oraz jednym z najbardziej przerażających i przejmujących świadectw Zagłady.

W okresie okupacji dr Klukowski był kilkakrotnie przez Niemców aresztowany, ale zawsze po opuszczeniu więzienia mógł kontynuować pracę jako dyrektor szpitala. Warto podkreślić, że autor dziennika z dnia na dzień notował bardzo dokładnie opisy wydarzeń, które widział lub o których mu opowiadano. Jego styl cechowała piękna fraza, lekkość i brak emfazy. Zapiski były wolne od autocenzury i autokreacji, zaś sam przekaz zdominowany przez świadomość o tym, że jego praca będzie ważna dla potomnych, dlatego powinien przekazywać jak najwięcej konkretnych faktów.

Po wojnie dr Klukowski nadal prowadził swoje zapiski, jednocześnie prowadząc praktykę lekarską. Nadal był też członkiem AK oraz sympatyzował z członkami organizacji poakowskich. Nie porzucił też działalności na niwie kultury i pracy na rzecz dobra wspólnego. Z jego inicjatywy powołano Komitet Odbudowy Szkół, dzięki czemu już 1 września 1944 r. dzieci ze Szczepieszyna mogły rozpocząć naukę w normalnych warunkach, zaś w 1948 r. wznowiła działalność Miejska Biblioteka Publiczna.

Był też świadkiem i dokumentalistą niemieckiego terroru. Zeznawał podczas pierwszego procesu załogi niemieckiego obozu koncentracyjnego w Auschwitz oraz na procesie w Norymberdze.

Po roku 1944 dr Klukowski był kilkakrotnie aresztowany przez władze komunistyczne. W 1952 r. skazany został na 10 lat więzienia we Wronkach za zatajenie informacji o udziale swojego syna Tadeusza (zamordowany w 1953 r. w więzieniu przy Rakowieckiej w Warszawie) w organizacji „Kraj”. Na wolność wyszedł w maju 1954 r. i szybko został zrehabilitowany, lecz pobyt w więzieniu mocno nadźwignął jego stan zdrowia. W 1958 r. wydane zostało jego najbardziej znane dzieło „Dziennik z lat okupacji Zamojszczyzny”, za które dostał nagrodę tygodnika „Polityka” w 1959 r. W czerwcu tegoż otrzymał też największe odznaczenie bibliofilskie – Order Białego Kruka ze Wstęgą Białej Myszy. Kilka miesięcy później w listopadzie 1959 r. dr Klukowski zmarł po długiej walce z chorobą nowotworową. Został pochowany na cmentarzu w Szczepieszynie.

Warto podkreślić, że dr Zygmunt Klukowski najbardziej jest znany jako autor „Dziennika z lat okupacji Zamojszczyzny”, ale był też współautorem i pomysłodawcą jednego z pierwszych wydawnictw o charakterze źródłowym dokumentujących ogrom zbrodni popełnionych przez okupanta niemieckiego na Zamojszczyźnie. W latach 1945-1947 ukazały się cztery tomy okupacyjnych wspomnień zredagowanych przez Klukowskiego jako wydawnictwo seryjne pt. **Wydawnictwo materiałów do dziejów Zamojszczyzny w latach wojny 1939-1944**. Zbiór wspomnień i relacji miał następujące tytuły: **Terror niemiecki na Zamojszczyźnie 1939-1944** – Zamość 1945, **Zamojszczyzna w walce z Niemcami 1939-1944** – Zamość 1946, **Niemcy i Zamojszczyzna 1939-1944** – Zamość 1946 oraz **Dyweryjacja na Zamojszczyźnie 1939-1944** – Zamość 1947.

Wspomnienia te i relacje napisane i złożone jeszcze w czasie okupacji lub bezpośrednio po jej zakończeniu przez świadków i uczestników wydarzeń, mają kapitalne znaczenie źródłowe i w wielu miejscach stanowią, zdaniem historyków, materiał znacznie przewyższający treści prezentowane na łamach wydanego później przez doktora „Dziennika”. W czterech tomach został zgromadzony materiał wspomnieniowy złożony zarówno przez wybitnych dowódców oddziałów partyzanckich takich jak Konrad Bartoszewski ps. Wir, szeregowych partyzantów oraz osoby o różnym wykształceniu i statusie społecznym, które były świadkami niemieckiego terroru na Zamojszczyźnie.

Na pomysł takiego wydawnictwa źródłowego dr Klukowski wpadł jeszcze w okresie okupacji, słusznie zakładając, że przeżywane wojenne dni staną się z czasem punktem znamionnym w historii

narodu polskiego. Ten doświadczony wydawca, bibliofil, regionalista i baczny obserwator wojennej codzienności niemal z chwilą zakończenia działań wojennych przystąpił do pracy mającej charakter dokumentalno-źródłowy. Mimo licznych obowiązków zawodowych i działalności na polu społecznym przystąpił do pracy, której efekty czytelnicy mogli poznać już w czerwcu 1945 r.

Sam pomysłodawca był świadom, że wiele osób, które odgrywały istotną rolę w lokalnych społecznościach, zginęło w czasie okupacji, wielu świadków wydarzeń rozproszyło się po wyzwoleniu, a inni zostali przez władze komunistyczne aresztowani, dlatego zbieranie materiałów postanowił rozpocząć bezzwłocznie. Głównym założeniem była zbiórka nie tylko wspomnień i relacji, ale też materiałów, dokumentów, opracowań statystycznych o najróżniejszym materiale historycznym, które dotyczyły wojennej historii regionu zamojskiego. Jako Zamojszczyznę określono powiaty zamojski, biłgorajski, tomaszowski oraz częściowo hrubieszowski i janowski/kraśnicki. Warto wskazać, że przynajmniej w pierwszych miesiącach po wyzwoleniu władze komunistyczne były dość mocno zainteresowane wydawnictwem źródłowym pod redakcją Klukowskiego, bowiem wpisywało się ono znakomicie w nurt rozliczeniowy hitleryzmu na ziemiach polskich. Z biegiem czasu pojawiły się jednak problem z wydaniem kolejnych tomów, które wynikały przede wszystkim z innego już nastawienia nowej władzy. Klimat polityczny lat 1945-1947 i swoje „podzielenie się” władzą komunistów z opozycją sprawiło, że mimo licznych trudności udało się wydać cztery kolejne tomy źródeł. Kolejny tom, jakim był „Dziennik”, ukazał się bowiem już po przełomie politycznym 1956 r.

Wraz ze zbieraniem materiałów źródłowych, autor rozwijał też koncepcję samego wydawania kolejnych tomów. Miały mieć one charakter problemowy i przynajmniej częściowo stanowić odpowiedź na oczekiwania społeczeństwa. W trakcie prac nad trzecim tomem Klukowski zapowiedział, że przygotowuje zbiór dokumentów i relacji do, jak sam to określił, „Czarnej księgi”, która miała zawierać materiał o działalności między innymi agentów i konfidentów niemieckich oraz następstwa ich działań w regionie.

Ze względu na ogromne problemy w zgromadzeniu właściwego materiału (wielu świadków obawiało się składać wspomnień na

piśmie dotyczących tej materii) relacje te nigdy nie zostały wydane. Podobnie było z zapowiedzianą „Księgą Poległych na Zamojszczyźnie”.

Co ciekawe, kolejny tom materiałów przygotowywanych przez Klukowskiego miał dotyczyć problematyki żydowskiej i Zagłady, ale niestety z przyczyn politycznych nigdy się nie ukazał. Mimo to wiele przerażających opisów o postawach Polaków wobec społeczności żydowskiej, demoralizującego wpływu okupacji na życie mieszkańców małego miasteczka i gorzkiej prawdy o naturze ludzkiej, udało mu się zawrzeć na łamach „Dziennika”.

Ukazanie się pierwszego tomu materiałów źródłowych do historii Zamojszczyzny okresu okupacji wywołało od samego początku liczne zapytania i polemiki. Coraz więcej osób pojawiało się w redakcji u samego Klukowskiego, by podzielić się swoimi wspomnieniami lub doprecyzować poznane z wydanych materiałów historie. Pierwsze wydane tomy „Materiałów do dziejów Zamojszczyzny” stały się również przetomem, jeśli chodzi o badania historyczne. Z założenia miał to być materiał o charakterze regionalnym, ale praca poczyniona przez dr Klukowskiego stała się wzorcem do działania w innych regionach kraju. W 1946 r., już po ukazaniu się drugiego tomu „Materiałów...”, wybitny prawnik Alfons Klafkowski tak pisał na łamach „Przeglądu Zachodniego” o pracy dr Klukowskiego: „Zamojszczyzna w walce z Niemcami 1939-1945 wydobywa na światło dzienne te materiały archiwalne, które przetrwały wojnę. A wiadomo każdemu, jak trudno było przetrwać wojnę tego rodzaju materiałom. Toteż dalszym, niezwykle cennym rysem omawianego wydawnictwa jest fakt tak szybkiego wydobywania materiałów z głębokiego ukrycia. Można sobie łatwo wyobrazić, ile pracy musiał włożyć redaktor wydawnictwa w skupienie tych materiałów, zaprowadzenie jakiego takiego rozdzielnika, sprawdzenie ich itd. – czyli w całą pracę krytyczną. Dalej trzeba sobie dopowiedzieć wyobraźnią, ile trudu kosztuje przekonanie ludzi patrzących z bliska na przebieg okupacji niemieckiej – zwłaszcza w takim terenie jak Zamojszczyzna – ażeby już dzisiaj spisywali swoje przeżycia i te wypadki historyczne, które nie powinny uść z pamięci ludzkiej.(...) Prace dr Klukowskiego, rozwijając się w zarysowanej dotychczas linii, zmusza redaktora do objęcia nimi całej Polski. Z tego względu zasługują one też na znacznie szersze poparcie niż to, które temu wydawnictwu udzielono (...) Tego rodzaju prace są bardzo kosztowne ale są dla historii polskiej konieczne”.

Oceniając działania dokumentalno-edytorskie dra Zygmunta Klukowskiego z lat 1945-47, należy podkreślić przede wszystkim ich pionierski charakter. Zgromadzone relacje, wspomnienia oraz dokumenty niemal bezpośrednio po zakończeniu działań wojennych na Zamojszczyźnie mają charakter unikatowy. Samo określenie celu działania, opracowanie metodologiczne zebranego materiału oraz jego uporządkowanie wzbudziło podziw i uznanie nie tylko wśród historyków na Lubelszczyźnie, ale i w kraju. Sam dr Klukowski, mimo licznych przeciwności czynionych przez władze komunistyczne, kontynuował swoje dzieło właściwie do czasu swego aresztowania i procesu zakończonego wyrokiem skazującym. Zebrany materiał stanowi niezwykle zbiór do badań dziejów lokalnych społeczności czasów okupacji niemieckiej, przywołuje osoby z wiejskich i małomiasteczkowych środowisk zupełnie zapomniane w historii, które swoją postawą i działaniem zasłużyły na upamiętnienie. Wreszcie forma i charakter zebranych materiałów nie straciły na swej unikatowej wartości do dzisiaj.

Wielokrotnie na łamach lokalnej prasy, jak i w przedmowach do kolejnych tomów „Materiałów...”, dr Klukowski relacjonował postęp prac oraz zachęcał społeczeństwo do składania relacji. Ta swoista forma komunikacji ze świadkami wydarzeń przynosiła znakomite rezultaty. Do redaktora zgłaszali się nowi świadkowie, aby opowiedzieć o swoich przeżyciach lub sprostować te, które już się ukazały w poprzednich tomach. Działo się tak, mimo stale pogarszającej się koniunktury politycznej dla tego rodzaju działań.

Wartość zebranego przez dr Klukowskiego materiału była dla władzy komunistycznej oceniana jako swego rodzaju zagrożenie. Świadkowie pokazywali mechanizmy działania władzy totalitarnej i ograniczania swobody społeczeństwa, które dość łatwo można było dostrzec w nowej powojennej rzeczywistości, dlatego mimo ogromnego zainteresowania ze strony społeczeństwa i pewnej „presji wydawniczej” nie zezwoliły na kontynuowanie prac czy wydanie kolejnych tomów w okresie po październiku 1956 r. „Dziennik” wydany w 1958 r. (i jego dodruk w 1959 r.) odbiegał już formą od wydanych wcześniej tomów. Jak kapitalny był to materiał można ocenić, sięgając do lektury najnowszego wydania „Materiałów...”

Dr JANUSZ KŁAPEĆ

Lublin, dn. 4 lipca 2018 r.

OD WYDAWCY

Wznawiamy czterotomowe wydawnictwo *Materiały do dziejów Zamojszczyzny w latach wojny 1939-1944* zebrane, opracowane i wydane w latach 1945-1947 przez dra Zygmunta Klukowskiego¹⁾, na które składają się: *Terror niemiecki na Zamojszczyźnie 1939-1944 – Zamość 1945*, *Zamojszczyzna w walce z Niemcami 1939-1944 – Zamość 1946*, *Niemcy i Zamojszczyzna 1939-1944 – Zamość 1946* oraz *Dywersonia na Zamojszczyźnie 1939-1944 – Zamość 1947*.

Publikowane teksty nie zostały w żaden sposób zmodyfikowane; posiadają pierwotny układ, styl, składnię, leksykę, ortografię. Wydawnictwo, co chcę szczególnie podkreślić, ukazuje się dzięki Andrew Klukowskiemu i jego siostrze Helen Klukowski-May, którzy będąc prawnymi spadkobiercami spuścizny dra Zygmunta Klukowskiego, wyrazili zgodę na ich publikację; za co im serdecznie dziękuję. Dodatkowo należy podkreślić, że publikacja ta jest jedynym wznowieniem *Materiałów*... od czasu ich wydania przez dra Zygmunta Klukowskiego. Zbiór ten ukazuje się dzięki wsparciu finansowemu Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej Okręg Zamość, Roztoczańskiego Parku Narodowego oraz Fundacji Szczepieszyn Kultur.

Doktor był człowiekiem o iście renesansowych zainteresowaniach; znany regionalista, historyk, bibliofil, kronikarz Zamojszczy-

¹⁾ Podstawowe informacje biograficzne, dotyczące dra Zygmunta Klukowskiego, czytelnik znajdzie w przedmowie do „*Materiałów*”, autorstwa dra Janusza Kłapcia. Nie chcąc ich powielać, nie umieszczam ich w przygotowanym tekście.

zny, lekarz, żołnierz, wydawca, społecznik, patriota. Na Zamojszczyźnie był świadkiem odrodzenia się i upadku II Rzeczypospolitej.

Myśl zebrania i przekazania kolejnym pokoleniom utworów dokumentarnych, dotyczących tragicznych losów mieszkańców Zamojszczyzny, ale również budzenia się konspiracji i odradzania ducha walki, przede wszystkim pod sztandarem ZWZ i Armii Krajowej, o wolność i niezawisłość Tej, co nie zginęła, przyświecała dr. Zygmuntowi Klukowskiemu już od napaści Niemiec na Polskę we wrześniu 1939 r., o czym wspominał we wstępie do Terroru niemieckiego na Zamojszczyźnie 1939-1944.

Tego niemal syzyfowego zadania dokonał sam jeden, bez pomocy, wsparcia innych, choć na to liczył. Samodzielnie – od podwalin – zbudował gmach archiwum, prosząc wcześniej kolegów z AK, ale także przedstawicieli innych struktur, jak, np. BCh i AL, mieszkańców Zamojszczyzny o przekazywanie spisanych relacji i wspomnień wojennych. Zainteresowanym przekazywał przygotowane wytyczne, jak prawidłowo sporządzić relacje, by miały odpowiedni schemat kompozycyjny, wartość faktograficzną i historyczną.

Był jednym z pierwszych w Polsce, którzy podjęli się niełatwego zadania: zmierzenia się z tragicznymi latami II wojny światowej i utrwalenia ich. Warto przypomnieć i uświadomić sobie, że np. Medaliony Zofii Nałkowskiej ukazały się w 1946 r., Pożegnanie z Marią Tadeusza Borowskiego w 1947 r.

Nie bez powodu zestawiam Materiały... z późniejszymi utworami, będącymi literackim przetworzeniem tragicznych lat II wojny światowej. Czynię tak, ponieważ chcę podkreślić uniwersalny charakter zebranych i opracowanych przez doktora relacji, wspomnień i fragmentów pamiętników.

Ten niezwykle lekarz, dyrektor szpitala, patriota, członek ZWZ i Armii Krajowej, współorganizator życia społecznego i kulturalnego w XX-leciu międzywojennym, dokonał rzeczy fenomenalnej, ze wszech miar pożytecznej poznawczo, historycznie, socjologicznie, dokumentarnie. Zebrane wspomnienia, relacje, fragmenty pamiętników powstawały z jego inicjatywy i za jego namową. Samego siebie pozostawił w cieniu, umieszczając na pierwszym planie innych. W zbiorze doktor opublikował jedynie kilka tekstów źródłowych.

W Materiałach... oddaje głos osobom, mającym różne wykształcenie, odmienne przeżycia wojenne. Narracyjny wielogłos

sprawił, że zbiór stał się jeszcze bardziej wiarygodnym, miarodajnym i uniwersalnym świadectwem o drugiej wojnie światowej na Zamojszczyźnie.

Gdy ukazywały się kolejne tomy *Materiałów...*, zabrakło już obok niego przyjaciół, z którymi tworzył i kształtował życie społeczno-kulturalne w Zamościu i regionie. Adwokat Henryk Rosiński został aresztowany przez Niemców i osadzony w zamojskiej Rotundzie, więziony na Zamku Lubelskim, następnie wywieziony do niemieckich nazistowskich obozów koncentracyjnych w Sachsenhausen i Dachau, gdzie zmarł. Były dyrektor Gimnazjum im. Jana Zamoyskiego w Zamościu Kazimierz Lewicki mieszkał w Krakowie (zmarł w 1948 r.). Wielu innych w latach późniejszych zostało aresztowanych i zamordowanych przez NKWD i UB.

Sam doktor również, w okresie II wojny światowej i powojennym, wielokrotnie ocierał się o śmierć. W latach czterdziestych, spодiewając się najgorszego, spisał nawet swoją ostatnią wolę. W 1943 r., dokonując swego rodzaju autocharakterystyki życia, tak napisał: „Znajdując się w końcowej fazie swego życia i czyniąc krótki jego bilans, otwarcie mogę przyznać, że jestem trochę dumny z tego, iż nie dałem się całkowicie wciągnąć w zabójczą, wyjaławiającą atmosferę prowincjonalnego bytowania. W miarę sił i możliwości, prowadziłem twórczą działalność umysłową i schodząc z areny życiowej mam to przeświadczenie, że nie wszystko w życiu zmarnowałem i zwłaszcza w dziedzinie regionalnej kultury Zamojszczyzny choć na pewien czas jakiś ślad po sobie pozostawiam”).

Mając aktywny poznawczo stosunek do rzeczywistości powojennej Zamojszczyzny, innych regionów Polski i całego kraju, żywo interesował się tym wszystkim, co w bezpośredni lub pośredni sposób mogło mieć wpływ na kształtowanie się nowego ładu geopolitycznego. Przejawami tego były m.in. zapisy, dokonywane w dzienniku.

Jego obserwacje i refleksje dotyczą zarówno wydarzeń o znaczeniu regionalnym, ogólnopolskim, jak i europejskim. Niekiedy jeszcze łądzi się w nich, że dojdzie do konfrontacji zbrojnej między Anglią i Rosją. Jednak z dnia na dzień przeobrażenia społeczno-polityczne, których areną była w pierwszym rzędzie Zamojszczyzna, zaczynają odzierać go z tych złudzeń. Z natury optymistą, chętny do nawią-

¹⁾ Zob. Zygmunt Klukowski, *Wspomnienia o Zamojszczyźnie 1918-1939*, Biblioteka KUL, Rks.812, s. 529.

zywania kontaktów społecznych, po wielu traumatycznych przeżyciach, zapada się w samotność, czego najlepszym przykładem może być następujący zapis z 9 grudnia 1944 r.: [...] „Duszę się jednak w tej atmosferze gwałtu, bezprawia i niewoli, w jakiej faktycznie się znajdujemy. W dodatku to ciągłe poczucie własnego niebezpieczeństwa i osamotnienia we wszystkim, co teraz przeżywam. Coraz bardziej zamykam się w sobie”¹⁾).

W 1945 r., kiedy ukazał się I tom *Materiałów...*, dr Zygmunt Klukowski miał już 60 lat, z czego 26 to te przeżyte w Szczepieszynie. Mimo zagrożenia aresztowaniem, m.in. za działalność w strukturach Armii Krajowej, przez NKWD i UB (do czego zresztą doszło dwukrotnie w 1946 r., w 1950 r. i w 1952 r.), nie opuścił miasteczka. W *Dzienniku* pod datą 25 listopada 1944r. zanotował: [...] „W każdym razie bez wahania postanowiłem trzymać się mojej zasady: nie uciekać, nigdzie się nie ukrywać, trwać do ostatka na swoim stanowisku i zdać się na łut szczęścia”²⁾). Co ważne, zapis ten został sporządzony przez doktora w dniu, w którym został przesłuchany przez szefa wywiadu Bezpieczeństwa na powiat zamojski i majora NKWD.

Pozostał wierny samemu sobie, mimo istniejących zagrożeń, utraty zdrowia. Jego imperatyw pozostania w Szczepieszynie i kontynuowania pracy zawodowej i społecznej, prowadzenia działalności kulturalnej, kronikarskiej i wydawniczej, nie potrzebował metafizycznych racji³⁾). Motywację znalazł w pragnieniu utrwalenia i ocalenia martyrologii, poświęcenia i bohaterstwa mieszkańców Zamojszczyzny. To patriotyczne i głęboko humanistyczne podejście.

Utrzymując ścisłą współpracę z byłymi członkami Armii Krajowej, zbierając kolejne materiały dotyczące lat II wojny światowej, prowadząc akcję odczytową o Okrucieństwach niemieckich w Zamojszczyźnie, na początku czerwca 1946r. został wezwany do Warszawy na konferencję Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich, w czasie której zaproponowano mu opracowanie tematu wysiedla-

¹⁾ Zob. Zygmunt Klukowski, *Zamojszczyzna 1939-1959*, Wyd. OŚRODEK KARTA, Warszawa 2017, s. 504.

²⁾ Tamże, s. 500.

³⁾ „Stopniowy renesans wiary w Boga” – jak ujmuje to sam doktor – nastąpi w więzieniu na Zamku Lubelskim, pod wpływem rozmów z prof. Ignacym Czumą.

nia przez Niemców Zamojszczyzny, na co wyraził zgodę¹⁾). Z polecenia Henryka Świątkowskiego, ministra sprawiedliwości, pośła Zamojszczyzny z okresu II RP, stał się członkiem Głównej Komisji.

Kilkanaście dni po rozpoczęciu zbierania świadectw mieszkańców Zamojszczyzny, dotyczących zbrodniczej działalności Niemców (24 czerwca), został aresztowany, przewieziony i ponownie osadzony w zamojskim więzieniu UB (w związku z mającym odbyć się referendum; tzw. 3 razy tak²⁾).

Rok później, w styczniu 1947 r., był świadkiem sfalszowanych wyborów do Sejmu i miał coraz mniej nadziei: [...] „Panuje wszechobezwładniająca bezradność. Nie widzimy przed sobą jaśniejszego jutra, ale nie chcemy też poddać się biernie tokowi wydarzeń i podporządkować garstce rządzących, będących całkowicie na usługach Moskwy. Wszystko się w nas przeciwko temu buntuje”³⁾).

Rok wydania ostatniego tomu *Materiałów...-Dywersja na Zamojszczyźnie 1939-1944*, czyli 1947 – stanowi pod wieloma względami istotną cezurę czasową. Doktor Zygmunt Klukowski zeznawał wtedy jako świadek w procesie norymberskim funkcjonariuszy Głównego Urzędu Rasy i Osadnictwa SS. Zabrał ze sobą cztery tomy *Materiałów... oraz broszurę o wysiedleniach na Zamojszczyźnie*. Wówczas też, wydaje się, stracił nadzieję na ułożenie się stosunków społeczno-politycznych, które byłyby zgodne z jego zapatrywaniem. Zapewne miały na to wpływ również sfalszowane wybory parlamentarne do Sejmu Ustawodawczego, co obserwował także w Szczepieszynie.

Zaprzestał prowadzenia dziennika. Umarła w nim Polska, jaką budował od czasu przyjazdu do Krasnobrodu w 1918 r.

W 1950 r. po raz kolejny został aresztowany za przynależność do AK, za odmowę współpracy z nowymi władzami komunistycz-

¹⁾ Propozycja ta była o tyle zaskakująca, że sześć miesięcy wcześniej – w styczniu 1946r. dr Zygmunt Klukowski, wraz z innymi członkami AK, został aresztowany i przewieziony najpierw do Zamościa, a potem do Tomaszowa Lubelskiego i osadzony w więzieniu Urzędu Bezpieczeństwa.

²⁾ W referendum zadano trzy pytania: Czy jesteś za zniesieniem Senatu? Czy chcesz utrwalenia w przyszłej Konstytucji ustroju gospodarczego, zaprowadzonego przez reformę rolną i unarodowienie podstawowych gałęzi gospodarki krajowej, z zachowaniem ustawowych uprawnień inicjatywy prywatnej? Czy chcesz utrwalenia zachodnich granic Państwa Polskiego na Bałtyku, Odrze i Nysie Łużyckiej?

³⁾ Zob. Zygmunt Klukowski, *Zamojszczyzna 1939-1959*, Wyd. OŚRODEK KARTA, Warszawa 2017, s. 599.

nymi i ukrycie archiwum oddziałów AK. Wojskowy Sąd Rejonowy w Lublinie skazał go na 2 lata pozbawienia wolności w zawieszaniu; ponownie został aresztowany w lipcu 1952 r. (miało to związek z działalnością jego syna Tadeusza, który związał się z podziemną organizacją „Kraj”, za co został skazany na karę śmierci i rozstrzelany 31 czerwca 1953 r. w więzieniu przy ulicy Rakowieckiej w Warszawie). Doktorowi zasądzono 10 lat więzienia. Dopiero w 1956 r. został zrehabilitowany; otrzymał Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, a w czerwcu 1959 r. – najwyższe odznaczenie bibliofilskie – Order Białego Kruka ze Wstęgą Białej Myszy. W lipcu 1959 r. otrzymał nagrodę tygodnika „Polityka” za Dziennik z lat okupacji, który uznano za najlepszy zapis II wojny światowej w najnowszej historii Polski.

Umarł 23 listopada 1959 r. w Szczepieszynie.

Pewnego rodzaju symbolem pozostaje ostatni wpis (z 20 listopada 1959 r.) do Księgi Pamiątkowej dra Zygmunta Klukowskiego, jaką prowadził w latach 1935-1959, dokonany przez pisarza Wojciecha Żukrowskiego: „Kochany Panie Doktorze! Książka [mowa o Dzienniku z lat okupacji Zamojszczyzny 1939-1944] będzie rosła, tłumaczona na obce języki będzie opowiadała całemu światu o trudnych i okrutnych latach okupacji. Rzetelna książka, spisana piękną polszczyzną. Doktorze ma Pan trwać pozycję w naszej literaturze!” Myślę, że podobnie można powiedzieć o czterotomowym zbiorze – Materiałach do dziejów Zamojszczyzny w latach wojny 1939-1944.

DARIUSZ GÓRNY

Zamość, dn. 4 lipca 2018 r.

PRZEDMOWA WYDAWCY I REDAKTORA

Gdy w r. 1939 wybuchła wojna niemiecko-polska i wypadki potoczyły się w niesłychanie szybkim tempie, już wówczas zacząłem myśleć o tym, żeby gromadzić wszelkie materiały dotyczące tej wojny i następnie ogłosić je drukiem. Na razie sądziłem, że da się to zmieścić w ramach wydawanej przez Koło Miłośników Książki »Tece Zamojskiej«. Lecz z biegiem lat wojny zacząłem już marzyć o całkiem odrębnym wydawnictwie poświęconym wyłącznie dziejom Zamojszczyzny w tym przełomowym okresie.

Zbyteczne chyba mówić o ważności i znaczeniu obecnej wojny. Będzie ona kiedyś przez długi czas tematem niezliczonych badań i opracowań. A warunki podczas okupacji niemieckiej wskutek niesłychanego terroru tak się układały, że źródeł archiwalnych zebrano się i pozostało stosunkowo bardzo mało. Niemieckie archiwa porzucone przez okupantów będą dostępne dopiero potem. Niewątpliwie dostarczą one bardzo wiele cennego materiału historycznego, lecz jednostronnego. Dla wszechstronnego odtworzenia dziejów ostatnich 5 lat znacznie ważniejsze będą źródła polskie. Trzeba je już teraz wydobywać z głębokiego ukrycia, żeby nie uległy całkowitemu zniszczeniu, trzeba już teraz nakłaniać ludzi jeszcze żyjących, a którzy byli świadkami wydarzeń o znaczeniu historycznym lub brali czynny udział w walce z niemieckim najeźdźcą, ażeby na piśmie utrwalali swoje przeżycia oraz ściśle, dokładne a obiektywne relacje o tym, co widzieli i co robili. Z braku innych źródeł relacje te, pamiętniki i fragmenty wspomnień stanowić będą pierwszorzędny materiał historyczny.

Wychodząc z tych właśnie założeń postanowiłem przystąpić już obecnie do »Wydawnictwa materiałów do dziejów Zamojszczyzny w latach wojny 1939 – 1944«. Będzie to wydawnictwo zakrojone

na szeroką skalę, o charakterze wybitnie regionalnym, obejmie najróżnorodniejszy materiał historyczny w postaci wspomnień, opracowań krytycznych, wykazów statystycznych, spisów, poszczególnych ważnych dokumentów itp. Dotyczyć one będą 5 powiatów: przede wszystkim zamojskiego, biłgorajskiego i tomaszowskiego, a następnie hrubieszowskiego i poniekąd janowskiego, które pod wieloma względami są dość mocno związane ze ściślejszą Zamojszczyzną.

Poszczególne tomy wydawnictwa będą ukazywały się w miarę nagromadzania się odpowiedniego materiału redakcyjnego i w zależności od środków materialnych.

Zdaję sobie doskonale sprawę z tego, jak wielki ciężar wkładam na swoje barki. Czynię to jednak z pełną świadomością i przyjmuję na siebie całkowitą odpowiedzialność za to, czego się podejmuję. – Uważam to za swój obowiązek. Zrzędzeniem losu z całej ściślejszej grupy, która przed wojną kierowała w Zamościu działalnością wydawniczą, pozostałem na miejscu ja jeden tylko. W obozie w Dachau zginął nieodżałowany Henryk Rosiński, niezastąpiony towarzysz we wszystkich pracach regionalnych, na rotundzie w Zamościu rozstrzelano burmistrza Michała Wazowskiego, inni rozproszyli się po całej Polsce i nie wiadomo, czy powrócą kiedy do Zamościa.

Zanim przystąpię do pracy nowi ludzie, nasi duchowi spadkobiercy, zabieram się do tego dzieła sam jeden, aby tylko je zapoczątkować i następnie przekazać w ręce większego zespołu redakcyjnego. Tym sposobem stanie się zadość pięknym tradycjom zamojskim i ustali się swego rodzaju ciągłość w naszej działalności wydawniczej.

Bez mała 5-letnia okupacja niemiecka na terenie wspomnianych powiatów skończyła się bezpowrotnie. Zakończenie jej jest równocześnie słupem granicznym i dla historii danego okresu. W pierwszym więc rzędzie wydawnictwo nasze obejmie wszystkie przejawy życia Zamojszczyzny podczas okupacji niemieckiej. Mamy nadzieję, że zgromadzi ono bogaty i różnorodny materiał historyczny, na którego podstawie można będzie w przyszłości gruntownie opracować dzieje Zamojszczyzny w latach największej wojny światowej.

Zebrany materiał jest bardzo niejednorodny, różna też jest jego wartość. Autorzy przeważnie nic nigdy przedtem nie pisali i nie wiedzieli jak do tego się zabrać. Jednak każdy artykuł przynosi coś nowe-

VII

go i staje się przez to dokumentem. Za treść jego odpowiada w pierwszym rzędzie sam autor.

Wydanie książki w dzisiejszych warunkach jest bardzo trudne i niezwykle kosztowne. Druk tego pierwszego tomu trwał przeszło 9 miesięcy. Ukazanie się go należy zawdzięczać przede wszystkim kierownikowi drukarni Rady Powiatowej p. Zenonowi Michalskiemu, który szedł mi zawsze z wydatną pomocą i jak najprzychylniej odnosił się do wszelkich moich poczynąń wydawniczych. Składam mu w tym miejscu serdeczne podziękowanie. – Dziękuję również p. Stanisławie Palmowskiej za pomoc przy przeprowadzaniu korekty i kierownikowi zecerni p. Zygmuntowi Sokołowskiemu za bardzo staranne i dokładne wykonanie druku.

Dr ZYGMUNT KLUKOWSKI.

Szczebrzeszyn, w czerwcu 1945 r.

P. S. Zwracam się do wszystkich obywateli Zamojszczyzny z uprzejmą prośbą o nadsyłanie na moje ręce wszelkiego rodzaju materiałów historycznych odnoszących się do czasów okupacji niemieckiej, w szczególności notatek pamiętnikarskich, wspomnień, relacji, opisów, listów, »grypsów« z więzień itp.

Z. K.

ŁABUNIE I SUCHOWOLA (Ze wspomnień I adiutanta pułku)

I.

Dn. 21 i 22 września 1939 r. 6 p. strz. podhal. po dwóch dniach walk o Barchaczów znajduje się w kolumnie marszowej na drodze Cześniki – Niewirków. – W ciągu nocy rozkazów na dzień następny nie dostajemy. Artyleria niemiecka prowadzi z rejonu Łabuń ogień nękający.

Dowódca pułku ppłk. dypl. Mieczysław Dobrzański¹ trochę się denerwuje, – wreszcie wysyła mnie na szosę Miączyn – Zawalów, gdzie ma się znajdować sztab armii, po rozkazy. Wsiadam do auta, które w dniu wczorajszym zostało przez nasze patrole zdobyte na Niemcach we dworze w Niewirkowie, i jadę. – Świta. Dojeżdżam do Zawalowa i na plebanii zastaję sztab armii. Jest gen. Dąb-Biernacki, gen. Kruszewski, są oficerowie ze sztabu gen. Młot-Fijałkowskiego. – Na stole stoi wielka misa ze smalcem, leży parę bochenków chleba. Podają w garnkach kawę, jak kto może na stojąco pije. Spotykam tutaj mojego starego druha kpt. dypl. Franka Hermana. Witamy się, piję naprędce kawę i melduję się u gen. Kruszewskiego, od którego otrzymuję rozkazy potwierdzone pisemnie przez szefa sztabu.

W międzyczasie obserwuję przemarsz drogą grupy kawalerii gen. Andersa – idzie tego jeszcze masa, jest artyleria. Postawa żołnierzy dobra, konie doskonałe. Napawa mnie to nadzieją.

Odjeżdżam i za 40 minut jestem na miejsku.

Dowódca pułku studiuję rozkaz:

»Myśl przewodnia – Lwów walczy pod rozkazami gen. Sosnkowskiego – przebić się na południe do Lwowa.

¹) Ppłk. dypl. M. Dobrzański w konspiracji był szefem sztabu obszaru Lwów. Został aresztowany przez Niemców. (*Przyp. aut.*).

Grupa kawalerii gen. Andersa przez Komarów wyrusza zaraz 39 dywizja piechoty w ciągu dnia zakończy bój i oderwie się o zmroku na oś marszu. Wszelki tabor wyrusza zaraz na południe.

6 p. s. p. jako straż boczna stała w rejonie Łabuń ubezpieczy kierunek od Zamościa. Wykonanie zaraz. Dalsze zadanie otrzyma w ciągu dnia. Wycofać się nie wolno«.

Zostają zaraz wydane rozkazy wykonawcze i pułk marszem ubezpieczonym posuwa się na południe. Dowódca pułku ze sztabem idzie przy straży przedniej. Po dojściu do skrzyżowania dróg Cześniki – Łabunie i Łabunie – Ruszów z szosą Zamość – Tomaszów zastaje, nas nalot trzech samolotów niemieckich, które ostrzeliwują kolumnę z broni maszynowej. Są ranni, tracimy trochę koni. Karabiny maszynowe otwierają ogień, a por. Betlej próbuje nawet szczęścia z działek przeciwpancernych. Samoloty zostają odparte. Pułk zajmuje stanowiska okraciem na szosie na grzbietach wzgórz 247. Miejsce postoju dowódcy pułku przy III batalionie por. Skierkowskiego tuż przy szosie. Zastaliśmy w tym miejscu opuszczone przez Niemców wnęki i rowy, wchodzimy więc do nich mając dobrą obserwację na całe przedpole. – Jest godz. 13.

Bój pod Barchaczowem wre, – artyleria nasza i niemiecka w pełnym rozwinięciu. Wyślane rozpoznanie po szosie na Zamość stwierdziło, że m. Łabunie i kol. Jatutów są silnie obsadzone przez Niemców. Na szosie kręcą się czołgi.

Niebawem przyjeżdża ze sztabu dywizji na stanowisko dowódcy pułku płk. Duch i sprawdza, czy pułk zajął wyznaczone mu stanowiska. Orientuję go w położeniu. – Papieros, krótka rozmowa i pułkownik odjeżdża.

Między godz. 15 a 16 wpada do nas gen. Bruno Olbrycht, dowódca 39 dyw. piech. Chce przekonać się osobiście, jak pułk zajął stanowisko i czy jego stan moralny jest wystarczający, by ubezpieczyć resztę sił od tak zagrożonego kierunku, jakim jest Zamość.

Znowu jak i przedtem orientuję generała w położeniu na mapie i w terenie. Dowódca pułku zapewnia, że pułk wytrzyma, jest wypróbowany. Zapytuje, kiedy otrzymamy dalsze zadanie? Generał odpowiada, że rozkaz przyszłe przez oficera ordynansowego, podkreśla silnie, że wycofać się bez rozkazu nie można, nawet gdyby szły na nas siły przeważające. Schodzi wreszcie na cieplejszy nieco ton, kiwa głową i mówi:

– »Kto się spodziewał, że ja na tej szosie, t. j. na terenie swojego niegdyś garnizonu, będę się bił z Niemcami. Wszak tu, do tego lasu, jeździłem często na polowanie, a tam w majątku nie jedną wypilem wódkę. Tak, tak...«

Ściska i mnie coś za serce i chwyta za gardło. Przecież w Zamościu spędziłem młodość, tu chodziłem do gimnazjum, mam wiele znajomych i bliskich. Co z nimi teraz się dzieje? – Widzę przez lornetkę wieże kochanego miasta. Oto tą szosą chodziłem jako harcerz na wycieczki. Czyż mogłem jako młody chłopiec przypuszczać, że tu będę stawiał czoła Niemcom na czele żołnierzy, którym przewodzę? Znam tu każdy odcinek terenu, po którym depcze w tej chwili stopa niemiecka... Ale nie czas na rozrzewnienia...

Generał się żegna, ściska dłoń i odjeżdża. – Chmurzy się.

Kładę się wraz z oficerem informacyjnym w jednym rowie (stanowisko po niemieckim karabinie maszynowym) i usiłuję zasnąć. Budzą mnie pierwsze krople deszczu, które uderzają w gumowy płaszcz, też zdobyty na Niemcach. Podnoszę głowę i oto zdaje mi się, że widzę czołg na szosie, a potem drugi i tyralierę niemiecką. Przejrzystość z powodu deszczu słaba, ale widzę wszystko coraz bliżej. Tak jest, są Niemcy. W rozkazie dowódca pułku wyraźnie zastrzegł, że ogień wolno otworzyć tylko na rozkaz przez telefon. Hasło do otwarcia ognia może być dane z punktu obserwacyjnego dowódcy pułku.

Niemcy rozwinęli się i wychodzą na otwartą łąkę szeroką tyralierą, czołgi zaś suną po szosie. Idzie na nas wyraźne natarcie. Są już od nas jakieś 400 mtr. Jest godz. 17.

Ognia! – Przede wszystkim otwierają go nasze działka przeciwpancerne. I tu muszę zaznaczyć, że po wyjściu na wojnę straciliśmy wiele karabinów maszynowych i innej broni, natomiast z 9 działek przeciwpancernych mieliśmy pod Łabunami jeszcze 8. Żołnierz znał ich wartość, toteż strzegł ich jak oka w głowie.

Km-y kipią na stanowiskach. Osadza to Niemców momentalnie na miejscu. Zapadają w teren i nerwowo okopują się. Czołgi natomiast otwierają gwałtowny ogień. Jakże miałem za chwilę pożałować, że wybraliśmy stanowisko tuż przy szosie, znaleźliśmy się wkrótce w takim ogniu km-ów z czołgów, że nie można było głowy wychylić, pociski splantowały dosłownie cały nasyp nad stanowiskiem dowódcy pułku i moim. – Za chwilę i tyraliera niemiecka otworzyła ogień. Słychać już tylko jeden bulgot – szczekanie naszych działek i niemieckich z czołgów. – Już nie ma mowy o spaniu. Dowódca pułku poleca mi ob-

serwować i podciągnąć słuchawkę z aparatem telefonicznym do siebie. Spodziewamy się każdej chwili natarcia większej ilości czołgów, gdyż ciągle słysząc od strony Łabuń i gdzieś więcej na południe od Białowoli pracę licznych motorów.

Batalion I por. Saławackiego¹ z moździerzy zaczyna dobierać się do czołgów, które poukrywały się częściowo za zabudowania i fałdy terenu. Denerwuję się, że spóźnia się bateria haubic por. Taraszkiewicza, którą generał obiecał nam przysłać. – Dochodzi godz. 19.

Podjeżdża za pagórek motocykl z oficerem ordynansowym. I oto widzę, jak chyłkiem a wreszcie czołgając się zbliża się do nas mjr. lotnik (nazwiska nie pamiętam) w lakierkach po dobrze już rozmokłej łabuńskiej glebie i przywozi rozkaz. Jednocześnie zapewnia, że bateria wnet będzie, gdyż wyminął ją w marszu niedaleko stąd. Odbieram rozkaz, który skreślony jest ołówkiem na kartce wyrwanej z notesu. Czołgam się do dowódcy pułku. Pułkownik czyta, ja zaś kreślę na mapie. Rozkaz brzmi: »Utrzymać stanowiska do godz. 22 a następnie osiągnąć m. Suchowolę, gdzie otrzyma pułk dalsze rozkazy. M. p. dowódcy – kościół«. – Wykreśliłem na mapie kierunek i obserwuję teren. Nie mogę wiele dojrzeć, bo zaczyna się ściemniać i pada deszcz. Niepokoiemy się z pułkownikiem odgłosami motorów, które dochodzą nas od strony Rahodoszcz, a więc na naszym kierunku marszu. Jasne jest, że tam Niemcy przesuwają jakieś jednostki zmotoryzowane lub piechotę na samochodach, żeby nam odciąć drogę, a tu jeszcze tyle godzin do 22-ej. Robi się nam trochę niewyraźnie, ale wytrwać trzeba.

W tej chwili melduje się por. Taraszkiewicz. Bateria jego jest tuż za pagórkem, za 15 minut będzie mógł otworzyć ogień. Dostaje więc zadanie: położyć ogień na tyralierę, która jest już ledwie co widoczna, a następnie przenieść ogień na wylot drogi z Łabuń, gdzie są czołgi i skąd prowadzą ogień. – Por. Skierkowski² dowódca III batalionu, dostaje za zadanie wykonać przeciwwuderzenie i wyrzucić Niemców ze stanowisk, wykorzystując ogień artylerii.

Dobiega godz. 20 i jest już zupełnie ciemno. – Por. Taraszkiewicz robi obliczenia i za chwilę nasze haubice zaczynają gadać. Żołnierze nie posiadają się z radości. Jest to dla nich miłym zaskoczeniem, gdyż –

¹) Por. Saławacki, ranny wzięty do niewoli, leczyl się w szpitalu w Zamościu, skąd został wywieziony do Oflagu w Niemczech. (*Przyp. aut.*).

²) Por. Skierkowski w lasach zamojskich dostał się do niewoli. (*Przyp. aut.*).

z wyjątkiem III Baonu – wcale nie wiedzieli, że taki ogień artylerii będzie. Por. Skierkowski rusza, ja nie mogę wytrzymać, umawiam się dokładnie z dowódcą baterii co do znaków i posuwam się wraz z paru żołnierzami po szosie, by z bliska móc obserwować przeciwuderzenie, które się zaczyna. Niemcy wycofują się gwałtownie, tylko czołgi zwiększają ogień, ale też milkną z chwilą, gdy bateria przenosi ogień na nie. Tym sposobem przedpole mamy zupełnie opanowane. Por. Skierkowski melduje wykonanie zadania, stwierdza duże straty po stronie Niemców. Melduje też o śmierci jednego ze swoich podchorążych, który w ciągu całej kampanii wykazywał bardzo wiele odwagi. Niestety nie mogę przypomnieć sobie jego nazwiska.

Dochodzi godz. 21. Jest bardzo ciemno, teren rozmiękł zupełnie i poruszanie się po tłustej, urodzajnej zamojskiej glebie bardzo trudne. Zadanie zostało wypełnione.

Wychodzi rozkaz do odmarszu, siadam na konia i o godz. 22 składam kolumnę pułku.

II.

Jeżdżę konno i sprawdzam poszczególne człony. Straż przednia I Baon plus jedno działo z baterii haubic, siły główne — III Baon, reszta artylerii, tabor i wreszcie jako straż tylna II Baon kpt. Boruckiego¹. Dowódca pułku ze sztabem m. taczance od łączności przy I Baonie.

Jest już godz. 22 min. 40. – Ruszamy. Marsz odbywa się bardzo powoli, – błoto i lepka gleba zmniejszają tempo. Po ½ godziny marszu zrywa się nagle na czołe gwałtowna strzelanina karabinów maszynowych, słychać wybuchy granatów, palbę z karabinów i krótkie »Hurra!« –

Kolumna zadrgała, automatycznie rozmija się wzdłuż drogi i zapada w teren. Wysuwamy się z pułkownikiem do przodu, ale oto i oficer z meldunkiem: »Na drodze była niemiecka placówka, została zniesiona przez I Baon, są jeńcy, zdobyto rowery, konie«.

Por. Sałwacki, który jako dowódca straży przedniej posuwał się tuż za szpicą, otrzymawszy ogień od czoła podrywa z miejsca czołową kompanię i uderza na bagnety otwierając w ten sposób dalszą drogę pułkowi.

¹) Kpt. Borucki trafił do niewoli, z której się wydostał i pracował później w konspiracji. (*Przyp. aut.*).

Badamy jeńców: – 1 ½ klm stąd ma być okopany cały pułk niemiecki. Dowódca pułku każe por. Taraszkiewiczowi otworzyć ogień z działą wzdłuż drogi – dla postrachu wroga, a swoim dla otuchy.

W tym czasie, kiedy dowódcy zaczynają ściągać ludzi z powrotem na drogę do kolumny, przybywa paru oficerów z »Mazowieckiej Brygady Kawalerii płk. Karcza« dla nawiązania styczności.

Krótką naradą: oto Brygada stoi tuż przy drodze w pobliskim lasku, liczy około 600 szabel. Nie mogła się przebić tu ciągu dnia, gdyż wzgórza w rejonie Suchowoli były obsadzone. P. o. dowódcy brygady (nazwiska nie pamiętam) chętnie przyłączy się, by wspólnie działać dalej.

Wobec tego dowódca pułku wydaje rozkazy i zmienia nieco szyk marszowy. A więc ugrupowujemy się wzdłuż drogi i w rozwiniętych batalionach na skróconych odległościach maszerujemy dalej. Brygada śpieszona po prawej stronie drogi, koniowodni przy taborach. Ruszamy. Tempo marszu dochodzi może zaledwie do 2 klm na godzinę. Żołnierze są bardzo zmęczeni, napięcie nerwowe duże.

Tak dochodzimy do pierwszych zabudowań wsi Suchowola. Mijamy duży, biały budynek szkolny. Droga wchodzi w wykop. Zabudowania i ogrody utrudniają marsz falą, to też automatycznie oddziały schodzą bardziej na drogę.

Zagłębiamy się w mieś. Wydaje nam się, że już wszystko będzie dobrze. Owijam się płaszczem i razem z dowódcą pułku schylamy do siebie głowy chcąc choć troszeczkę zdrzemnąć się. Wtem na czole zrywa się znowu ogień karabinom maszynowych, wybuchy granatów, wystrzały działek przeciwpancernych i »hurra!«. To uderza I Baon, podobnie jak przedtem na placówkę, ale tym razem ogień niemiecki jest silniejszy, nieustępliwy. Odzywają się coraz to nowe karabiny maszynowe i moździerze.

Zeskakujemy z dowódcą pułku i już jesteśmy na czole. Por. Sałwacki ciężko ranny m rękę. Niemcy są w całej wsi, ogień jest tak silny, że trudno słyszeć własną mowę.

Krótką decyzją: przebić się za wszelką cenę, gdyż innego wyjścia nie mamy. Siadam na konia i galopuję na koniec kolumny po II Baon. – Tymczasem por. Taraszkiewicz przesuwa działa rękami ludzi, ponieważ teren nie zezwala na zawrócenie zaprzęgami.

Niemcy co chwila oświetlają teren i ogień wzmacnia się. Słychać już więcej moździerzy, które kładą zupełnie celny ogień. Nadbie-

gam z II Baonem, stajemy z dowódcą pułku na jego czele i ruszamy wzdłuż drogi do szturm. Podrywa to I i II Baon, za moment rozlega się gromkie »hurra!« i cała fala sunie biegiem przez opłotki i ogrody naprzód na najsilniejsze gniazda ognia. Ogień niemiecki z licznych karabinów maszynowych od czoła i z boku osadza nas jednak na miejscu. Mamy bardzo duże straty, jest wielu zabitych i rannych. Pułk zapada na ziemię i otwiera ogień. Rakiety oświetlają teren walki. Przed nami kościół, skąd najsilniej ostrzeliwują nas Niemcy. Wieś nieco w dole, wzgórze wzdłuż wsi zajęte przez Niemców.

Wtem wzrasta ogień moździerzowy nieprzyjaciela i z kolei Niemcy rzucają się na bagnety. Wszystkie nasze karabiny maszynowe grają jak wściekłe, huk granatów rozrywa co chwila powietrze. Z kolei my osadzamy Niemców na miejscu.

Zalegają naprzeciw siebie dwie fale w bezpośredniej odległości na szerokość poszczególnych zabudowań. Czasem walczących dzieli tylko płot lub sterta. Bój zaczyna się przeciągać. Walczą poszczególne grupki i pojedynczy ludzie. Coraz to w którymś z zabudowań dochodzi do gwałtownych starć na bagnety i granaty. Jedna z naszych obsług działka przeciwpancernego podsuwa się pod sam kościół i otwiera ogień wprost w drzwi. Otaczają ją Niemcy i wybijają co do nogi. Wychodzi cało tylko sierż. Kielar, który leżąc za kupą kamieni stoczył bój z Niemcem. Chwycili się za bary, tarzając się po ziemi walczyli pistoletami jak młotkami. Kielar cały jest pogryziony, lecz Niemca zabił i sam wyszedł z życiem.

Sytuacja staje się bardzo ciężka. Czyżbyśmy już z tego nie wyszli?

Podczołgujemy się z dowódcą pułku nieco w bok i wpadamy do piwnicy, gdzie możemy przestudiować mapę.

Krótki namysł. Ja radzę: przegrupować się i uderzyć wzdłuż wsi na wzgórze, które obsadzają karabiny maszynowe ryglujące całe wyjście z wioski. I i III Baony przedłużą szturm przez wieś. – Dowódca pułku akceptuje moje rozwiązanie. Mam wziąć II Baon i część brygady kawalerii i poprowadzić to uderzenie. Trzeba się bardzo śpieszyć, bo do świtu tuż tuż. Gdy nie zdążymy tego zrobić za nocy, będziemy zgubieni. Artyleria, która w tym czasie wyciągnęła już działa za wieś, wesprze uderzenie kładąc ogień w rejon kościoła.

Wyciągam II Baon do tyłu, spieszoną kawalerię daję na lewe skrzydło i ruszam. Zaczyna świtać. Ogień niemiecki wzmagą się. Idę na czołe dając główny kierunek uderzenia.

Na wzgórzach widzę pełno Niemców, są częściowo okopani. Nic mnie już nie obchodzi, ani oni, ani ich ogień. Podrywam całość i z okrzykiem »hurra« rzucam się z całą falą biegiem na nich. Dopadam pierwszej obsługi karabinom maszynowych. – Nie wiem dlaczego nie strzelam. Kopnięciem nogi przewracam karabin maszynowy, a Niemców tratuję. Dopiero strzelcy, którzy biegli tuż za mną, kładą ich trupem.

Robi się zupełnie widno. – Jestem już na wzgórzu. Niemcy opuszczają stanowisko.

Lecz w tej samej chwili od strony północnej, a więc na naszym skrzydle, ukazuje się niemieckie przeciwnatarcie. Widzę tuż tuż gęste tyraliery. Widzę też kossakowski obrazek, tak groźny w swoim następstwie: oto koniowodni zagrożeni bezpośrednio przez Niemców wycofują się i galopują wzdłuż całego frontu, porywając swoim ruchem wszystko do odwrotu. Fala Niemców zbliża się i sytuacja staje się już nie do uratowania.

Cofam się. To samo rozpoczął i dowódca pułku z I i III Baonem. Jesteśmy zupełnie otoczeni. Niemcy strzelają do nas z trzech stron.

Bateria por. Taraszkiewicza ratuje na chwilę położenie bijąc ogniem bezpośrednim po tyralierze niemieckiej, która się zatrzymuje. Jest to moment, który zezwala nam na jakieś takie oderwanie się.

Przebiegam przez mieś, widzę mnóstwo trupów – naszych i niemieckich, pełno zabitych koni, porozbijanych wozów.

Tej nocy nie próżnowaliśmy.

Za dnia widzimy, jaka była przemaga nieprzyjaciela i jak dogodne miał on stanowiska, a myśmy w ciągu paru godzin wiedli z nim bój i straty z wyjątkiem taborów są równe.

Cofamy się, bo w tych warunkach inaczej być nie mogło. – Dowiodł jednak żołnierz polski, że w walce wręcz i w nocy potrafi bić się z Niemcami, choćby nawet licznie go przewyższali.

Bój pod Suchowolą będzie dla 6 p. strz. podhal. i dla Brygady Mazowieckiej chlubną kartą, świadczącą o bohaterstwie i brawurze jego dowódców i żołnierzy.

STANISŁAWA NOWAKÓWNA

SZPITAL POLOWY Nr 502 W KRASNOBRODZIE

Dnia 3 września 1939 wyruszył z Krakowa naprędce zorganizowany Szpital Polowy 502 pod dowództwem mjr. Dr Stanisława Augustyna. W uciążliwym marszu szpital dotarł wreszcie do Turobina, gdzie po raz pierwszy zaczął funkcjonować.

Jedna z sanitariuszek szpitala, Stanisława Nowakówna, jeszcze 16 października 1939, za świeżej pamięci napisała w Zamościu krótkie wspomnienie o tym szpitalu i o jego działalności. Całość obejmuje zaledwie sześć stron maszynopisu. Na wstępie autorka pisze o organizacji szpitala, podaje częściowo jego skład osobowy i opisuje przemarsz z Krakowa aż do naszych okolic. Szczegóły te pomijamy i ogłaszamy obecnie tylko drugą, – zresztą znacznie większą, – część wspomnień dotyczącą działalności szpitala na terenie Zamojszczyzny, mianowicie w Krasnobrodzie. (Red.)

Z Sanu marsz prowadził do Ulanowa. Miejsce postoju w Zdziaarach, skąd o 8 rano wymarsz na Janów do Turobina, gdzie po raz pierwszy szpital rozwinął działalność sanitarną i opatrzył, a następnie wiozł ze sobą około 200 rannych. Odtąd zaczyna się już nieprzerwany aż do końca okres natężonej pracy sanitarnej. Na każdym nowym miejscu postoju napływają dowożone z pól bitewnych transporty rannych i tabor szpitala polowego rośnie wydłużając się w nieskończoność.

Dalszy z kolei rozkaz brzmiał: marsz na Krasnystaw, a za nim w czasie marszu nowy rozkaz powrotu do Turobina.

Dnia 14.IX. wieczorem wojenna przygoda w Kopytkowicach, gdzie bombowce rozbiły część taborów dając w rezultacie rumowiska kilkunastu wozów i kilku lekko rannych. I dalej przez Biłgoraj do Smółska. I znowu zwrot rozkazem z drogi. Kilkugodzinne miejsce postoju w Brodziakach i dzień 16. września. Wymarsz przez Tereszpól lasami w kierunku Zwierzyńca. Niestety, znowu losy wojenne nie pozwoliły skutecznie myśli rozkazu, bo za Szozdami na moście na Wieprzu okazało się, że szpital natknął się na zasieki nieprzyjacielskie. Krótkie miejsce postoju i nowy rozkaz marszu na Krasnobród.

W czasie postoju zorientowano się, że pomiędzy taborzem szpitalnym a nieprzyjacielem nie ma już żadnych sił polskich, bo zmotoryzowana Brygada Warszawska wyprzedziła go o jeden dzień marszu. Na skutek więc rozkazu zwrócono kierunek drogi na Kaczórki. Tu nastąpiło spotkanie z szefem sanitarnym grupy Kraków płk. Adamem Szebestą, późniejszym komendantem zcentralizowanych szpitali wojennych w Zamościu.

Nad ranem do wozów długiego już taboru szpitalnego przyłączyło się kilka zabłąkanych formacji sanitarnych powiększając tabor do liczby stu kilkudziesięciu wozów. Kilkugodzinny postój w Kaczórkach i dalej marsz w kierunku na Podklasztorze.

Pamiętna była ta noc marszu. Ostrzeliwane przez artylerię niemiecką liczne tabory tarasując drogę wznosiły niepokój i wzbudzały panikę, skutkiem czego część naszych wozów szpitalnych odłączyła się i pojechała dalej za uciekającymi taborami.

Zatrzymaliśmy się wreszcie w Krasnobrodzie, w budynku poklasztornym na Podklasztorzu. Tu szpital nasz wszedł w drugi etap bohaterkich zmagania z twardym prawem i bezprawiem wojny.

Zaczęło się 19 września rano. Wynoszono rannych pod silnym ostrzałem artylerii nieprzyjacielskiej, bijącej wśród huku pękających granatów.

Natychmiast po przybyciu na miejsce, obsługa lekarzy i siostry PCK bezpośrednio przystąpiła do pracy. Widok to był niezwykły i nikt, kto sam nie przeżywał tych chwil, nie potrafi ich oddać słowami, ani żadne najtęższe pióro nie opisze. Drzwi na rozcież otwarte i przez nie utrudzeni śmiertelnie sanitaci przy akompaniamencie jęków i bolesnych okrzyków przy wtórze grających pocisków wnoszą nieprzerwanym pochodem rannych do wszystkich sal i korytarzy klasztornych. Silne i wytrwałe mury miały stanowić solidną ochronę przed walącymi w nie raz po raz pociskami. W czasie kilka dni trwającego ognia osłaniały one nie tylko zatrważająco zwiększającą się liczbę rannych, ale też chroniły strwożoną i zrozpaczoną ludność cywilną.

Okna sali operacyjnej zasłonięte, choć na dworze jasny dzień i łuna od pożaru okolicznych wsi. Praca odbywa się przy świecach. Ranni leżą na noszach, na słomie, uwalani błotem, utarżani w kale i krwi. Wśród nich siostry PCK i przygodne ofiarniczki niosą pierwszą najniezbędniejszą pomoc. Ale wiele jest przeoczonych, wiele potrzeb niezaspokojonych. Brak naczyń do podania wody, brak wody. Ranni jęczą pić. Lecz studnia daleko, a kule gęsto padają. Nie ma

basenów i co chwila z ciemnych czeluści korytarza odzywa się krzyk i wołanie »sanitariusz, basen«, »siostró, pić«. Ofiarne jednostki bez względu na własne niebezpieczeństwo raz po raz pod obstrzałem bieżą do studni po wodę. Lokujący się chwilowo w klasztorze księża niosą ostatnie posługi duchowne. Kucharze pod osłoną murów wśród strażów gotują obiad. Jeden pada ciężko ranny.

Tragiczny dzień kończy się, nastaje względnie spokojna noc, ale o odpoczynku nie ma mowy. Napływają nowe transporty rannych. W 80% ciężkie wypadki rozszarpań szrapnelami, granatami i odłamkami pocisków.

Trzy zespoły chirurgiczne bez przerwy są w toku natężonej pracy.

21 września znowu straszna krwawa bitwa. Jeden z batalionów KOP'u znalazł się na pobliskim terenie i dowódca jego major, – którego nazwiska nie pamiętam, – wiedziony rozpaczliwym porywem bohaterkiej beznadziejności, zapomniał o traktatach Konwencji Genewskiej i karabin maszynowy ustawiając na wieżycy klasztoru prażył nacierających Niemców, narażając 700 rannych na możliwość zasypania gruzem. Dnia tego pobliskie pola zrosiły się bujnie krwią polskich i niemieckich żołnierzy, a liczba rannych przekroczyła 600 osób. Zmarłych – setki.

Wieczorem major przerwał bitwę cofając się dalej. W niespełna godzinę pod kościół weszli Niemcy. Należy przyznać, że uszanowali znak Czerwonego Krzyża i zabrawszy tylko swoich rannych i w niewolę taborzystów odsunęli się w pobliże.

Do niecodziennych zaiste należały przeżycia zebranych w klasztorze, jak i nastroje psychiczne rannych żołnierzy, a zwłaszcza zrywających dystynkcje oficerów. Rzucano rewolwery przez okno, niszczone dokumenty i wielu, bardzo wielu, przykładło sobie rewolwery do skroni.

Na drugi dzień, to zn. 22 września, nastał względny spokój, wybuchały tylko zabłąkane kulki porzucanych karabinów maszynowych i ręcznych. Niemcy niszczyli karabiny i przebierali w łupach zebranych i ułożonych w ogromne kupy na polu przed klasztorem. Dużo zmarnowało się dobytku, wiele ludzkiej pracy poszło na marne.

Zarożyły się opłotki i podwórza niespalonych okolicznych domów. Tłoczyły się w nich tłumy rozbrojonych jeńców.

Tego dnia wyczerpano wszystkie studnie tak, że przed południem do sali operacyjnej wniesiono wodę z piaskiem. Lekarze i obsługa upadali ze zmęczenia po wymienionej wyżej bitwie. Wszystkie trzy zespoły lekarskie pracowały dobę całą równocześnie, bez zmiany.

Niestety, nie był to jeszcze koniec niewytłumaczonej Golgoty polskiego żołnierza.

Dnia 23 września Niemcy zniknęli z horyzontu okolicznego. Nastąpiła względna cisza i oczekiwanie czegoś.

Około południa poczęły odzywać się niedalekie strzały polskiej artylerii. Niemcy milczeli. Uciekli. W klasztorze radość, entuzjazm.

Nadciągnęły wojska polskie. Rozbitki oddziałów brygady Andersa z przewagą kawalerii nadjechały w dobrej formie i nie zatrzymując się poszły dalej w celu przebicia się.

I znowu z tych bohaterskich umęczonych synów ojczyzny tylko garstka drobna pozostała. Artyleria niemiecka rozbiła ich w pobliskich lasach. Pola ozdobiły się ich trupami, a szpital zdobył wielu nowych pacjentów.

Jeszcze jednej pełnej ognia bitwy był szpital naocznym świadkiem i współuczestnikiem, bo ani kule ani pociski nas nie omijały. Waliły w klasztor i w kościół. Ostatnia bitwa, przysparzająca kilkudziesięciu bardzo ciężko rannych, prowadzona była ze strony polskiej przez przebijającą się bezskutecznie małą artyleryjską formację. Posiadała ona kilka armatek, a Niemcy?... Rezultat wiadomy. W międzyczasie mieliśmy w Podklasztorze wizyty Niemców zachowujących się zresztą zupełnie poprawnie w stosunku do ludności. Wiele dobrego i wiele przysług oddał przez przysłanie żywności i środków sanitarnych Oberstarzt dr Ritter.

Dnia 24 września odeszli Niemcy a przyszli »towariszczi«.

Od dnia 23 września, jeszcze przed chwilowym zaborem niemieckim, rozpoczęła się ewakuacja etapami szpitala do Zamościa. Należy tu podkreślić wysiłek dwóch wytrwałych szefów sanitarnych formacji okręgu krakowskiego – pułkowników Szebesty i Gergowicha przy centralizowaniu szpitali polowych w Zamościu. Jasną plamą serca chrześcijańskiego w ponurej atmosferze szpitali tak w Podklasztorze jak i w Zamościu wybijała się sylwetka ks. kapelana płk. Bombasa.

Dnia 29 września ostatni ranni opuścili klasztor.

Przez wcielenie do Centrum polskich szpitali wojskowych w Zamościu Szpital Polowy Nr 502 przestał istnieć jako jednostka samodzielna.

STEFAN MILER

PRZEŻYCIA WIĘZIENNE

Wojna. Drgnęły serca w niepokoju, czy damy radę. Ale przecież z górą od roku utwierdzano w nas pewność, że jesteśmy »zwarcii i gotowi«. Więc wierzymy, że przy pomocy Anglii i Francji pokonamy odwiecznego wroga. Jednak wypadki potoczyły się z piorunującą szybkością, powstała ogólna panika, przerażenie i chaos. Jak obuchem w głowę uderzył w nas nagły cios niepowodzeń, pomimo bohaterских zrywów obrony, zwłaszcza Warszawy.

Już 13 września 1939 r. ocknęliśmy się w Zamościu w więzach niemieckiej przemocy i zachłanności. W mieście mało zniszczonym od bomb zaczęli rządzić Niemcy, na razie tylko władze wojskowe. Zaczęły się represje w stosunku do przytępianych z bronią lub ludzi Bogu ducha winnych. Nastąpiły pierwsze rozstrzeliwania w koszarach i przed gimnazjum.

Co lepsze gmachy zajęli Niemcy dla siebie rabując lub niszcząc urządzenia i nie darowując nawet szkołom. W październiku po Polskim Czerwonym Krzyżu zabrano gimnazjum. Przy pomocy Żydów wyrzucono ławki, książki, zbiory itp. Dwóch moich kolegów, którzy przyszli do gimnazjum, żeby uratować niektóre cenniejsze przedmioty, zostało brutalnie znieważonych przez niemieckiego kapitana.

Zdaje się w końcu listopada zjeżdża do Zamościa Gestapo. W grudniu zaczynają się aresztowania.

Jedną z pierwszych ofiar był poseł Bolesław Wnuk. Stanisław Dziuba poddaje mi myśl, aby po porozumieniu się z dyrektorem »Snopu« Wiśniewskim szukać drogi do uwolnienia go z więzienia. Przez Niemców mających stosunki handlowe ze »Snopem« próbujemy przekonać Gestapo, że podejrzenie posła o sabotaż jest niesłuszne, że uwięziono człowieka niewinnego. Oczywiście nic to nie pomaga.

Następują nowe aresztowania. Aż przyszła kolej i na mnie.

Zima na początku 1940 r. była bardzo ostra i śnieżna. Pamiętam, że z braku opału rano leżeliśmy jak najdłużej w nieopalanym pokoju.

11 stycznia o godz. 9 rano przy łóżku moim stanął Żydek z opaską na ramieniu i oświadczył, że został przysłany z Gestapo z poleceniem, abym natychmiast udał się z nim do siedziby Gestapo w domu Czerskiego. Gdyśmy tam przyszli, pukam do drzwi z korytarza. Melduję swoje przybycie jakiemuś rudemu gestapowcowi, lecz ten jak wściekłe zwierzę rzuca się na mnie z wymyślaniem, wypycha za drzwi i każe czekać na korytarzu. Ujrawszy krzesło siadam i zapalam papierosa. Jestem niemiłe dotknięty brutalnością pruskiego chama. Tak schodzi godzina. Na korytarz przybywa jeszcze parę osób.

Zapalamy papierosy i gwarzymy po cichu. – Naraz wyskakuje zza drzwi gestapowiec, wydiera mi z ust papierosa i wrzeszcząc i pchając przed siebie skierowuje do pokoju, w którym dwóch młodzieńców pisało coś na maszynach. Tu kazał mi stanąć pod piecem bełkocząc, że nie godzinę nawet stać. Mam tu pozostać, dopóki mnie nie zawołają.

Obserwuję młodych gestapowców. Nie interesują się mną. Upływa znowu godzina. Nogi zaczynają mi drętwieć, pragnę zapalić papierosa. Zwracam się uprzejmie do młodzików z pytaniem, czy pozwolą mi usiąść na wolnym krześle. Zgadniają się, wobec czego proszę również o zezwolenie na zapalenie papierosa. Nie sprzeciwiają się temu.

W międzyczasie słyszę jakieś ryki na korytarzu. Potem się okazało, że wrzasku narobił znany mi już ryży drab, który córce mej, 13 letniej wtedy dziewczynce, siłą zdarł z ramienia odznakę gimnazjalną i kopnął ją wyrzucając na schody w chwili gdy pytała go o mnie.

Około 1 zawołano mnie do szefa. Ze zdumieniem zobaczyłem tu żonę dyskutującą z siedzącym naprzeciwko Niemcem mówiącym śląskim narzeczem. Gestapowiec daje mi krzesło i pyta dość uprzejmie, czy mówię po niemiecku. Ponieważ od pewnego czasu poczułem wstręt do niemczyzny, więc udaję, że mówię bardzo słabo. Wobec – tego mówi dalej po polsku. Wyjaśnia mi, w jakim celu zostałem wezwany: mam podjąć w Kasie Komunalnej podlegające konfiskacie 5.600 zł Związku Legionistów i przynieść je do Gestapo. Ponieważ dzisiaj, przy sobocie, kasa jest już zamknięta, więc mam skutecznie to w poniedziałek o godz. 9 rano. Do tego czasu zostaję zwolniony pod warunkiem, że nie wolno pod grozą śmierci wychodzić z domu ani mnie, ani też żonie i dzieciom. Musiałem podpisać wymuszone zobowiązanie.

W niedzielę cichaczem wpada do mnie kilka osób, m. in. wiceburmistrz Nowacki. Omówiliśmy z nim różne sprawy i to, jak mam się zachowywać w czasie badania w razie ew. aresztowania. Starszy syn stał przed furtką i pilnował, czy kto nie nadchodzi od strony miasta.

W poniedziałek na wszelki wypadek włożyłem na siebie ciepłe ubranie i ciepłą bieliznę i udałem się do dyrektora K. K. O. Fidali, który wydał mi zaświadczenie, że pieniądze przepadły, były bowiem oddane w depozyt do Banku Polskiego i uległy konfiskacie już w pierwszych tygodniach okupacji. – Idę z tym zaświadczeniem do Gestapo. Gdy przez tłumacza, gestapowca Bernata, usłyszał to gruby szef, wpadł w szal, zaczął mi przed nosem wywijać pięściami i krzyczeć, że jestem aresztowany, że godziny moje są policzone itd. Stałem strapiiony, nie pomogły żadne tłumaczenia.

Kazano mi pozostać w sąsiednim pokoju i zamknięto za mną drzwi na klucz. Przechodząc spostrzegłem w korytarzyku posta Wnuka, który stał ze smutną miną w oczekiwaniu na badanie. Przelotnie porozumieliśmy się oczyma wzajem współczując swej doli.

Po paru kwadransach wyprowadzono mnie na dół, gdzie czekało warczące auto, w którym zobaczyłem towarzysza niedoli posta Wnuka. Przywitaliśmy się serdecznie choć milcząco, bo obserwował nas gestapowiec siedzący przy szoferze. – Przygnębiająco działały na nas 2 łopatki leżące pod siedzeniami. – Jedziemy szepcząc z niepokojem, dokąd nas wiozą? – Koło koszar auto skręca na ul. Okrzei i po minucie wysiadamy przed bramą więzienia. – W kancelarii ściągam pierścienek, obrączkę i oddaję pieniądze, szczęśliwie zachował się za podszewką mały ołówek i trochę tytoniu z bibułką. Ze zgrzytem otwierają się kraty korytarzy więziennych i zostaję wraz z Wnukiem odprowadzony do celi Nr 9. Była to jedna z najlepszych, słoneczna cela po dawnej aptece.

Zapoznaję się z towarzyszami. Było ich wtedy ośmiu, m. in. mjr. Czarnecki i leśniczy Spisacki z Biłgoraja. Od Wnuka dowiedziałem się, że go już parokrotnie badano w Gestapo. Skarżył się, że go raz silnie znieważono biciem po twarzy. Zarzucano mu zbieranie ofiar na rodziny po poległych w gminie Wysokie, gdzie był wójtem i ułatwianie ukrywania się b. naszym wojskowym. Zauważyłem, że Wnuk stracił nadzieję, iż go zwolnią i był przekonany o bliskiej

swojej śmierci. Pocieszałem go jak mogłem i podnosiłem na duchu. Widząc łopatki w aucie był pewny, że wiozą nas na stracenie.

Po zapoznaniu się z towarzyszami i oswojeniu z celą opanowałem się zupełnie, a nawet wpadłem w wesoły nastrój, który udzielił się i towarzyszom. Napisałem zaraz humorystyczny wiersz o przygodzie z aresztowaniem i jeździe w aucie z łopatkami. Na pogawędce zeszedł nam czas do kolacji składającej się z kawałka więziennego chleba i niby kawy. Pijaliśmy potem tę lurę dolewając mleka i dosypując cukru dostarczanych nam pokryjomu z miasta przez dozorcę więziennego Wójcika, (zamordowanego w r. 1943 przez Gestapo). Po kolacji ułożyliśmy się do snu na 5 pryzach przy ścianie, na podłych siennikach. Ci, którzy siedzieli tu od dawna zaczęli przeglądać bieliznę polując na wszy. – Cella była ciepła, gdyż Wójcik zaopatrywał nas potajemnie w zwiększone racje opału. Nakryłem się futrem i wkrótce zmorzył mnie sen.

Od tego czasu monotonnie schodził dzień za dniem. Co kilka lub kilkanaście dni mieliśmy widzenie z rodziną. Czekaliśmy na nie z niecierpliwością. Żona dostarczała mi obfitych obiadów, którymi dzieliłem się ze wszystkimi. Inni też otrzymywali paczki z żywnością. Mieliśmy więc co jeść i z więziennego kapuśniaku często nie korzystaliśmy wcale. Chleb więzienny oddawaliśmy kryminalistom za mycie celi, dostarczanie wody i wynoszenie kubła. Oczywiście odbywało się to bez wiedzy Gestapo. Przymykał na to oczy i nadzorca Smolny zarządzający wówczas więzieniem. Wójcik przynosił ustne »grypsy« do mojej żony, by ta ostrzegała różne osoby, o które pytano na badaniach w Gestapo, o czym powiadamiano mnie w ustępie lub na »spacerze«. Wójcik – była to jednostka dzielna i prawy Polak. Również i dozorca Nosewicz, jak to się później okazało.

Niekiedy naszą celę Nr 9 zamykano tylko pozornie. Tym sposobem mieliśmy swobodę ruchu w obrębie korytarza i kontakt z innymi więźniami zwłaszcza z policjantami z Biłgoraja, których tu trzymano od dawna w związku z rozstrzelaniem na początku wojny szpiega niemieckiego Mullera w Biłgoraju. Podobieństwo naszych nazwisk wielu ludzi wprowadzało w błąd i we wrześniu 39 r. było przyczyną przykrych dla mnie nieporozumień. W sprawie Müllera Gestapo w mieszało i niewinnego leśniczego Spisackiego, jego podwładnego. W rezultacie Spisackiego i kilku policjantów wywieziono do obozu, gdzie prawie wszyscy zmarli.

W końcu stycznia i w początkach lutego więzienie zaczęło wypełniać się do tego stopnia, że w naszej celi, przeznaczonej normalnie na 4 do 5 osób, było już, a raz nawet 12 więźniów. Spaliśmy ściśnięci jak śledzie na podłodze i na pryzkach. Nawet w ciągu dnia trudno się było precisnąć.

Przybył do nas aresztowany w Szewni nauczyciel Kądzielewski. Ten nowy towarzysz niedoli doznał przy badaniach w Gestapo bardzo dotkliwych przeżyć. Bito go po całym ciele. Trzymał się dzielnie. Nic nie ujawnił takiego, co mogłoby stać się szkodliwym dla innych. Pytano go również i o mnie. Badano go sadystycznie niemal pół dnia. Wrócił tak zbolący i posiniaczony, że musieliśmy stosować mu okłady. Pojękiwał z bólu. Wkrótce spotkało go to samo po raz wtóry. Bito również ks. Bociana z Suchowoli, oskarżonego o rzekome sprofanowanie grobów niemieckich przez to, że kazał przenieść zwłoki żołnierzy sprzed kościoła, gdzie byli pochowani, poza ogrodzenie pod drzewa. Innego księdza skatowano tak straszliwie, że chodził z trudem i zdradzał objawy obłąkania. Za co – sam nie wiedział. Przypuszczał, że za kazanie w okresie Bożego Narodzenia. Nazwiska tego księdza nie pamiętam. Katowano też w tym czasie urzędnika skarbowego Bartyzela, aresztowanego jednocześnie z fryzjerem Wawrzyszakiem. Pokazywał nam na pośladkach i na plecach duże sińce.

W tym czasie z okna naszej celi kilka razy mogłem widzieć, jak w położonej naprzeciwko kancelarii więziennej gestapowcy wieczorem przeprowadzali badanie. Rozbierano więźnia do bielizny i bito gumą z opon samochodowych. Do uszu naszych dochodziły jęki i błagania, niekiedy nieludzkie ryki katowanych. Po takim badaniu gestapowcy wychodzili na dwór z cygarami w ustach i wycierali sobie śniegiem ręce.

Pozbawienie wolności, rygor więzienny, stawanie na baczność przed zbirami działały na nas przygnębiająco. – Ja się niepokoiłem, dlaczego nie biorą mnie jeszcze do badania. Chciałbym wiedzieć, co mi będą zarzucać. Niechby nareszcie człowiek stanął przed nimi, lecz równocześnie odsuwałem w myśli ten dzień wzdygając się przed znieważeniem.

Nagle któregoś dnia w trzecim tygodniu otworzyły się drzwi celi i zostałem wezwany do kancelarii. Dozorca szepnął mi, że przyszli po mnie dwaj gestapowcy. Kazali mi iść przed sobą. Był poranek. W pewnym miejscu kazali mi się zatrzymać. Wnet usłyszałem ryki oraz ludz-

kie skomlenie i jęki, a także odgłosy policzków i kopañ. To jakiegoś żyda zwalili na śnieg i tratowali nogami za to, że na czas nie uklonił się im i nie odskoczył na bok z drogi. Zanim doszliśmy do domu Czerskiego, jeszcze parę razy byłem świadkiem podobnych scen.

Po wprowadzeniu na górę kazano mi czekać w pokoju szeffa mówiąc, że mogę sobie usiąść w fotelu i palić papierosy, których paczkę pozostawiono na stole. Zdziwiony byłem taką uprzejmością. Po chwili przychodzi gestapowiec Bernat i objaśnia, że kapitan nieprędka nadejdzie, więc przeprasza, ale musi zamknąć mnie na klucz. Mniej więcej po 2 godzinach wchodzi kapitan Gestapo. Wstaję, wita się ze mną, prosi siadać i rozpoczyna badanie. Poprosiłem o tłumacza. Był nim ślepały Bernat. Przyszedł i szef kancelarii. Zapytywano mnie, czym to wyjaśnić, że miałem takie znajomości z różnymi ministrami i generałami i dlaczego w pierwszych dniach września 39 r. zatrzymywał się u mnie gen. Konarzewski. Wy tłumaczyłem, że wśród ministrów i generałów miałem dużo b. kolegów z czasów szkolnych i uniwersyteckich ze Szwajcarii, co się zaś tyczy gen. Konarzewskiego, to zaprzeczyłem stanowczo. Żadnego powstania nie organizowałem, nigdy nie należałem do żadnej partii politycznej, cały swój czas poświęcam szkole i założonemu przez siebie »Zoo«. Pytano o nazwiska ludzi, którzy w Zamościu byli najwięcej czynni w polityce. Wskazałem parę osób, ale już nieżyjących. – Pytano dalej, gdzie ukryto złoto wywiezione z Warszawy, jakie są podziemia w Zamościu. Co mi wiadomo o ukryciu w Zamościu »Hołdu Pruskiego« Matejki? Z jakiego tytułu, jeżeli nie brałem udziału w polityce, byłem prezesem Federacji Obrońców Ojczyzny? Co mnie łączyło z tą lub ową osobą? Dopytywano się zwłaszcza o prezesa T-wa Kresów Zachodnich. – Protokołu nie pisano. Dopiero po odejściu kapitana spisano ze mną moje curriculum vitae. – Byłem zaskoczony kulturalnym zachowaniem się sadystów wobec mnie.

Dni mijały. Pisałem trochę wiersze, godzinami grywaliśmy w karty, czytaliśmy dostarczone potajemnie książki. Ja starałem się podtrzymać na duchu i pocieszać zwłaszcza Wnuka i Zbigniewa Klau dela, którzy – jakby w przeczuciu złego końca – często bywali przygnębieni. Wreszcie któregoś dnia zabrano z naszej celi Wnuka, Klaudela, Kądzielewskiego i rtm. Emicha.

Wkrótce zawieziono mnie do Gestapo, gdzie namawiano, żebym się przyznał do organizowania powstania. Gdy zaprzeczyłem,

spisano krótki protokół i oświadczono mi, że będę wywieziony na nowe śledztwo do Lublina. I tym razem również zachowano się kulturalnie. W tym samym czasie badano w Gestapo b. posła Kostrubałę. Odwieziono nas potem razem do więzienia. Kostrubałę wypuszczono wkrótce na wolność.

W końcu lutego wczesnym rankiem kazano mi się ubrać i zebrać rzeczy. W kancelarii oddano mi pieniądze i pierścionek. Wpakowano mnie do zamkniętego auta wraz z ks. Bocianem i trzema gospodarzami ze wsi.

Koło południa wjechaliśmy w bramę Zamku w Lublinie. Do stałem się do celi N 35, gdzie spotkałem kilku znajomych z Zamościa i z Lublina, m. in. prof. Węgrzyna, mojego b. ucznia, Przeździeckiego – referenta z województwa, ks. Karpińskiego z Białej Podlaskiej itd. Na sali przeważali księża, ogółem zaś siedziało w tej celi 57 osób. Dzięki pomocy P. Cz. Krz. wikt był tu trochę lepszy niż w Zamościu, rygor jednak ostrzejszy. Często wpadali tu na rewizję gestapowcy. W razie znalezienia papierosów, noży lub książek bili i kopali. Spaliliśmy na podłodze na dwóch siennikach we trzech z Wnukiem i Klaudelem. I tutaj graliśmy w karty i czytaliśmy różne książki dostarczane nam przez kryminalistów za chleb. Wstawaliśmy o godz. 6 i porządkowali salę. Następnie był apel, po którym głośno odmawiano modlitwę. Przy apelu trzeba było stać w szeregach na baczność i dobrze znać swoje miejsce. Małe opóźnienie mogło spowodować znieważenie przez gestapowca. Ciągłe i stale człowiek czuł się jak ścigany i osaczony zwierz. – Byłem świadkiem paru bolesnych scen przy rewizjach ubrań, sienników i walizek. Pewnego razu za znalezienie przemyconej kiełbasy jakiś gestapowiec zbił po twarzy rtm. Emicha, za tytoń został kiedyś skopany ziemianin Kamiński spod Siedlec. Kiedy indziej znów wprowadzono na salę wielkiego wzrostu mężczyznę zobandażowaną głową. W rozmowach zdradzał silny rozstrój nerwowy, a często nie można było z nim rozmawiać, bo mówił od rzeczy. Był to lekarz z Wąwolnicy Gościć, którego zbili w Gestapo w okropny sposób.

Wyprowadzano nas na półgodzinne spacery, podczas których kręciliśmy się w kółko pod okiem gestapowców. Ponieważ jednak zaraz na pierwszym spacerze zostałem znieważony uderzeniem pięści w szczękę za to, że nie zdjąłem kapelusza przed zbirami, więc wola-

łem wyrzec się spaceru, aby nie upokarzać się zdejmowaniem okrycia z głowy.

Ponieważ zanim się zasnęło było jeszcze dość czasu, zorganizowaliśmy referaty, żeby znaleźć w nich i w dyskusji po nich pewne odprężenie dla ducha. Ja miałem raz prelekcję z przyrody, mówiłem też o swych wyprawach na szczyty i lodowce Alp przed 30 laty. Były odczyty i z innych dziedzin, z prawa, teologii itp.

Przez ten czas żona moja czyniła usilne starania o zwolnienie mnie z więzienia. Najmocniejszym argumentem był brak opieki nad »Zoo«, co potwierdził Zarząd m. Zamościa. Starania te odniosły wreszcie pożądany skutek, ale przeżyłem jeszcze ciężkie chwile.

Pod koniec marca, w Wielką Sobotę, w rannych godzinach wpadł do celi wielkiego wzrostu gestapowiec i wywoławszy mnie, w opryskliwym tonie kazał natychmiast zabrać rzeczy i iść przed nim. Na pustym korytarzu wyjął rewolwer i tak prowadził mnie parę pięter do kancelarii. Tu kazał zaczekać. Mniej więcej po godzinie weszło trzech gestapowców. Jeden z nich oświadcza, że za 10 minut będę rozstrzelany, jeżeli nie przyznam się do organizowania powstania w Zamościu, po czym odeszli. Siłą woli staram się opanować nerwy. – Owe 10 minut trwały znacznie dłużej. Naraz wpada pierwszy gestapowiec, który mnie przyprowadził. Pyta, czy się przyznaję? Jeżeli tak, to mi winę darują i czeka mnie tylko obóz na czas wojny. Odpowiedziałem, że nie mogę przyznać się do czynów niepopołnionych. Wyszedł zatrzaskując za sobą drzwi. W myśli gotuję się na śmierć. Wtem znów wchodzi dwóch gestapowców. Jeden z nich zwraca się do mnie prosząc, bym usiadł i częstuje papierosem. Powiada, że teraz wierzą mi i spiszą krótki protokół. Gdy podpisałem, wezwany dozorca odprowadził mnie do innej kancelarii, gdzie oddano mi pieniądze. Następnie odprowadził mnie jeszcze do bramy więziennej, skąd dostałem się na wolność. Nie miałem możliwości nawet pożegnać się z towarzyszami niedoli, tak się to nagle stało.

Odetchnąłem upajając się wolnością.

Koleją wróciłem do domu. Przez pół roku musiałem codziennie meldować się w Gestapo, potem już tylko od czasu do czasu. W końcu dali mi spokój z meldowaniem się, gdy oficjalnie ja, założyciel i przyrodnik, zostałem mianowany tylko nadzorcą »Zoo«, kierownikiem zaś sam komisarz miasta Niemiec Krüger.

WACŁAW SKURATOWICZ

ZE WSPOMNIEŃ WIĘZŃIA

Cieężko jest powracać myślą do chwil przykrych, na nowo przeżywać średniowieczne »badania« w Gestapo, przypominać twarze nieżyjących już współtowarzyszy bohaterów i współtowarzyszy donosicieli i szpiclów.

Dziś, z górą po roku, wiele szczegółów zatarto się lub całkiem uleciało z pamięci, a przeżycia niegdyś tak silne i barwne zbladły i spowszedniały pod grubą warstwą nowych.

Brakować będzie w mych wspomnieniach wiele, ale mam nadzieję, że pozostali przy życiu koledzy dotrzymają danego w obozie słowa i kiedyś uzupełnią niejedno.

Część I

Badanie w obozie w Zwierzyńcu

Pierwszego kwietnia 1943 r. o godz. 6 min. 30 obudziło mnie głośne pukanie i zmieniony głos Matki: ...»Zabrali Józka... szukali ciebie... uciekaj...«

Kto przeżywał podobną chwilę, ten wie, jak szybko i sprawnie pracuje wówczas myśl; jak stanowczą jest raz powzięta decyzja. Czułem, że uciekać nie mogę, że okupić własną wolność kosztem życia brata nie mam prawa.

Śpiesznie ubrałem się, starannie zrewidowałem kieszenie, przejrzałem skrytki, czy nie zostały w nich jakieś kompromitujące szpargały i wyszedłem z pokoju. Na schodach spotkałem dwóch żandarmów ubranych po cywilnemu. Na miejscu przeprowadzili oni u mnie osobistą rewizję i aresztowali. Do Matki i najbliższej rodziny nie pozwolili mi się zbliżyć, ale wryły mi się w pamięć ich blade, przerażone twarze. Z daleka pożegnałem ich uśmiechem. Po chwili byłem już za drutami.¹

W baraku, dokąd mnie wprowadzono, zobaczyłem bladego z rozwichrzonymi włosami starszego brata Józefa, listonosza zwie-

¹) Autor mieszkał w Zwierzyńcu w budynku szpitalnym u swego wuja lekarza Ordynacji Zamojskiej. Obóz otoczony zewsząd dwoma rzędami drutów kolczastych zaczynał się tuż przy ogrodzie szpitalnym. Pierwotnie przeznaczony był dla jeńców wojennych, potem umieszczano tu wysiedleńców. W baraku karnym trzymano aresztowanych. (*Przyp. red.*)

rzynieckiego Boratyna, małego kapitana Gestapo Waldemara Trautweina, którego już kiedyś widziałem w Zwierzyńcu i kilku Ukraińcom w czarnych furażerkach z trupimi główkami.

Boratyna wkrótce zwolniono, brata zaś odprowadzono do innego baraku. Dopiero wówczas Trautwein zwrócił się do żandarma Schriede¹ (zwanego przez nas później »Zygmuntem«) i kazał związać mi ręce.

Całą uwagę skupiłem na Trautweinie. Stanowcze ruchy, cienkie, mocno zaciśnięte wargi, wysokie, pięknie sklepione czoło, wyraźnie zarysowany podbródek oraz duże, żywe i mądre oczy wszystko to mówiło, że mam przed sobą człowieka nieprzeciętnego. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie. Trautwein nie spuszczał ze mnie wzroku wycedził przez zęby: »Das ist Kommendant des Reions«. – Odpowiedziałem uśmiechem. To rozwścieczyło go, podbiegł do mnie i z całej siły uderzył w twarz. Policzek był tak niespodziewany, że straciłem równowagę i upadłem na pobliski stół. – Tuż przed moją twarzą znalazła się kartka z wykazem nazwisk. Zdążyłem odczytać tylko pierwsze: Osuch, Adamomicz, Michalik, Malinowski...

Od początku oczekiwałem krzyżowego ognia podstępnych pytań, łapania za słówka itp. Policzek przywrócił mnie do równowagi. Na bicie byłem przygotowany, fakt zaś, że Trautwein dał się sprowokować uśmiechem i rozpoczął badanie od bicia uspokoił mnie, a nawet dodał pewności siebie.

Ukraińcy przynieśli »koziółek«. – Jest to przyrząd podobny do krzyżaka. Składa się z podłużnej belki ustawionej poziomo na dwóch parach nóg. Nogi te u dołu połączone są dwiema podłużnymi listwami przebiegającymi równolegle do belki górnej. Szyję badanego przywiązują do dolnej listwy z jednej strony, nogi zaś do drugiej listwy. Przegięty w połowie tułów opiera się brzuchem o górną belkę koziółka. – Tak też i mnie krawatem przywiązano za szyję z jednej strony koziółka, nogi zaś pasem z drugiej.

Rozpoczęło się »badanie«.

Bił sam Trautwein linką grubości palca, splecioną z drutu stalowego, zakończoną żelaznym kółkiem.

Ile czasu to trwało, nie potrafię określić, pamiętam tylko, że zmęczył się, zaklął, kopnął mnie kilka razy i oddał linkę jakiemuś rudemu żandarmowi.

¹⁾ Prawdziwe jego nazwisko było podobno Pietruszka. (*Przyp. aut.*)

Rudy, dobrze odżywiony byczek, bil wszędzie – po nogach, po plecach, po pośladkach, ale najczęściej po kości krzyżowej i w okolicy nerek. Postanowiłem nie krzyżeć, a to właśnie najbardziej podniecało bydlaka. Wpadł w szal bicia. Ból stawał się coraz ostrzejszy i coraz trudniej było powstrzymać się od krzyku.

Na szczęście podjechała taksówka, odwiązano mnie i odstawiono koziołek. Weszło dwóch żandarmów w cywilnym ubraniu, a za nimi Jan Lembrych, pracownik spółdzielni w Zwierzyńcu i blady, z zakrwawioną na piersiach koszulą Tyszko, robotnik z tartaku. Tyszko został, nas z Lembrychem związano razem i z powodu braku odpowiedniego lokalu umieszczono na razie w aucie.

Po 15 – 20 minutach wróciłem do baraku. Rudy żandarm radził »po przyjacielsku« przyznać się do wszystkiego, podać nazwiska kolegów i »dawał słowo«, że wówczas mnie zwolnią. Odpowiedziałem, że nie wiem nawet o co jestem posądzony. Dostałem za to parę razy »w zęby« i znalazłem się znów na »kozyłku«. Teraz biło równocześnie dwóch – rudy i młody o bezmyślnej twarzy Ukrainiec Wańka, nazywany przez nas potem »Mordaty«. Wańka tłukł laską.

Milczeć już nie mogłem, ale oprawcy nie zwracali na krzyki żadnej uwagi. Od czasu do czasu przerywali bicie, aby odsapnąć i wówczas rudy powtarzał zawsze to samo: »Gadaj co wiesz«.

Oczywiście »nic nie wiedziałem« i młocka zaczynała się od nowa ze zdwojoną siłą.

Próbowałem bronić się. Dwukrotnie silnym podrzutem ciała przewróciłem koziołek, ale tym sposobem tylko pogorszyłem sytuację. Rudy zdjął mundur, zakasał rękawy. To samo zrobił Wańka i ciosy posypały się znowu. Krzyk mój zamienił się w chrapliwy ryk. Wreszcie Trautwein kazał przerwać bicie, zamienił kilka słów z rudym i Wańka odwiązał mnie.

– »Ty głupi« – zwrócił się do mnie rudy – »lepiej przyznaj się sam, – my i tak wiemy wszystko«. Odpowiedziałem jak poprzednio, że nie wiem, o co im chodzi.

Wówczas postawiono mnie odwróciwszy twarzą do ściany. W głębi pokoju otworzyły się drzwi i rudy zapytał: – »Ten?«

– »Ten« – brzmiała odpowiedź.

– »Należał do organizacji?« – pytał dalej rudy.

»Należał« – usłyszałem z trudem wymówioną odpowiedź.

Głos był zmieniony, złamany, ale poznałem go od razu.

Ta chwila była gorsza niż bicie, – usłyszałem oskarżenie i wyrok z ust współpracownika.

Trautwein przez cały czas nie spuszczał ze mnie wzroku, z twarzy odczytywał wrażenie i oczy jego błysnęły triumfująco.

Zapomniałem o bólu, badaniu i o tym, co mnie czeka, zapomniałem o rudym i Wańce, – miałem przed sobą tylko drwiące oczy Trautweina i ruiny przygotowanych z góry odpowiedzi i wykrętów. Myśl pracowała gorączkowo, podsuwała coraz inne pomysły i układała plany, ale wykrywszy w nich braki natychmiast odrzucała i szukała nowych. Nie przyznawać się nadal było bezcelowe, musiałoby dojść do konfrontacji, w czasie której mogłyby »wyskoczyć« rzeczy nowe, obciążające nie tylko nas, już aresztowanych, ale i osoby będące na wolności.

Tego obawiałem się najwięcej.

Postanowiłem »przyznać się«, a równocześnie przekonać się, czy jedyny wśród oprawców inteligentny i bystry człowiek, którego należało obawiać się najbardziej, t. j. Trautwein, zna język polski? Zwróciłem się więc wprost do niego ze słowami: – »teraz już mogę powiedzieć wam prawdę« – i oczekiwałem wrażenia. Z wyrazu twarzy widać było, że nie rozumiał, gdyż z nieukrywanym zacięciem skierował wzrok najpierw na rudego, a gdy ten przetłumaczył moje słowa, niedowierzająco spojżał na mnie.

Jeszcze jeden atut – pomyślałem sobie – przesłuchanie przez tłumacza-żandarma nie jest już tak niebezpieczne, tym bardziej, że żaden z żandarmów nie grzeszył inteligencją.

Trautwein zasiadł przy stoliku i z niecierpliwością oczekiwał zeznań. Powiedziałem, że należałem do organizacji, której nazwa nie jest mi znana, że złożyłem przysięgę i byłem punktem pocztowym, lecz treści korespondencji nie znam, ponieważ zawsze była zaklejona, że osób, które mi ją przynosiły nie znam. Byli to ludzie zamiejscowi.

Trautwein starannie zanotował zeznania, lecz był wyraźnie zawiedziony, przypuszczał przecież, że ma przed sobą komendanta regionu i kilkakrotnie to powtórzył. Gdy zaprzeczyłem, uderzył mnie na odlew w twarz. Po raz pierwszy straciłem panowanie nad sobą. Wściekły gniew ścisnął mnie za gardło i mimo, że miałem związane z tyłu ręce zrobiłem krok z zamiarem przewrócenia i skopania oprawcy. Trautwein z twarzy i ruchów odczytał ten zamiar, cofnął się szybko i wprawnym ruchem sięgnął po rewolwer. W tejże chwili ktoś z tyłu

silnie szarpnął mnie za kołnierz, a Wańka ręką rękawicą bagnetu uderzył w głowę. Przewróciłem się na ziemię, z której natychmiast mnie podniesiono. Z rozciętej skroni ciekła krem zalewając oko i nieprzyjemnie spływała po twarzy aż za koszulę, – obrzydliwa, ciepła, lepka krew.

– »Na koziuk« – wybełkotał przez zaciśnięte zęby Trautwein błyskając gniewnie oczami i wskazał na sąsiednie drzwi.

W niewielkim pokoiku stały trzy łóżka, szafka wojskowa, obok niej stolik i dwa taborety, na środku zaś dobrze mi już znany »koziołek«. Dwa łóżka były puste, ze środkowego leniwie podniósł się gruby żandarm, przetarł zaspiane oczy, powoli wciągnął mundur i wyszedł.

Rudy rozwiązał mi ręce i podwijając wyżej rękawy koszuli z drwiącym uśmiechem zaproponował:

– »Może poboksujemy się?«, – a mówił dobrze po polsku.

Z żalem spojrzałem na zsiniałe, obrzękłe, ciężkie jak ołów dłonie. Grube, obce palce odmawiały posłuszeństwa, nie dawały się zwinąć w pięść. Rudy zrozumiał intencję:

– »Ja wiem, tybyś chciał, – cholero!« – i ulokował na mojej twarzy kilka fachowych ciosów. Boks nie był mi obcy. Zrobiłem parę »uników« zasłaniając się przedramieniem i ramieniem, ale to właśnie, oraz fakt, że pierwsze jego ciosy nie powaliły mnie od razu na ziemię, tylko pogorszyły sprawę, – wpadł w pasję. Przepisy bokserskie dla bydłaka przecież nie istniały, bił właśnie w miejsca zakazane i najbardziej bolesne pomagając sobie ciężkimi żołnierskimi buciorami.

Uspokoił się dopiero wówczas, gdy na dobre rozkrwawił mi nos, usta i mocnym kopnięciem w brzuch powalił na ziemię. Z rozmysłu nie podnosiłem się udając zemdlenie, aby chociaż przez chwilę odpocząć.

Rudy zadowolony ze swej »fachowej roboty« przechadzał się po pokoju pogwizdując jakąś wesołą melodię. Wreszcie pochylił się nade mną, trącił butem i widząc, że otworzyłem oczy przykucnął i ze słodką serdecznością w głosie począł namawiać mnie do zwierzeń. Twierdził, że i on – były uczeń Szkoły Handlowej w Zamościu – czuje się Polakiem, że również zajmował się pracą konspiracyjną, ale zobaczywszy jak wiele szkody przynosi to narodowi wydał kolegów i obecnie pracuje nad wypłenieniem zła. Radził i mnie zrobić to samo. Ze wstrętem patrzyłem na jego rumianą, spoconą twarz i przymilnie przymrużone

oczy sadysty. Widząc, że milczę podsunął mi pod twarz czerwoną, porośniętą rudym włosiem pięść i ze złością wyksztusił:

– »Będziemy ciebie bić... aż zabijemy... aż powiesz wszystko«.

Dalsze jego słowa przerwało wejście dwóch Ukraińców będących w służbie u Niemców. Na rozkaz rudego podnieśli mnie z ziemi kopniakami i związali ręce. Znalazłem się znowu na koziołku.

Zaczęła się młocka. Krzyk sprawiał mi ulgę, chociaż czułem, że w ten sposób szybko tracę siły.

Nauczony doświadczeniem nie próbowałem już przewracać »koźła«, lecz trzykrotnie z powodzeniem symulowałem omdlenie rozluźniając mięśnie i całą siłą woli powstrzymując krzyk. Bicie za każdym razem przerywano i cucono lejąc za koszulę zimną wodę i piwo. Było mi zimno i bez tego, dygotałem całym ciałem, szczęki latały jak oszalałe, a mimo to symulacja omdlenia była jedynym wypoczynkiem.

Około południa żandarmi poszli na obiad, odwiązano mnie od koziołka i wyprowadzono z pokoju. Z wielkim trudem trzymałem się na nogach i przy każdym kroku zataczałem się jak pijany. W sąsiednim pokoju podłoga zalana była wodą i krwią, stały dwa przewrócone stołki, obok strzępów mojego serdaczka leżały poszarpane resztki koszuli. Nieco z boku na stołku siedział jakiś człowiek, a raczej »łach ludzki«. Twarzy nie było widać, gdyż miał narzucony na głowę brudny worek. Przez podartą moką koszulę widać było nagie posiniaczone ciało, ręce i głowa zwisały bezwładnie. Od czasu do czasu całe ciało wykonywało jakieś nerwowe podrzuty, lecz łkania nie było słychać, mięśnie to kurczyły się gwałtownie, to rozluźniały drgając bez przerwy. Dopiero potem dowiedziałem się, że był to Lembrych.

Odprowadzono mnie do następnego pokoju. Na pryczy z podwiniętymi nogami siedziała kiwając się miarowo całym tułowiem Irena Krasulanka, urzędniczka Urzędu Gminnego w Zwierzyńcu. Popielata barwa pokrytej sińcami twarzy, zapadnięte policzki, bezmyślnie utkwione w jeden punkt oczy, rozwichrzone włosy, których garście całe leżały na podłodze, a szczególnie wyraz kompletnego zobojętnienia zrobiły na mnie bardzo silne i przygnębiające wrażenie. Nie uniosła głowy nawet wówczas, gdy wszedłem. W głębi pokoju pod oknem siedział Jan Maciukiewicz, listonosz zwierzyniecki, z wyrazem bezradności na twarzy. Siadów bicia nie było na nim znać, – przywitałem go spojrzeniem.

Usiąść nie miałem odwagi, gdyż nawet najlżejsze dotknięcie stłuczonych i opuchniętych części ciała sprawiało mi ostry ból. Chciałem zapytać Maciukiewicza o niektóre szczegóły, ale przypomniawszy sobie, że mogą nas podsłuchiwać spytałem tylko, czy był już badany. Odpowiedział twierdząco. – Zapadło milczenie.

Dopiero teraz mogłem spokojnie zastanowić się nad wydarzeniami dnia i należycie ocenić sytuację. Nie sądziłem, aby ktokolwiek z nas wyszedł na wolność. Najbardziej jednak gnębiła mnie myśl o losie brata, który przypadkiem i tylko z mojego powodu dostał się w ręce Gestapo, a gdzieś w głębi świadomości niejasno tkwił żal do człowieka, który mnie sypnął. Co chwila zaglądali do nas wartownicy-Ukraińcy sprawdzając, czy wszystko jest w porządku.

Po obiedzie wrócili żandarmi. Jeden z nich przyprowadził Jadzię Kamińską, urzędniczkę Urzędu Pocztowego w Zwierzyńcu. Przemogłem wstręt i pierwszy raz zwróciłem się z prośbą o rozwiązanie rąk. Obejrzał je i rozwiązał pasy. Dłonie były trupio sine i zupełnie martwe, o ruchach palcami nie było mowy. Dopiero po pół godzinie szarpiący ból oznajmił, że są jeszcze żywe.

Nagle przez okno zobaczyłem, że prowadzi brata.

Nie potrafię opisać, co się wówczas ze mną działo. Przeżywałem bardzo ciężkie chwile. Nerwy napięły się, słuch wystrzył, z przerażeniem oczekiwałem badania i krzyków. Nogi odmówiły mi posłuszeństwa, zapomniałem o bólu i ciężko osunąłem się na ławkę obok Maciukiewicza. – W sąsiednim pokoju słychać było tylko chrapliwe dźwięki znieprawionej niemieckiej mowy i od czasu do czasu przerywany głos brata. Jeszcze przesłuchanie... Zaraz zaczną bić... – przelatowały mi myśli z szaloną szybkością. Czekałem...

Wtem drzwi się otworzyły i zobaczyłem Józka bez czapki, lecz w płaszczu. Nie wiem skąd wzięły się siły, – zerwałem się z miejsca i nie zważając na obecność żandarma oraz Ukraińców podbiegłem do niego i jak smarkacz ze łzami całując go po rękach prosiłem o przebaczenie. Józek schwycił mnie w ramiona, mocno przycisnął do siebie i serdecznie, po bratersku pocałowaliśmy się.

Uspokajał mnie jak mógł i umiał, pomógł dojść do ławki, a gdy ruchem wskazałem mu, że siedzieć nie mogę, podścielił swój płaszcz i ostrożnie posadził na ławce. Sam usiadł obok tak, abym mógł oprzeć głowę na jego kolanach. Rozmawialiśmy szeptem... Dowiedziaw-

szy się, że nie bito go jeszcze i że przesłuchanie odbyło się spokojnie, opowiedziałem mu o wyspie i poinformowałem, jak przedstawia się moja sprawa.

Tymczasem Ukraińcy przyprowadzili Jasia Lembrycha, który nie mógł iść o własnych siłach. Jadzia Kamińska ustąpiła mu miejsce na pryczy, lecz i on nie mógł siedzieć. Jęczał, gdy go układano na pryczy, jak ryba chwytął ustami powietrze i słabym głosem skarżył się na serce...

Na przesłuchanie wezwano Irenę Krasulanę. Długo nie wracała, lecz ani krzyków, ani bicia nie było słychać...

Po niej wezwano mnie.

Towarzystwo zastałem znacznie liczniejsze. Oprócz Trautweina było trzech żandarmów i dwóch wysokich tęgich gestapowców. Z miejsca zaczęto mnie indagować o Zamość. Nie pomogły wykrętne odpowiedzi i udawanie, że nie rozumiem o co im chodzi, – znalazłem się ponownie na koziołku.

Bili gestapowcy Trautwein i Zeig, bili umiejętnie w miejsca najbardziej bolesne, w okolicę nerek i po kości krzyżowej. Obolałe i opuchnięte ciało reagowało na nowe uderzenia znacznie silniej niż przed południem, toteż już prawie po pierwszych ciosach zacząłem krzyczeć. Trautwein co jakiś czas przerywał bicie i palcami badał nerki. Za czwartym razem wyczuł zapewne, że są opuchnięte, zamienił kilka słów z Zeigiem i nerek więcej już nie tknęli.

Kilkakrotnie próbowałem »bronić się«, aby chociaż na chwilę przerwano bicie i krzyczałem: »powiem!! powiem!!«..., ale na zapytanie nie mogłem znaleźć innej odpowiedzi jak – »przecież ja nic nie wiem«. – Jak się później dowiedziałem, sposobu tego używali wszyscy bici w czasie badań. – Potem oprawcy przestali już zwracać uwagę na moje krzyki i nie przerywali bicia.

Ból był tak potworny, że przestałem panować nad sobą, jedynym pragnieniem było przerwać bicie, przerwać za wszelką cenę. Ostatnim wysiłkiem woli zebrałem siły, naprężyłem mięśnie i szarpnąłem się. Pękł pas krępujący nogi i rzemyk, którym przywiązana była szyja. Koziołek poleciał gdzieś pod nogi gestapowców, a ja z robiwszy »salto« przez głowę plecami upadłem na podłogę.

Padając przypadkiem zaczępiłem obcasem, od którego w czasie poprzednich badań odpadła guma, dłoń jednego z gestapowców i na-

jeżonymi gwoździami zraniłem ją do krwi. Syknął z bólu, zaklął po niemiecku i krzyknął na Ukraińców. – Na zawsze pozostaną mi w pamięci ich czerwone od wódki, zwierzęce, przekrzywione mordy. Śniły mi się one później w obozie, a nawet kilka miesięcy po zwolnieniu.

Rzucili się na mnie, tłukąc kolbami, kopiąc i depcząc po twarzy, po piersiach, po brzuchu. Nie wiem, co się działo później – pierwszy raz w życiu zemdlałem.

Jakie szczęście jest zemdleć w czasie badania, wiedzą dobrze wszyscy ci, którzy to przeżyli. Och, wiedzą oni również, jak straszne jest przebudzenie. Gdy odzyskałem przytomność i z trudem otworzyłem oczy, zobaczyłem nad sobą pijane twarze gestapowców.

Przeskok do rzeczywistości był tak gwałtowny i przykry, że z przerażeniem zamknąłem oczy.

Ukraińcy podnieśli mnie z ziemi i wyprowadzili do sąsiedniego pokoju »na odpoczynek«. Wpadłem wprost w objęcia Józka, ale długo nie mogłem uspokoić swoich nerwów. Wyglądałem podobnie jak Jasio Lembrzych. Byłem mokry od wody, którą mnie cucono, marynarka zwisała strzępami, z policzka rozdartego obcasem lub też kolbą ciekła krew, a najłżejszy nawet wdech sprawiał ostry, głęboki ból w klatce piersiowej.¹⁾

Około godz. 4 przyprowadzono braci Wacława i Józefa Rzeszutków. Starszego Józefa wzięto na badanie i wkrótce usłyszeliśmy charakterystyczne uderzenia linką. – Już przedtem Ukrainiec Kremarenko wyciągnął z szafy kilka litrów wódki, ale teraz to już pili wszyscy bez przerwy. Co chwila wpadał do naszego pokoju któryś z Ukraińców lub żandarm po nową butelkę. Pokażna ich ilość mieściła się w szafie przy drzwiach.

Za ścianą w pokoju badań było coraz głośniejsze: krzyki Józia mieszały się z wściekłymi klątwami gestapowców, z uderzeniami i z łoskotem przewracanych stołków tworząc jakieś piekielne słuchowisko.

Wreszcie wszystko uciszyło się i zawołano znów Irenę Krasulanekę. Józio wrócił. Wszedł sprężystym, żołnierskim krokiem z dumnie podniesioną głową, chociaż ogromny siniec pod okiem i rozwichrzo-

¹⁾ W następstwie tego bicia jedno żebro ruchome i wylew w prawej opłucnej mam do dnia dzisiejszego.

ne włosy oraz powalane ubranie wskazywały wyraźnie, że przeszedł dużo. Postawą swoją i zachowaniem się zaimponował mi. – Niestety, nie długo, »wypoczywał«, bo po Irenie wezwano go ponownie.

Dla nas z domu przysłano kanapki i ciepłe mleko w termosie. Jeść nie mogłem, ale mleko wypić chciałem, – nareszcie ogrzałem się, jednak trząść się nie przestałem mimo, że Józek otulił mnie płaszczem. Wiedziałem, że zbliża się moja kolejka i teraz postanowiłem skorzystać z cyjanku potasu. Jedną porcję zaszyła mi Matka w rękawie marynarki, druga ukryta była w bucie, trzecia w kieszeni do zegarka. Tę ostatnią oddałem Józkowi. Ułamkiem żiletki rozciąłem rękaw marynarki, lecz rurka stłukła się podczas badania i trucizna wysypała się. Widząc to Józek zwrócił się do mnie:

– »Weź moją... Ja jej i tak nie zażyję... Ja chcę żyć...«

Nie dziwiłem się jemu, przecież on nie przeszedł całej potworności badań, w przeciwnym razie uważałby truciznę za zbawienie i jestem pewien, że nie zwróciłby mi jej za nic.

Nagle padło kilka pojedynczych strzałów, po nich zagrał karabin maszynowy. Rozpoczęła się bezładna strzelanina.

W sąsiednim pokoju od razu wszystko ucichło.

– »To Podkowa, chce nas odbić!« – szepnąłem do Józka i w wyobraźni błysnęły mi czarne, zdecydowane na wszystko oczy.

Zapanowało wśród nas ożywienie, wróciła nadzieja odzyskania wolności, z napięciem oczekiwaliśmy dalszych wydarzeń.

Przez okna widać było jak gestapowcy, żandarmeria i Ukraińcy w popłochu i nieładzie wybiegali jeden po drugim z baraku ładując w biegu karabiny i pistolety maszynowe.

Trudno opisać, jak wielką satysfakcję mieliśmy patrząc na tę scenę.

Wrócił Józio Rzeszutko. Za nim wszedł blady, zmieniony nie do poznania żandarm z pistoletem w ręku i przerywanym głosem zapowiedział: – »Kto spróbuje uciekać – będzie zastrzelony«

Tymczasem strzały ucichły, gestapowcy i żandarmi powoli wracali do baraku. – Okazało się, że z sąsiednich baraków uciekał jakiś chłop wzięty podczas akcji na Wywłoczce. Rozwiały się nasze nadzieje, wróciło przygnębienie.

Wkrótce przyprowadzono winowajcę i zaczęto go bić. Krzyczał okropnie. – Całą jego winą była chęć zdobycia wolności. – Zakrwa-

wionego delikwenta Trautwein i Zeig wyprowadzili na podwórze i tuż przy baraku zastrzelili. Przez okno widziałem, jak Zeig wycierał chusteczką lufę i skrwawione ręce.

Wezwano teraz mnie na przesłuchanie. Józek pomógł mi podnieść się i odprowadził do drzwi.

Znalazłem się w pokoiku, gdzie rano oprawiał mnie rudy sam na sam z Trautweinem. Związano mi ręce paskiem i kazano stanąć w pobliżu szafki. Na wstępie Trautwein uderzył mnie kilkakrotnie po twarzy. Był za niski i z trudem mógł sięgnąć do mojej twarzy, toteż przystawił stołek i dopiero wówczas zaczął rozkoszować się biciem. Bronić się nie miałem siły i nie chciałem, przeciwnie – starałem się nie uchylać od uderzeń i nie stracić równowagi, ale za to z taką pogardą i odrazą patrzyłem w jego zaczerwienione od nadmiaru wódki oczy, że całkiem stracił panowanie nad sobą, zaczął kopać w brzuch i chwyciwszy za uszy bezmyślnie tłukł moją głową o ścianę. Z naderwanych małżowin i z nosa ciekła krew, ale on w szale tłukł bez przerwy powtarzając w kółko: »Camosc... Camosc... Camosc...«

Opamiętał się dopiero wówczas, gdy moją głową rozbił przednią ścianę szafy. Zeskoczył z taboretu, obmył wódką skrwawione ręce i zawołał Ukraińców.

Dreszcz przerażenia przebiegł mnie po całym ciele. Nie bałem się kopniaków, deptania butami ani uderzeń kolbą, ale pewność, że zobaczę za chwilę znowu te przekrzywione twarze odbierała mi zdolność myślenia i paraliżowała ruchy. Zastygłem w oczekiwaniu...

Wpadli jak i wówczas z hałasem, brutalnie rzucili mnie na koziołek i zaczęli bić. Trautwein wyszedł. Potworny, zwierzęcy ryk wydobywał się z mojego gardła, rzucałem się na koziołku próbując przewrócić go lub zerwać pasy, ale siły były już wyczerpane, mogłem jedynie krzyczeć. – W czasie tego bicia wypadł mi z kieszeni obrazek Matki Boskiej z Kalwarii Zebrzydowskiej. Podniósł go Ukrainiec Gołda i zachował się tak, że sceny tej opisywać nie mogę i nie będę. Wreszcie wzrokiem powstrzymałem go od zniszczenia tej świętej dla mnie pamiątki. Zwrócił mi ją bez słowa, a nawet sam włożył z powrotem do kieszeni, gdyż ja ręce miałem związane.

Nie przerwano bicia, gdy przyszedł do pomocy »Mordaty«, który zwracając się do kolegów powiedział: »Won tam za zaborom stoit usatij starik i płaczet«.

Wuj!!! – przeleciała mi od razu myśl... Wuj, który mnie kochał jak syna... Na pewno poznał mój głos i płacze...

Nie wolno mi krzyczeć więcej! Nie wolno... nie wolno... nie wolno... – powtarzałem prawie na głos i mocno zacisnąłem zęby. Ciosy sy-pały się nadal, wola jednak okazała się silniejsza, więcej nie krzykną-łem... Wkrótce straciłem przytomność. (Brat, który słyszał to wszystko z odległego pokoju był pewien, że już mnie zabito).

Cucono mnie nie odwiązując od koziołka i dopiero, gdy odzy-skałem przytomność, zdjęto pasy. Bezwładnie osunąłem się twarzą na ziemię. Ukraińcy gawędząc odpoczywali.

»Mordaty« zwrócił się do mnie: – Słuszaj ty, zaczem tiebie eto, soznajsia i bit' pierestanut«.

»Durak« – dorzucił pogardliwie Gołda – »wied' oni i tak wsio znajut«.

Milczałem dygocząc całym ciałem jak w febrze z jedynym pra-gnieniem, by jak najprędzej umrzeć.

Do pokoju wszedł Trautwein, Zeig, stary leitnant żandarmerii Ebeling, »Zygmunt«, a za nimi Irena Krasulanka.

Obecność Ireny zaniepokoiła mnie, – przecież przesłuchania od-bywały się w sąsiednim pokoju, tam był stolik, krzeselka, przybory do pisania i tam sporządzano protokoły zeznań.

Nie mogłem pojąć, co to znaczy. Dotychczas nie zdarzyło się, aby bito dwóch ludzi na raz, zresztą i pokoik był na to za ciasny.

Niedługo czekałem, – rozebrano mnie do koszuli i zaczęto bić po gołym ciele. Muszę przyznać Trautweinowi wielkie zdolności inwen-cyjne. Trudno wynaleźć lepszy sposób dla poniżenia godności ludz-kiej, dla moralnego i psychicznego złamania człowieka. – W całej tej scenie tyle było obrzydliwości i wyrafinowanego sadyzmu, że nawet »Zygmunt« nie wytrzymał nerwowo i nieznacznie wymknął się do są-siedniego pokoju. – Irena skulona, zasłaniając twarz rękami, wtuliła się w najdalszy i najciemniejszy kąt pokoju.

Wstyd, odraza i ból mieszały się, tworząc jakiś koszmarny zespół. Uderzenia stalową linką po nagim ciele paliły jak rozpalone żelazo. Ale i w tej najkrytyczniejszej dla mnie chwili nie ztraciłem kontroli nad sobą, przeciwnie – myśl jakby nie ufając sobie długo i wszech-stronnie analizowała każde pytanie gestapowców, starannie formu-łowala odpowiedzi. Miałem wrażenie, że myśl odłączyła się od ciała

i stanowi odrębny samodzielny świat. Ból rósł z każdym uderzeniem i zbliżał się do kresu swego nasilenia. Czułem jak puchnie stłuczone ciało. Pytano nadal o Zamość i o ludzi stamtąd. Podałem kilka zmyślonych nazwisk w nadziei, że przerwą bicie, a ja będę mógł połknąć cjanek. Ale oprawcy byli tak podnieceni alkoholem i zaabsorbowani własną »pracą«, że niewiele zwracali uwagi na moje słowa.

Wówczas zwróciłem się do Zeiga, aby mnie zastrzelił. Uśmiechnął się z zadowoleniem i drwiąco odpowiedział: – »My wiemy, że chciałybyś. My wiemy«. – Po polsku mówił poprawnie.

Kazano mi wreszcie ubrać się, ale nie mogłem. Ciało było tak spuchnięte, że spodnie okazały się za ciasne, – nie mieściłem się w nich. Patrząc na moje usiłowania gestapowcy wybuchnęli śmiechem.

Na zawołanie Trautweina wszedł »Zygmunt« z dwoma żandarmami. Otoczyli mnie wszyscy kołem i zaczęli bić.

Kiedyś – jeszcze jako uczeń gimnazjum – byłem na »Róży« Żeromskiego. Scena bicia w więzieniu zrobiła na mnie bardzo silne wrażenie i na zawsze utkwiała w pamięci. Obecnie na własnej skórze przeżywałem podobne badanie. – Ciosy padały ze wszystkich stron, gdzie tylko skierowałem przerażony wzrok, wszędzie widziałem wykrzywioną gniewem twarz i podniesioną do ciosu rękę.

Ebeling bił butelką, Zeig szpicrutą, Trautwein stalową linką, żandarmi zaś laską i nóżką od taboretu.

Bili po głowie, po rękach, plecach, piersiach i po brzuchu. Odbiwszy się od jednego oprawcy wpadałem pod ciosy drugiego i tak w kółko. Kilka razy padałem na podłogę, ale kopnięciem zmuszano mnie do podniesienia się. Byłem już zupełnie wyczerpany, z nosa, z ust oraz z ran na skroni i na policzku ciekła krew.

Naraz przysłała mi do głowy zbawienna myśl.

Poprosiłem, aby przerwano bicie obiecując, że pokażę mieszkanie gońca w Zamościu, jeśli mnie tam zawiozą.

Zgodzili się od razu. Pozwolili nawet zabrać płaszcz i pożegnać się z bratem. Szeptem wyjaśniłem mu swój zamiar. Ucałowaliśmy się mocno, długo nie wypuszczałem go z ramion. Widziałem, że płacze.

Była godz. 22.

Po chwili siedziałem z Zeigiem w taksówce. Na głowę narzucono mi derkę. Trautwein z gotowym do strzału »rozpylaczem« siadł obok szofera. Auto ruszyło pełnym gazem. Ręce miałem wolne.

Sięgnąłem do kieszonki po cyjanek, ale już nie było go tam. Wypadł w czasie badań. Udając osłabienie pochyliłem się i wydostałem z buta ostatnią porcję. Śmierci nie obawiałem się.

Ostrożnie rozpakowałem tubkę i zacząłem gromadzić ślinę w ustach, aby połknąć »pigułkę« możliwie szybko. – Uchyliłem derkę, mijaliśmy właśnie przejazd kolejowy przed Żurawnicą. Uderzył mnie ostry zapach gorzkich migdałów, poczułem mocne pieczenie w ustach. Wiedziałem, że za chwilę przestanę żyć.

Od przejazdu do żurawnickiej góry było zaledwie kilkaset metrów. Taksówka szła pełnym gazem. W ciągu tych kilkunastu sekund przeżyłem powtórnie całe swoje życie.

Nie dojeżdżając góry straciłem przytomność.

(d. c. n.)

MARIA KRASULANKA

Z WIEZIENNYCH WSPOMNIENÍ (Biłgoraj – Zamość – Majdanek)

Pacyfikacja!... aresztowania... palą się wioski okoliczne!... Nad Zwierzyńcem zawisła groza. Wiadomości podawane z ust do ust urastają do potwornych rozmiarów. Nie mogę uwierzyć w to wszystko. Targa mną niepokój i jakiś obłądny strach. Za wszelką cenę muszę się dostać do Zwierzyńca.

Wieczorem tego dnia przyjechał goniec:

- Matka prosi, by pani natychmiast przyjechała.
- Co się stało? – pytam zaniepokojona – czy aresztowano kogo?
- Nie, nic się nie stało, niech się pani uspokoi.

Nazajutrz rano pojechałam kolejką do Zwierzyńca. Był pierwszy kwiecień 1943 r. Prima aprilis. W Zwierzyńcu znajomy kolejarz zatrzymał mnie na stacji.

- Dokąd pani idzie?
- Do domu – odpowiadam.

– Nie ma pani po cowracać do domu, cała rodzina pani dzisiejszej nocy została aresztowana, dom zapieczętowany. Zabrali ponadto 8 osób – i wymienił nazwiska

Nogi ugięły się pode mną. Byłam zdruzgotana. Wiadomości były straszne, przeszły moje oczekiwania. Stałam dłuższą chwilę jak otumaniona nic nie myśląc i nie czując. Znajomy kolejarz chwycił mnie za rękę i gdzieś poprowadził, byle nie stać na miejscu. Znalazłam się w domu koleżanki na stacji. Znajomy kolejarz wyszedł.

– Co pani jeszcze tutaj robi?... Na miłość Boską, niech pani ucieka! – przywitano mnie w domu koleżanki.

Zrobiło mi się przykro. Za chwilę miała odejść kolejka do Biłgoraja. Zostałam pewne rzeczy prosząc, by je oddano pod wskazanym adresem. Niepotrzebne papiery poszły do pieca. Nie mając przy sobie nic kompromitującego wyszłam do kolejki. Za dwie godziny byłam z powrotem w Biłgoraju. Tu już wiadano o wszystkim. Kotłowało się.

I znów posypały się rady ze wszystkich stron.

– Niech pani ucieka!... Musi pani wiać...

– Jak pani uważa, nie mogę radzić w takiej chwili...

Głowa mi pęka. Zdaje mi się, że nie ma miejsca na ziemi, gdzie mogłabym się skryć, że każde miejsce jest niebezpieczne i już nie ma ratunku. Zrezygnowana całkowicie postanowiłam pójść nazajutrz do pracy. Przy pomocy koleżanki, z którą mieszkalam od miesiąca, robiłam rewizję w swoim pokoju. Nie pozostało nic kompromitującego.

– Alina, pamiętaj, gdyby cię pytano – nie wiesz nic i nikt do mnie nie przychodził.

– Możesz polegać na mnie-odpowiedziała.

Rano poszłam do pracy. Był drugi kwiecień. Robota nie szła. Zdenerwowanie wzrastało z każdą chwilą. Niespokojne oczy wybiegały przez szyby wypatrując czy już idą?...

Przyszli o 9. Jakkolwiek spodziewałam się tego każdej chwili, serce zamarło we mnie na widok Colba wchodzącego do biura z drugim gestapowcem. Wizyta ich tym razem miała inny niż zwykle charakter.

Nie wchodząc głębiej do wnętrza wywołał szefa do drugiego pokoju. Zostałam sama. Starałam się zachować zimną krew i obojętność. Udało mi się to po części. Nie trzęsłam się, byłam, – jak mi się zdawało, – zupełnie spokojna.

Przed biurem na ulicy spacerowali »kripowcy«, podwórza pilnowała druga partia. Cały budynek był obstawiony. Wszyscy ubrani po cywilnemu.

Po kilkunastu minutach wszedł Colb w asyście wysokiego gestapowca i szefa.

– Pani się ubierze i pójdzie z nami – rzucił Colb.

Słoma te nie zrobiły już na mnie żadnego wrażenia. – Mój szef stał w drzwiach z głową podniesioną do góry i obserwował każdy mój ruch. Włożyłam płaszcz, torebkę wzięłam do ręki.

– Czy ma pani tutaj jakieś prywatne swoje rzeczy?

– Nie – odpowiedziałam.

– Które szuflady pani używała?

Wskazałam je. Wszystkie dokładnie przetrząsnęli, każdy najdrobniejszy paperek. Nie znaleźli nic. Moi współpracownicy biurowi zostali rozdzieleni, każdy w osobnym pokoju tak, że nie mogli porozumieć się. Telefon z miejsca unieruchomiono. Przez cały czas byłam dziwnie spokojna.

Po dokładnej rewizji Colb wyjrzał przez okno i gwizdnął przeciągle. W jednej chwili stanął Mrozik z Kripo, cały do usług. Colb polecił mu zaprowadzić mnie na posterunek policji kryminalnej.

– Zastrzelimy cię jak psa, jeśli zechcesz uciekać – rzucił mi na ostrzeżenie Colb. Oczy jego są straszne, twarz cała czerwona.

Gestapowcy zostali w biurze. Mrozik wyszedł ze mną trzymając mocno za rękę. Spacerujący kripowcy w pewnym oddaleniu szli za nami. Nikt w tym nic złego nie widział. Szliśmy jak dwoje przyjaciół trzymając się za ręce. Mrozik nie miał przy sobie broni. Wszelkie pozory ostrożności były zachowane. Nikt z obserwujących nie mógł niczego się domyślić.

Przysliśmy na posterunek Kripo. Tu pozwolono mi usiąść i kazono czekać, aż przyjdą tamci. Po pewnym czasie wszedł Colb z tym drugim gestapowcem. Zabrali mnie na salę badań. Widok tu niezbyt zachęcający. Pięciu gestapowców, trzy stoły, maszyna do pisania, jakieś powozy, łańcuchy, kije najrozmaitszej wielkości i grubości, pełno butelek z wodą, woda w wiadrze, miednica.

Zrobiło mi się zimno... Ze wszystkich stron strzeliły we mnie gestapowskie ślepie.

Zdjęłam płaszcz, torebkę wyrwano mi z ręki i całą zawartość wyrzucono na stół.

– Na schnell, schnell, ausziehen!... – krzyczy Colb. Nie wiem czego chcą ode mnie, przecież palto zdjęłam.

– Schnell!... verstanden?... alles ausziehen!...

Stałam ogłupiała nie wiedząc co począć z sobą. Rzucili się wszyscy i rozebrali mnie w mgnieniu oka. Na nic zdały się protesty, opór, tłumaczenia, że przecież jestem kobietą...

– Myśmy nie jedną już widzieli, nie potrzebujesz się wstydzić.

Stałam naga pośród pięciu niemieckich zbirów, dopóki nie przejrzeni dokładnie ubrania. Wstyd, upokorzenie do najwyższego stopnia i skrajna nienawiść rozsadzały mi piersi. Panowałam całą siłą nad sobą, by nie wybuchnąć płaczem.

Po kilku minutach podali mi sukienkę i bieliznę.

– Możesz się ubrać.

Wciągnęłam porozrywane ubranie na siebie. Majewski usiadł do maszyny.

– Proszę, niech pani siada, zaprosił mnie uprzejmie.

Colb stanął naprzeciwko mnie po drugiej stronie stołu, pozostali trzech gestapowcy tuż przy nim. Colb wyjął rewolwer i położył go na stole patrząc mi wymownie w oczy.

– No, teraz mów.

– Co mam mówić?

– No, wszystko od początku, kiedy się urodziłaś, cały życiorys. Maszyna poszła w ruch. Po spisaniu życiorysu nastąpiła przerwa.

– A teraz powiedz nam coś o organizacji – rzuca Colb.

Wszystkie oczy wlepione we mnie.

– O jakiej organizacji?

– Ty nie wiesz?... o organizacji, do której należałaś – czerwona gęba Colba jest tuż przy mnie, żółte ślepia ciskają pioruny.

– Nie wiem o co panom chodzi, ja do żadnej organizacji nie należałam.

– A co robiła twoja siostra Irena?

– Pracuje w gminie.

Powstał szmer, ruch, niektórzy niespokojnie chodzą po sali.

– Nie kłam! wiesz przecie o co nam chodzi. Co robiła po pracy w gminie w organizacji?

– Nie wiem o co panu chodzi.

– Ty nie wiesz, ale my wiemy wszystko – zaświszczało mi koło uszu.

– Kto są ci panowie? – wymieniają mi szereg nazwisk, wszyscy znajomi – co robią w organizacji, kto jest komendantem?

Pytania padają jedno po drugim ze wszystkich stron, nie mogę namyślać się, muszę na każde odpowiadać natychmiast.

– Nie znam tych panom i nic o nich nie mogę powiedzieć.

Zdenerwowanie wśród gestapowców wzrasta. »Verflucht« wyrywa się ciągle głośno. Uderzają pięścią w stół.

– A który z nich wciągnął cię do organizacji, co?

– Nie należę do żadnej organizacji i nikt mi nigdy tego nie proponował.

Powstaje ruch. Naradzają się między sobą.

– Niech się pani przyzna – mówi po polsku Majewski – nic pani nie zrobimy, jeśli powie pani prawdę. Wróci pani do pracy zaraz. My wiemy o wszystkim, ale chcemy usłyszeć prawdę od pani.

– Kiedy ja naprawdę nic nie wiem! Czego ode mnie chcecie?

– Niech się pani uspokoi – mówi Majewski – i niech mi pani przypomni, jakie są słowa tej przysięgi organizacyjnej. Zapomniałem na śmierć.

Patrzę na niego otępiłym wzrokiem. Majewski zaczyna mówić przysięgę. Co chwila zacina się, jakby chciał sobie przypomnieć dalszy ciąg, czeka, by mu odpowiedzieć. Nie osiągnął pożądanego rezultatu. Milczałam patrząc na niego.

– No, dość już tej zabawy, panienko, cierpliwość nasza wyczerpuje się. Dajemy ci 5 minut czasu, namyśl się przez ten czas.

Matko Najświętsza, ratuj! Natchnij mnie jakąś jaśniejszą myślą, jak się tłumaczyć, co mówić? – Co powiedziały siostry, matka, co powiedzieli tamci, czy żyją jeszcze? jedno słowo nieopatrzne może zgubić wszystkich.

Pięć minut minęło. Rewolwer poruszony na stole przypomniat mi że mam mówić, a ja nic przez ten czas nie wymyśliłam. Wiedziałam, że zbliża się ostateczna chwila, prosiłam w duchu Boga, by mi dał moc wytrwania.

Zabłyszczał rewolwer w ręku Colba.

– No, mów!... czas już minął.

Patrzę śmiało przed siebie:

– Ja nic nie mogę panom powiedzieć, gdyż ja naprawdę pojęcia nie mam o tych sprawach.

Zagotowało się wśród nich.

– Twoja siostra też nic nie wiedziała do czasu, w końcu przyznała się. Patrz! – i przed mymi oczyma leży kartka pisana ręką Ireny: »Marysiu! Jestem aresztowana, mów wszystko co wiesz«.

Na dole podpis »Irena Kr...« Nie miałam wątpliwości, kartka napisana była jej ręką. Jakiś głos wewnętrzny mówił mi, że to nowy podstęp. Matka Boska czuwała nade mną.

– Kto to pisał?

– Siostra – odpowiadam.

– I co teraz powiesz? Wiesz coś, czy znowu nic? Siostra powiedziała nam wszystko i wszyscy do wszystkiego się przyznali. O tobie wiemy także dostatecznie dużo.

– To kłamstwo! – krzyczę – siostra nic nie mogła o mnie powiedzieć, bo ja do niczego nie należałam, a kartkę napisała pod groźbą rewolweru.

– Ha, ha, ha, – zachichotali – wyśpiewasz i ty wszystko pod batami, my mamy różne sposoby, by otworzyć usta. A to poznajesz?

Przed moimi oczami rozmijają cały plik papierów. Ostatnie wydanie gazetek, najświeższe wiadomości radiowe pisane na maszynie.

– Poznajesz?... to wszystko znaleźliśmy u ciebie w domu podczas rewizji.

Całym wysiłkiem woli zdobywam się na spokojną odpowiedź:

– Ja po raz pierwszy w życiu widzę te pisma, to nieprawda!

W domu moim nigdy tych pism nie miałam.

– A o maszynie do pisania też nic nie wiesz? Skąd się u was wzięła?

Nie wiem, co mam na to odpowiedzieć, waham się jedną chwilę i mówię, że o maszynie do pisania nic nie wiem. Jakiś głos wewnętrzny podyktował mi tę odpowiedź.

– A radio w twoim domu skąd się wzięło? Też pewno nie wiesz?

– Panowie mylicie się, u nas radia nie było, pewnie wzięliście aparaturę kinową za radio, gdyż taka u nas się znajdowała.

Powstał szmer. Więcej o radio nie pytali, nie protestowali.

– Twój dom, to gniazdo zarazy – krzyczą mi nad uchem. – Teraz już mamy wszystko, zlikwidowaliśmy całą bandę, a resztę zlikwidujemy prędko. A kto to jest pan M...? Ty go pewnie znasz, mieszka niedaleko – tu następuje dokładny opis mieszkania – on cię zna, mówił dużo o tobie.

Żadna wiadomość w tej chwili nie wywarłaby na mnie większego wrażenia. Dziwiłam się, że wszystko stoi na miejscu, że świat się nie wali. Tak mocno musiałam się trzymać, by nie zauważono zmiany jaka we mnie zaszła.

– Nie znam tego pana i nic o nim nie słyszałam, nazwisko to jest mi całkiem obce.

Efekt był nadzwyczajny. Zakotłowało się w sali, przekleństwa padały ze wszystkich stron.

– Nie kłam! – krzyczy Colb na całą salę – znasz go dobrze. Co przynosiłaś do niego w paczkach? Mów! Przyznaj się! Du verfluchte...

– To nieprawda – staram się ich przekrzyknąć – wmawiacie we mnie to, co nigdy nie miało miejsca. Ja tego pana nie znam i nic do niego nie przynosiłam.

– Wprowadzić go!

Jeden z gestapowców wyszedł, by przyprowadzić owego skazańca. Zrobiło mi się słabo. Tak bardzo pragnęłam w tej chwili umrzeć.

– Aresztowaliśmy go także dzisiaj, za chwilę tu będzie. Zobaczmy, czy poznacie się tutaj.

– Ja tego pana na oczy nie widziałam i on mnie także. Proszę go przyprowadzić, czekam właśnie na niego. – Jakaś podświadoma pewność, że go nie mają pozwalała mi być bezczelną. Nie podobała się jednak moja pewność siebie Niemcom obserwującym mnie ze wszystkich stron. Wysoki gestapowiec podszedł bliżej, olbrzymia jego łapa wymierzyła mi pierwszy policzek. »Verflucht noch mal« – i uderzenie po raz drugi i trzeci. Zachwiałam się, wypłułam krew. Wysoki gestapowiec wycierał sobie rękę.

Czułam tę rękę na twarzy. Paliła ogniem, lecz zahartowała mnie mocno. Teraz już nic ze mnie nie wydobęda.

– Bekommst du am Arsch, dann sagst alles!

– Pokaż ręce!

Wyciągnęłam obie nie wiedząc o co chodzi. W jednej sekundzie Colb założył mi lśniące, ząbkowate kajdanki.

– Na kołek ją wziąć!

Nie wiedziałam co mają znaczyć te słowa, co ze mną robią. – Z rozmyślań tych wyrwał mnie głos Colba:

– A teraz siadaj na ziemi.

Usiadłam. Kolana podciągnięto mi pod brodę, skute ręce przesadzono przez kolana. Jeden z gestapowców podał drążek stojący w rogu. Wetknęto mi go pod kolana. Za chwilę zawisłam na tym drążku między dwoma stołami. W miejscu, gdzie zwisała głowa podstawiono miednicę. Nie mogłam pojąć, jakie jest jej przeznaczenie. Wszystkie butelki z wodą i wiadra znalazły się na stole. Colb z tym

wysokim blondynem wzięli do rąk pasy. Stanęli po obydwu moich bokach. Majewski po drugiej stronie drążka, koło mojej głowy.

– No, mów!

– Nie mam nic do powiedzenia.

– Schlagen! – zabrzmiało głośnym echem po sali i jednocześnie pasy opadły z obu stron na moje ciało. Krzyczałam głośno, lecz krzyk jeszcze bardziej pobudzał ich do pastwienia się. Butelki z wodą przy pomocy Majewskiego spełniały swe zadanie. Całe strumienie wody spadają mi na twarz, zalewają oczy, usta, nos. Nie mogę oddychać. Duszę się, topię. Krzyk mój zalewa woda spadająca bezustannie z góry.

– Mów!...

– Powiem!... nie bijcie!... – Ręce oprawców opadły na chwilę.

– No, mów!

Jakiś bełkot wyrzywa mi się z ust, w głowie strasznie szumi.

– Mów!

– Ja nic nie wiem.

Momentalnie woda zalewa mi twarz. Pasy trzeszczą. Gestapo-wcy zdjęli marynarki, zmęczeni się przy operacji. Z pasją przystąpili do ponownego bicia. Odgłosy uderzeń i mój jęk wypełniały salę. Ból był straszny, ponad moje siły. Jeszcze jedno uderzenie, a powiem wszystko, nie wytrzymam dłużej. Woda leje się bez końca. Unoszę głowę, by wypłuć wodę, by uciec przed tą falą, co dusi, lecz Majewski pociąga mnie mocno za włosy do dołu.

– Tak nie można – powiada i wlewa mi nową porcję na twarz.

Straszna jest ta woda, straszne baty. – Jezu! zlituj się nade mną, ześlij rychłej śmierć.

Razy nie ustają ani na chwilę.

– Mów!... mów!...

– Zabijcie prędzej, ja nic nie wiem.

Następuje mała przerwa, w czasie której starają się wmówić we mnie, że taka porcja każdego dnia otworzy mi w końcu usta.

– Za co mnie męczycie, czego chcecie ode mnie?!

I znowu pasy znalazły się na moim grzbiecie i woda... Woda bez końca. – Czemu Bóg nie zlituje się nade mną. Taki okropny ból... Biją po gołym ciele, co pewien czas zmieniają się. Z wściekłością padają razy... Mów!... ty... ty... i znowu ta sama odpowiedź:

– Nie mam nic do powiedzenia.

Woda... woda... i baty. Szatan chyba opętał tych katów, nie ma w nich nic człowieczego. Uderzenia stają się coraz cięższe, boleśniejsze, mój krzyk donioślejszy.

Jezus, Maria!... Coś ciężkiego upadło mi na twarz. Krzyczeć nie wolno! ulica tak blisko, ktoś może usłyszeć.

– Powiedz! przyznaj się!

– Zabijcie prędzej, ale już nie bijcie, to potworne... ja nie wiem nic.

– Ha, ha, ha... my jeszcze mamy czas, żeby cię zabić. Najpierw nam powiesz, potem skończymy z tobą. No, mów! czekamy. Za chwilę będą znowu bili. Cóż mogę im powiedzieć?

– Mów!...

– Nic nie wiem...

Jak piorunem rażeni rzucili się wszyscy do mnie. Nie mogę pojąć, jak się to stało, że nie rozszarpali mnie na drobne kawałki. – Uderzenia jak cepy spadają na grzbiet, ręce, nogi. Krzyk mój tłumi woda i jakaś szmata, którą Majewski zatyka mi usta w odpowiednim momencie. – Robi mi się słabo, czyżby uderzenia były słabsze teraz? Nie reaguję już na ból, nie krzyczę. Bełkot jakiś wyrывa mi się z gardła.

Mijają godziny. Przestali bić. Majewski złapał mnie za włosy i huśtał na drążku. Gorąca moda wypływała z uszu. Chwilę jeszcze wisiałam, jeszcze parę uderzeń po czarnych jak węgiel dłoniach, na co już nie reagowałam, i zdjęto mnie z kolka na ziemię. Wyciągnięto spod kolan drążek i uwolniono ręce z kajdan. Zesztywniałe członki zaczęły się rozprostowywać. Dostałam strasznej drgawki. Wszystko we mnie drżało. Nogi wyciągnięte ku górze żadną siłą nie chciały opaść na podłogę. Pokrwawione ręce sterczą i drżą tak mocno.

Ktoś wszedł na salę.

– Na, hat mas gesagt?

– Ach wo, hart wie Eisen!

Jest mi strasznie zimno. Na korytarzu czyjeś głosy, kroki. Leżę na ziemi. Byłabym całkiem zadowolona, gdyby nie straszliwe drżenie i zimno. Dobrze mi na podłodze. Nie biją już.

Czerwona gęba Colba pochyła się nade mną i coś bełkocze. Nie rozumiem ani słowa, nie wiem czego jeszcze chce ode mnie. Jest mi zimno i drzę cała. Podnoszą mnie i sadzają na krześle. Robi mi się tak dziwnie słabo, płatki latają przed oczyma... Usiłują mnie nakarmić jakąś zupą. Niedobrze mi... nie mogę...

– Jedz! – dwóch trzyma mnie na krześle, Colb stara się wlać zupę w usta. Bez skutku. Zęby mocno zaciśnięte... Tak zimno i ciemno okropnie... Boże! ja nic nie widzę!...

Otworzyłam oczy. Rozglądam się wokoło. Majewski z tym wysokim blondynem siedzą przy oknie. Jeden z nich wyciąga zegarek.

– Drei Uhr.

W jednej chwili orientuję się, gdzie jestem. Koło mnie leży przewrócone krzesło, ktoś przykrył mnie paltem. Leżę na podłodze u samych drzwi. Puste butelki i wiadra stoją na podłodze zalanej całkowicie wodą. Gestapowcy zauważyli, że się poruszyłam.

– O, sie ist schon munter,

Zamknęłam oczy. Było dobrze na podłodze, nie czułam żadnego bólu. Naradzają się teraz nad sposobem wyprowadzenia mnie stąd bez zwracania czyjejkolwiek uwagi. Rozmawiają szeptem, niektóre tylko wyrazy docierają do mojej świadomości.

Nie upłynęło wiele czasu, gdy samochód zawarczał przed oknem. Wzięli mnie za ręce i za nogi i przez okno wrzucili do taksówki niepotrzebny już strzęp ludzki. Gestapowcy poszli pieszo, szofer sam odwiózł mnie do Gestapo. Niedługo przyszli „moi panowie” i wnieśli mnie do piwnicy. Trzasnęły ostatnie zamykane drzwi i nastała cisza.

Jest mi tak okropnie zimno. Wszystko na mnie mokre. Włosy mokre, splątane. Piasek przylepia się do mokrego ubrania. Tak strasznie tutaj i tak ciemno. Nigdzie ani jednej szparki, by się zorientować czy to dzień, czy noc.

Słyszę najwyraźniej czyjeś kroki. Ktoś schodzi po schodach. Otwierają się drzwi jedne i drugie i kroki ustają. Jeśli to do mnie idą, poproszę, by mi dali pić, mam takie okropne pragnienie. Lecz nie po mnie. To dziewczęta usługujące w kuchni przyszły po kapustę lub kartofle. Rozmawiają dość głośno. Jęknęłam, – usłyszały. – »O, znowu ktoś jest w piwnicy«. – Tak, przede mną było wielu i wielu jeszcze będzie po mnie. Chciałam poprosić o wodę, lecz zrozumiałam w porę, że to absurd.

Dziewczęta wyszły. Zamknęły dwie pary drzwi. Trzecie prowadziły do mnie. Cisza zapełniła piwnicę.

Mam takie sztywne, opuchnięte ręce i nogi. Głowa ciężka i taki szum w uszach. Pić..., żeby choć kroplę wody dostać, by zagasić palące pragnienie. Jestem strasznie słaba, najłżejsze poruszenie, usiło-

wanie wykręcenia głowy wywołuje omdlenie. Chwilami zdaje mi się, że serce we mnie zamiera, coś się zaciska i myślę, że umieram. Tak czekam na tę chwilę. Chciałabym zemdleć i nie obudzić się więcej. Myśl o powtórным badaniu jest nie do zniesienia. A pragnienie pali...

Ktoś idzie do mnie. Zgrzyt klucza i w drzwiach staje gestapowiec. Podszedł blisko i trącił mnie nogą. Milczenie. Potrącił drugi raz silniej.

– No, co powiesz?

– Pić – wyrwało mi się z gardła.

– Ha, ha, ha.. Dostaniesz pić jak powiesz.

Drzwi się zamknęły, ciemność ogarnęła mnie znowu. – O, męko pragnienia!...

Leżę w półśnie. Śnię, mającę... Słyszę jak szumi woda, potok wartko płynie z góry tuż nad moją głową, całe strumienie lśnią w słońcu, wystarczy rękę wyciągnąć, by się napić. A ja ruszyć się nie mogę i umieram z pragnienia.

Nie orientuję się w czasie. Przesypiam całe godziny, a gdy się obudzę, jedno mam tylko pragnienie – pić.

Otworzyły się znowu drzwi. Tym razem przyszło dwóch. Podnieśli mnie z ziemi, prowadzą na badanie. Szum i ciemno w oczach... Nie mogę...

Nie wiem jak mnie dowlekli do Gestapo. Gdy otworzyłam oczy, ujrzałam twarz Colba nad sobą. Leżałam na ziemi. Kazał mnie z powrotem wynieść do piwnicy. Badanie w takim stanie okazało się niemożliwością. Nie dali mi wody.

Minęła druga noc. Zgrzytnął klucz w zamku, na piasek upadła kromka chleba.

– Essen sie das. – Rzucono mi kawałek chleba łaskawie, bym nie zdechła z głodu. Łzy zakręciły mi się w oczach, słowa z trudem wychodziły z krtani:

– Nie jestem głodna, chcę pić.

Trzaśnięcie drzwiami było odpowiedzią.

Tak ciemno. Jakaś przepaść ogromna otwiera się przede mną. Lecę...

Obudził mnie donośny głos:

Warum hast du nicht gegessen? Hungerei? wie Ghandi? was?

Wynieśli mnie po raz drugi na górę, posadzili w wygodnym, miękkim fotelu i kazali czekać na szefa. Wysiłek był ponad moje siły. Zawirowało mi przed oczyma...

Poczułam coś zimnego na twarzy. »Opiekunowie« moi starali się przyprowadzić mnie do przytomności.

– Pić! wody...

Podano mi kawę stojącą na stole. Wypiłam całą zawartość jednym haustem. Ale pragnienie jest większe. Proszę o wodę.

– Nie dostaniesz wody, dopóki się nie przyznasz. – Może chcesz jeść?

– Nie, dziękuję.

– A może teraz coś powiesz? Jutro dostaniesz taką samą porcję jak przed dwoma dniami, namyśl się przez noc.

I trzecia noc minęła, a ja ciągle żyję...

Przyszli znowu. Było ich trzech. Potrącają mnie lekko nogami.

– Na, aufstehen! schnell!

Na próżno. Mogą tak wrzeszczeć do jutra bez skutku. Mimo najszerszych chęci nie mogę się poruszyć. Mocne kopnięcie zabiło mnie.

– Aufstehen!

Daremny wysiłek. Nie mogę.

Wywlekli mnie na podwórze i wsadzili do taksówki. Było mi obojętne co ze mną zrobią, byle prędej.

Otworzyła się brama, wjechaliśmy na podwórze więzienne. A więc jeszcze nie koniec...

Dostałam osobną celę, która po piwnicy wydała mi się salonem. W wiadrze stała woda. Na razie nic mi więcej do szczęścia nie potrzeba. Po zaspokojeniu pragnienia rzuciłam się na prycę.

Przeszła jeszcze jedna noc.

Na korytarzu gwar. Zapach gotowanej kawy dochodzi przez szpary. Czuję głód. Więźniowie w sąsiednich celach rozmawiają głośno, śmieją się, dowcipkują. Nie mogę zrozumieć tych ludzi. Czy jest im tutaj tak dobrze?

Wszedł dozorca i postawił na prycy baniaczek z kawą i porcją chleba. Nie mówił nic, o nic nie pytał. – Dlaczego izolowano mnie zupełnie od ludzi, czemu nikt słowa do mnie nie przemówi?

Nie mogłam jeść. Chleb został nietknięty.

Gdy gwar ucichł, na palcach ostrożnie wszedł dozorca.

– Niech pani mi zaufa, jestem swój człowiek, może należy kogoś ostrzec?

Nie wierzę sama sobie, wpatruję się w tę twarz, musiałam go znać kiedyś...

– Boże jedyny! przecież ja panią znam!

Łzy trysnęły mi z oczu. Nabrałam zaufania do tego człowieka. Podaję nazwisko pana M.

– Proszę mu powiedzieć, że wiedzą o nim, niech ucieka jeśli jeszcze jest tutaj, niech się nie da złapać. I proszę jeszcze powiedzieć, że nikt więcej nie jest narażony, niech będą spokojni.

– Zaraz tam pójde. – Wyszedł.

Leżę z otwartymi oczyma. Czuję taką wdzięczność dla tego człowieka. Teraz będę już wiedziała, czy aresztowano pana M. Z niecierpliwością oczekuję powrotu dozorczy.

Z sąsiedniej celi dochodzi śpiew:

...Ku Tobie oczy zalane łzami
Z wielką ufnością zwrócone są,
Ty się zlitujesz pewnie nad nami,
Bo Ty nie gardzisz pokuty łzą.
Ku Tobie ślemy błagalny głos
Ach, odwróć od nas karania cios...

Coś rwie się w duszy. Słowa modlitwy są tak głębokie... Łzy płyną niepowstrzymanie. Serdeczny szloch rozsadza piersi.

Ktoś zajrzał przez klapę w drzwiach, potem wszedł dozorca.

– Pan M. uciekł zaraz pierwszego dnia, nikogo więcej nie aresztowano.

– Jestem szczęśliwa. Dziękuję panu. Czy nikt ze znajomych nie pytał o mnie, nie podał coś do jedzenia?

– Nie wolno nam nic przyjmować dla pani pod karą śmierci i nie wolno zdradzić nikomu, że pani tu jest. Wiele osób pyta o panią co dzień, ale pani rozumie, przecież każdy chce żyć. Może to niedługo już potrwa i pozwolą pani dawać jeść, albo przeniosą na ogólną salę tam, gdzie już lżej pomiędzy ludźmi.

Nazajutrz dostałam znów gorzką kawę i chleb. Zjadłam kawałek.

Co chwila dźwięczy dzwonek. Kogoś wprowadzają, ktoś wychodzi. Zgrzyt kluczy w zamkach i potem cisza niepokojąca i oczekiwanie na swoją kolejkę. Godziny wloką się, głód skręca kiszkę. Mam żal do tych wszystkich ludzi, że jedzą obiady, że otrzymują paczki. Niejeden z nich mógłby podzielić się ze mną. Przez klapę w drzwiach można przecież coś podać.

Dozorca na korytarzu rozdaje paczki. Padają nazwiska... A ja ciągle jeszcze łudzę się, może i dla mnie jest paczka? – Nie ma jednak nic dla mnie. Bolesny skurcz serca i zapach gorących obiadów rozszonowanych po salach.

Znowu jęczy dzwonek. Uczuвам straszliwy lęk. Serce wali głośno. Idą po mnie... Trzask otwieranych drzwi i dwóch gestapowców podchodzi do pryczy.

– Na, komm!

Zwlekłam się z pryczy i wyprowadzili mnie na podwórze do takśówki. Po paru minutach byliśmy w Gestapo.

Przy maszynie siedzi mój kat, obok drugi gestapowiec. Po przeciwnej stronie usiadł Barda. Rozejrzałam się po sali. Strach zjeżył mi włosy. Narzędzia tortur porozwieszane po ścianach, na stole, butelki z wodą stoją gotowe. Myśl o ponownym biciu, o jednym, jedynym tylko uderzeniu jest potworna.

Pozwolono mi usiąść.

– No, co nam dzisiaj powiesz – mówi po polsku Barda. – Patrz – wymowny ruch ręką w stronę narzędzi – znasz już ich wymowę, namyśl się i mów.

Teraz już muszę coś powiedzieć, byle co, aby mówić. – Matko Najświętsza dopomóż!

Maszyna wystukuje powoli życiorys i znowu staje. Co powiedzieć dalej?... czy będą bili?...

– No, mów dalej.

– Ja naprawdę, panowie, nic nie wiem i nie mogę wam nic powiedzieć.

– A jak to było z tymi pakunkami, które doręczałaś panu M?

Nie namyślając się ani chwili odpowiadam:

– Siostra prosiła mnie raz, bym zabrała pakunek do Biłgoraja i oddała p. M. Nie mogła sama pojechać. Zrobiłam to dla niej, pakunek oddałam pod wskazanym adresem.

– Nie zainteresowałaś się, co wiozłaś?

– Nigdy nie zaglądam do paczek ani listów, które do mnie nie należą.

– A jak się zachował ten pan? Jakie hasło mu podałaś?

– Odniośł się do mnie nieufnie, wahał się, ale przyjął pakunek. Hasła żadnego nie znałam, miałam tylko powiedzieć, że to dla niego od jakiegoś pana ze Zwierzyńca.

– Hm... a może jeszcze co powiedziałaś mu, przypomnij sobie. Może to było hasłem? – tu powiedział prawdziwe hasło.

Byłam zdumiona.

– Nie, ja nic więcej nie miałam mu powiedzieć – odpowiadam.

– A co było w tym pakunku?

– Nie wiem, gdyż nie zaglądałam.

– Jakiej wielkości itd. Nie domyślasz się, co wiozłaś?

Siedzący przy maszynie gestapowiec wlepił we mnie świdrujące oczy.

– Przed moimi oczami nic nie ukryjesz – powiada – mam duże doświadczenie śledcze. Wiem, kiedy kto kłamie.

– No, mów – mówi Barda.

– Tak, wiedziałam. To były gazetki.

Moja odpowiedź nie zrobiła na nich żadnego wrażenia.

– A czytałaś je przedtem?

– Tak.

– Kto dał ci je do czytania?

– Siostra.

– Ile razy przywoziłaś te papierki? – Głos Bardy jest całkiem spokojny.

– Parę razy, trzy albo cztery, nie pamiętam dokładnie.

– No, mniejsza z tym, to nie ma znaczenia.

Po chwili dano mi protokół do przeczytania. Zgadzał się całkowicie z moimi zeznaniami.

– Czy nic więcej nie masz do powiedzenia?

– Nic.

Podpisałam. Kamień spadł mi z serca. Już nie będą bili.

Zawarzał motor i odwieziono mnie do więzienia. Byłam do ostateczności wyczerpana. Zasnęłam natychmiast.

Z rana dostałam chleb i kawę. To była całodzienna porcja dla mnie. Więcej nie można.

Około południa ktoś zajrzał przez otwór w drzwiach. Jakaś twarz kobieca.

– Czy to panna Marysia?

Poznałam ją. Córką naczelnika więzienia.

– Przychodzę – powiada – od Oldona, pyta czy żaden z nich nie jest narażony.

– Nie, proszę powiedzieć, że już jest po badaniu, podpisałam protokół, niech będą spokojni, nikomu nic nie grozi.

– Czy pani ma coś do jedzenia?

– Nie.

– Postaram się dla pani coś przynieść, lecz nikt nie może o tym wiedzieć. Do widzenia... uciekam, bo ktoś idzie.

Tego dnia wieczorem wywieziono mnie do Zamościa. Przed budynkiem Gestapo wielki ruch. Ostre pogotowie. SS-mani obstawiają ulicę po obu stronach.

Siedzę w kancelarii i obserwuję. Dojrzałam przez okno czarną, zarośniętą twarz p. Wacława Skuratowicza, potem twarz siostry. Wrażenie było ogromne.

Więc żyją jeszcze. Dokąd ich prowadzą? Szukam w myśli dla nich miejsca. Rotunda... rotunda... dźwięczy mi w uszach. Szkoda, że nie idę z nimi. Zawsze to rażniej razem. – Karabiny na ostro są bardzo wymowne.

Mazurek stara się mnie pocieszyć, dodaje otuchy.

– Niech się pani nie martwi, nie jest tak źle. – Pozwolił mi położyć się na kozetce stojącej w kancelarii, z czego skwapliwie skorzystałam. Był nadzwyczaj uprzejmy i towarzyski.

– Na co ja jeszcze czekam? – zapytałam.

– Na badanie – odpowiada Mazurek.

– Jeszcze raz? Przecież ja już byłam badana.

– To nic nie szkodzi. Teraz kto inny będzie panią badał.

Szef Gestapo z Zamościa.

Otępiałam zupełnie. – Tamci z ulicy już odeszli.

Po paru godzinach zaprowadzono mnie na górę. Szef czekał przy maszynie za stołem. Mały, czarny kapitan stojąc przyglądał mi się dokładnie.

– Ty siostra Ireny? – syczący świst wyleciał z ust kapitana.

– Tak.

– Siadaj.

Zaczęło się badanie, dość łagodne, bez bicia. I znowu te same pytania, te same odpowiedzi..

Protokół z Biłgoraja leżał na stole. Porównał go z moimi zeznaniami.

– Na, stimmt.

Mały kapitan chodzi nerwowo po pokoju, w końcu staje przede mną.

– Czy ty znasz Osucha?

Zdobywam w sobie dość siły, by dać odpowiedź:

– Nie, nie znam go.

– Verflucht!... – uderzenie szpicrutą w stół. Wszystkie papiery znalazły się na podłodze.

– Co?... nie znasz go?... ty go nie znasz?... – krzyk jego jest straszny.

– Nie, nie znam go.

Z wściekłością trzasnął drzwiami i wyszedł. Podpisałam protokół i wyprowadzono mnie z sali. Mazurek wepchnął mnie do osobnej celi. Przespałam na deskach całą noc. Obudził mnie nad ranem potrząsając silnie za ramię.

– Niech pani wstanie.

Wyszliśmy na ulicę. Pięciu nieznajomych więźniów czekało na mnie. Tak okropnie wyglądają, że mimo woli nasuwa mi się myśl, że to bandyci. Prowadzi nas jeden tylko gestapowiec. Nie mam zupełnie siły. Posuwam się wolniuteńko, krok za krokiem. Jakiś żandarm przyplątał się do nas na drodze. Ironiczny uśmiech wykrzywia tę gębę zwracającą się do mnie:

– No, teraz cała rodzinka w komplecie, niedługo zobaczy się pani z nimi. – Mówi czysto po polsku.

Zatrzymujemy się przed koszarami. Kąpiel i potem przechodzimy na drugą stronę szosy, do obozu. Nic nie mogę pojąć.

Znowu ten sam żandarm kręci się przy mnie.

– Teraz już będziecie razem – pada z ust żandarma.

Naprzeciwko nas wyszła Jadzia.

– Przeprowadziłem pani koleżankę – zwraca się żandarm do Jadzi.

– Maryśka!...

– Jadzia!... Czy ja śnię, wy jesteście tutaj? Wszyscy?

– Wszyscy. No, nie becz. – Prowadzi mnie pod rękę dobaraku. Żandarm idzie z nami.

– No, macie już trzecią siostrę – stoi w drzwiach, ma minę triumfującą.

– Wanda ! Irena !

– Maryna!... żyjesz?

– Żyjecie? Gdzie matka?

– Boże, myśmy miały wiadomości, że jesteś w bezpiecznym miejscu. Tak wleźć im w łapy!

Łzy tak długo trzymane pod powiekami trysnęły mi z oczu niepowstrzymanie. Łzy żalu, szczęścia, radości i bólu. Wrażenie za wielkie. Przyszła reakcja.

Siostry położyły mnie na pryczy i dały jeść. Nie mogłam się nadziwić, że pozwolono im razem siedzieć, że mają tyle jedzenia, dostają paczki.

– Przecież wy tutaj macie raj!

Przyszli wszyscy z męskiej sali – p. Wacek, Józio, Jasiek, drugi Wacek. Pytaniom nie ma końca. Wszyscy byli bici, opuchnięci, posiniaczeni, czarni.

– Bili panią także?

Po południu przysłała matka. Stała w drzwiach, miała łzy w oczach. Uniosłam się na łokciu. Taka mała, biedna, taka chuda i mizerna wydała mi się moja matka. Nie przemówiła ani słowa, nie miała siły przywitać się ze mną. Stała koło pryczy.

– Nie możesz wstać?

– Nie.

Podeszła bliżej.

– Dziecko! jak ty okropnie wyglądasz!

Płakałyśmy długo. Płakali wszyscy na sali.

Zbliża się noc. Na korytarzach ucichły głosy. Każdy siedzi... na swojej pryczy. Nie wolno już chodzić. Gaśnie światło i cisza zalega obóz.

Jest mi źle, ciężko i duszno, lecz nie wiem co boli. – Szept modlitwy słychać w przepełnionej sali i paciorki różańca przesuwane w rękach. I ja usiłuję modlić się. – Zdrowaś Mario... Zdrowaś Mario... Nie mogę skupić myśli. Naraz rozległa się melodia przesywa ciszę wieczorną. Płyną słowa, jak balsam koją zboląłą duszę.

...Słuchaj, Jezu, jak Cię błaga lud.

Uczyń z nami miłosierdzia cud,

Przemień, o Jezu, ten smutny czas,

O Jezu, pociesz nas...

To nasi chłopcy śpiewają w czwartej sali. Cicho, cichuteńko płynie pieśń do Stwórcy. Łączymy się wszyscy we wspólnej modlitwie, niesiemy swój ból do tronu Najwyższego.

Barak, w którym siedzimy jest duży, brudny i pełen ludzi. Siedzimy wszyscy razem. Mężczyźni i kobiety, – winni i niewinni. Wszyscy jesteśmy »bandytami«. – Robi się coraz ciśnieć. Co chwila kogoś wprowadzają, nowe twarze. Powstaje w salach tłok.

Jeszcze nie wszyscy podpisali protokoły. Czekali na swoją kolej. Pojawienie się gestapowca na sali mrozi krew w żyłach. Przychodzą często, wywołują nazwiska. Każdy idzie jak na skazanie. Wracają po paru godzinach sini, obici, bez kropli krwi w twarzy Józio... Jasiek... słaniają się na nogach. Nikt nie potrzebuje pytać. Wygląd ich mówi sam za siebie. Bito ich znowu...

Otworzyły mi się rany. Ropieją. Czuję się źle pomimo jedzenia, którego mamy pod dostatkiem. Paczki otrzymujemy ciągle.

Wezwano Wandę na badanie. Leżę na pryczy. Mam silną gorączkę. Przeżywam po raz drugi mękę badania i bicia. Modłę się, by jej nie bito. Czas wlecze się niemiłosiernie. Minuty zdają się być wiecznością.

Wanda wraca. Weszła uśmiechnięta.

– No i co, Wanda, mów!

– Nic, wszystko w porządku, nie byłam bita.

Potem poszła Jadzia i wróciła także zadowolona z przebiegu badań. Po prostu trzeba się w czepku urodzić.

Po kilku dniach przeniesiono wszystkich politycznych na »13-tkę«. »13-tka« to sławny barak »bandytów« odrutowany ze wszystkich stron. Nie wolno tu wychodzić z sal, a do ustępu tylko w oznaczonych godzinach pod okiem wartownika. Siedzimy wszyscy na jednej sali, cały Zwierzyniec. Kobiety i mężczyźni razem. Brud, wszy i pluskwy dokuczają niemiłosiernie.

A czas leci... Jeden dzień podobny do drugiego. Od godziny 8 rano zaczynają się badania na »dwójce«. Co pewien czas wchodzi gestapowiec i zabiera nową ofiarę. Wracają nie wszyscy. Niektórzy zostają na dwójce i nie wrócą już nigdy.

Nieludzki krzyk bitych, odgłos bezustannych kijów – to melodia każdego dnia. Po skończonym badaniu przywlekają jakiś strzęp ludzki. Trudno rozpoznać w nim człowieka. Jakaś szmata zmięta, rzucana na podłogę. Patrzeć na to nie można. Zaciskają się pięści w bezsilnej wściekłości. Nienawiść wzmaga się z każdą chwilą. Cała 13-tka to jeden szpital. Leżą nieprzytomni w brudzie, z cuchnącymi ranami, nie ma znikąd pomocy. Lekarz na 13-tkę nie ma prawa wstępu. Jestem w szczęśliwym położeniu, bo dostaję opatrunki w paczkach. Pan Wacek codziennie zmienia mi je, pociesza, że goi się ładnie. 99 procent nie ma nic. Ci, którzy mogą się zwlec o własnych siłach, podejmują w ustępie brudny papier, szmaty lub chociażby kawałek kija i tym wycierają ropę z ran.

Przysłano środki opatrunkowe dla p. Wacka – gaza, bandaż, różne maści, lekarstwa. Już nie będą tak cierpieć. P. Wacek każdemu przyjdzie z pomocą. Całymi dniami snuje się teraz po salach, robi opatrunki.

– Panie doktorze... panie doktorze... do mnie, ja już nie mogę...
– nawołują ze wszystkich stron. A on śpieszy każdemu z pomocą,

niezmordowany. Nie ma czasu dla siebie, bo często nie pozwoli mu nawet obiadu zjeść. Dla każdego ma słowa pociechy. Jest dla nas dobrym duchem opiekuńczym. I zdaje nam się, że ten człowiek ma w sobie jakąś siłę uzdrawiającą, wierzymy w niego wszyscy. Opatrunki robione są w tajemnicy przed komendantem.

Czuję się lepiej, choć rana goi się bardzo powoli.

Ludzi w obozie coraz więcej. Zapełniają się wszystkie sale. W każdym nowo przybyłym upatrujemy kogoś znajomego. Badania na dwójce nie ustają. Pozabijano nam okna na 13-tce. W jednej połowie baraku jest zupełnie ciemno. Tak rozkazał komendant, postrach całego obozu.

Słowo »komendant« elektryzuje wszystkich. Wpada znienacka. Gdy komendant wchodzi, milknie wszystko. Nikt nie ma prawa jęknąć, odezwać się. Wstrzymujemy oddechy, zdaje się, że serce za głośno bije, że nieodpowiednio się stoi. Błady strach pada na wszystkich, bo komendant wszedł na salę. Komendant może dać w twarz, może zastrzelić, jeśli mu się podoba, może przebić sztyltem. Zależy od fantazji. Wszyscy wiemy o tym. Są wśród nas naoczni świadkowie. Komendant jest panem życia i śmierci. Komendant nie pozwala modlić się. Znalezione gdzieś na sali książeczki do nabożeństwa drze na oczach wszystkich i depcze.

Każde wydarzenie na zewnątrz na niekorzyść Niemców odbija się smutno na 13-tce, jakbyśmy byli winni, że gdzieś tam zabito Niemca lub wysadzono tor.

Barakowy, który miał pewne prawa, prosił raz komendanta, by ten pozwolił wychodzić niektórym rannym do ustępu. – Nie wolno! – krzyknął. I załatwiają się wszyscy w sali, w papier, w jakąś blachę, w kubek lub miskę, a w godzinach, kiedy można wychodzić, wynosi się to.

Za wyjście z sali na korytarz dostaje się kolbą od wartownika. Żyje się w ciągłym strachu i bojaźni, nie wiadomo z której strony padnie cios.

Przyszedł maj, – piękny, zielony. Pole naszego widzenia jest bardzo niewielkie. Patrzymy na świat przez zadrutowane okna. Przykra do bólu staje się myśl o wiosnie.

Z naszego okna rozciąga się widok na dwójkę i szereg innych baraków. Pod samym oknem ustęp. – Od godziny 6 rano roi się na placu. Tysiące wysiedlonych pod oknami, wszędzie pełno ludzi. Zdaje się, że druty pękają z nadmiaru, nie pomieszczą tych nieszczęśliwców wygnanych z gniazd rodzinnych na poniewierkę, na wieczną

tułaczkę. Wszy tutaj już się nie zabija. Za wiele trudu i czasu za wiele. Zresztą nie sposób wytępić tej szarańczy. Ludzie ściągają z siebie ubrania i strzepują na dworze lub zgarniają jakimiś patykami. Wystarczy stanąć w pobliżu, by nałapać wszy.

W nocy pluskwy nie dają spać. Kapią ze ścian, z sufitu. Kto w dzień się nie zdrzemie, w nocy też nie może.

Pozwolono nam wyjść na plac do wybierania kartofli. Poszliśmy wszystkie z ochotą. Był początek czerwca. Po raz pierwszy od dwóch miesięcy wyszłam na świat. Wszędzie zielono... Świat taki piękny! Słońce śmieci tak jasno... A w duszy jakiś żałosny skowyt.

Podeszliśmy do setek ludzi zgromadzonych przy kartoflach. Stronią od nas, patrzą nieufnie, pokazują palcami.

– Patrzcie, to bandyci z 13-ki.

Ci ludzie wierzą święcie, że jesteśmy bandytami. Odgródzono nas drutem kolczastym od reszty obozu, izolowano całkowicie. Nie stykaliśmy się z ludźmi zupełnie. Nie pozwolono. 13 – tka okryta była tajemnicą, a teraz boją się nas. Nie wyglądamy jednak tak strasznie. Powoli nawiązujemy z nimi rozmowę. Nabierają do nas przekonania, starają się zbliżyć. Jesteśmy wszyscy jednakowi i los nasz jednaki. Nic tak ludzi nie zbliża jak wspólne nieszczęście, wspólna niedola.

Za parę dni odchodził transport do Niemiec. Jakaś matka chodzi pod drutami od dłuższego czasu, chce zobaczyć się z synem, bo może już jutro go wywiozą. Upatrzyła odpowiednią chwilę. Syn podszedł do drutów wraz z drugim znajomym. Rozmawiali chwilę. Padł strzał... Jeden z nich zatoczył się na miejscu, drugi biegł jeszcze kilkanaście kroków brocząc krwią z przestrelonej krtani i upadł tuż pod moimi nogami. Skonał. Matka stała za drutami. Pożegnała swego syna...

Dni wloką się smutne, beznadziejne. Znikąd pocieszenia. Jedyne rozrywką są paczki wydawane codziennie.

Matka jak niemy wyrzut cięży na sumieniu. Jest taka cicha, zamknięta w sobie. Nie skarży się, nie narzeka. Cierpliwie znosi swój krzyż. Mizernieje, zapada na zdrowiu. Skulona w kątku na pryczy przesuwając paciorki różańca, modli się całymi dniami albo otulona chustką, by jej nikt nie zauważył, zwinięta w kłębek łka cicho. Patrzymy na to wszystkie trzy. Łkanie przechodzi z wolna w szloch, co rozrywa piersi. Wychodzimy, by nie patrzeć na to. Ból jest za wielki. Płakać przy niej nie możemy.

Od paru dni ustały badania. Wydaje się to takie dziwne. Czegoś brak. Przyzwyczailiśmy się do całodziennego krzyku, do tego, że ciągle przynoszono nowe ofiary. Przyzwyczailiśmy się tak, że już nic nie robi na nas wrażenia. Trupy ani półtrupy nie wzruszały. Zdawało się, że tak być musi, że inaczej już być nie może. Otępienie zupełne. Z zimną krwią mogłam patrzeć, jak kogoś biją na śmierć, mordują. Wszystko przyjmowałam już bezkrytycznie jako fakt dokonany.

Ta kilkudniowa cisza przerażała nas, zapowiadała jakieś zmiany. –

Minął czerwiec. Rana moja jeszcze dość duża. Chodzę już od dłuższego czasu, ale mocno utykam. Przepowiadają mi, że już tak pozostanie.

... Lipiec. Pacyfikacja. Tysiące ludzi pakują do obozu.

Przyszedł na naszą salę komendant i wybrał kilkanaście osób.

– Potrzebuję ludzi do pracy, ludzi inteligentnych, dlatego przychodzę do was. Wierzę, że przyjęte na siebie obowiązki wypełnicie, a pamiętajcie, że ja cenię pracę. Objaśnił na czym polega praca każdego. Wszyscy chętnie się zgodzili. Możliwość poruszania się po całym obozie pachniała każdemu. Ja z Wandą poszliśmy do kancelarii, Irena na pocztę. Pan Wacek otrzymał oficjalne pozwolenie na leczenie chorych w całym obozie. Lekarz obozowy niewiele pomagał, prawie nie udzielał się.

Zaczęły się transporty do Niemiec.

Okropny jest widok tych wysiedlanych ludzi. Starcy, kobiety, dzieci, niemowlęta przy piersiach matek, wszystko spędzone razem, głodne, obdarte. Nędzarze. Pędzą ich całymi dniami, pędzą i w nocy. Jedni odchodzą, drudzy przychodzą. Leżą na podwórzu, na gołej ziemi, jedni na drugich. W barakach nie ma już miejsca. Deszcz czy pogoda stoją pod gołym niebem. Nie dostają jeść. Jest jedna kuchnia w obozie, lecz nie wystarczy gotować dla wszystkich, chociaż gotują dzień i noc. Wyciągają ręce głodne dzieci, wyciągają dorośli... Głód i choroby dziesiątkują ludzi. Od rana do nocy słyszać płacz dzieci, rozpacz matek, straszne przekleństwa żandarmów, nawoływania, krzyki. – Rozdzielają rodziny, segregują. Zabierają matkom ostatnie dzieci i wywożą w nieznane. Matka osobno, dziecko osobno i ojciec osobno. Dwie osoby z rodziny nie mogą być razem. Na rozpaczliwe

błagania matek odpowiedzią jest brutalne pchnięcie kolbą i zduszone przekleństwo.

Transporty idą ciągle, a ludzi przybywa. Przelewają się tłumy ludzkie, kłębią, gotują. Nie ma miejsca w całym obozie, by swobodnie przejść. – Jakaś kobieta przeciska się przez tłum. Na sztywno wyciągniętych przez siebie rękach niesie zawiniątko. Obłądne oczy dziko patrzą przed siebie... Ludzie ustępują jej z drogi, patrzą z współczuciem, bo oto niesie swój skarb, ostatnie swoje dziecię do kostnicy. Wczoraj już jedno umarło. – Śmierć zbiera tu obfity plon.

13-tka pracuje. Gestapo przesiało nami interesować się. Mamy swobodę ruchu. Naszego szefa nie ma już od paru miesięcy. Nastąpiło w stosunku do nas jakieś odprężenie. Od czasu do czasu przychodzi żandarm na salę, przyniesie listy lub zwolni kogoś. Od niego dowiadujemy się niektórych nowin ze świata. Przy końcu tego miesiąca ma przyjechać nowy szef i przejąć nasze sprawy.

Komendant rozkazał zrobić idealny porządek w całym obozie. Oczekujemy nowego szefa.

– Inspekcja idzie!... – podają przez korytarz zapowiedź. Jest cicho, jakby makiem zasiał. Wchodzi nowy szef w otoczeniu swojej świty i komendanta. Nasza sala jako reprezentacyjna jest na pierwszym miejscu. Dech zamiera w piersiach. Rozgląda się po sali, pyta o coś komendanta, który daje mu pewne wyjaśnienia. Przechodzą do innej sali. Barakowy jako tłumacz idzie z nimi.

– Dlaczego nie wszyscy wstają, gdy wchodzę na salę – pyta szef barakowego.

– Chorzy są, nie mogą wstać.

– Jakto chorzy, co im jest?

– Pobili na śledztwie, mają rany.

– Was?...

Barakowy porozpinał pierwszego leżącego i pokazał mu.

– Na, ja – uwierzył, że w takim stanie nie można wstać.

Nie pytał o nic więcej i nie przeglądał dalszych sal.

Na drugi dzień cała 13-tka wymaszerowała na plac. Spisano ewidencję, posegregowano nas na grupy i porozmieszczano po różnych barakach. Na 13-tkę powróciło tylko kilkanaście osób, w tym 2 ze Zwierzyńca – p. Wacek i Józio. Jakaś otucha wstąpiła w serca, iskierka nadziei tliła gdzieś w głębi duszy.

Zaczęły się ponowne badania i na 13-tkę ciągle ktoś przybywał. Badania są krótkie i mają z małymi wyjątkami łagodny przebieg. –

Wezwano Irenę. I ona po przesłuchaniu wróciła na 13-tkę. Wiemy już wszyscy, że na 13-tce siedzą najbardziej obciążeni. Dla nich kara będzie najsurowsza.

Wezwano i mnie.

– Czy Irena to siostra pani? – pyta Obersturmtührer.

– Tak.

– No, »ładną« ma pani siostrę.

Pominęłam to milczeniem.

– Będzie pani pisała na maszynie, tam w tamtej sali.

Przeszłam do tej sali. Tu odbywały się badania. Niski, szpakowaty gestapowiec kazał mi usiąść do maszyny.

– Będę pani dyktował.

Zdumiona byłam zwrotem, jaki nastąpił w sposobie badań. Oskarżeni podchodzili do stołu. Padały pytania, na które każdy odpowiadał »nie«. Badający gestapowiec siedział spokojnie, dyktował. Nie nalegał, nie krzyczał, nie protestował, jeśli badany mimo dowodów nie przyznawał się do winy. Nie mogę uwierzyć w to. Oskarżeni podchodzą jeden po drugim, odpowiadają »nie«, podpisują protokół i odchodzą. – Gdy ostatni już odszedł, gestapowiec wstał z krzesła.

– My już mamy tego wszystkiego dość...

Nie wiem co mu się stało, nie mogłam przemówić słowa.

– My za parę dni odjeżdżamy, cała nasza grupa odwołana jest do Lublina. Musimy wszystkie te sprawy wykończyć.

Nie powiedziawszy słowa wyszłam. – W drugiej sali siedział Obersturmführer, nasz nowy szef.

– Panie Obersturmführer, matka moja siedzi już 5 miesięcy razem z nami. Proszę, jeśli to jest możliwe, o zwolnienie jej. Jest stara, schorowana, nie ma żadnej winy, cierpi tylko za nas. Rozumie pan chyba, że to jest dla nas okropne.

Łzy zakręciły mi się w oczach. Rozpłakałam się. Popatrzył chwilę i rzekł:

– Wy wszyscy jesteście niewinni. Niech się pani uspokoi, matka będzie zwolniona.

Za trzy dni matka poszła do domu. Ciężar spadł z serca.

Z wolności mamy wiadomość, że nas nie wywiozą z Zamościa. Cieszymy się wszyscy. Możemy widywać się z rodzinami, czasem dostajemy przepustki na miasto. Nowy szef okazał się lepszy.

Jest już połowa sierpnia. Pogoda wspaniała. Obóz opustoszał zupełnie. Wysiedlenia skończone. Ostatnie transporty już odeszły. Zostało nas 45 osób z 13-tki i kilkanaście osób wysiedlonych, które pracowały na terenie obozu. Obersturmführer wyjechał do Rzeszy z całą swą grupą. My też spodziewamy się wyjazdu lada dzień. Wszystko mamy spakowane, gotowe do drogi.

29 sierpnia rano o 6 wywieziono nas do Lublina. Od stacji szliśmy pieszo obstawieni gęsto karabinami maszynowymi. Ludność rzucała nam po drodze chleb i owoce. Szliśmy wolno do celu. W dali tysiącem świateł błyszczał Majdanek.

* * *

I otworzyły się dla nas piekielne wrota. Obóz śmierci...

Zatrzymaliśmy się przed pierwszym barakiem. Jeden z SS-manów oddał listę pełniącemu służbę Niemcowi. Przeliczono nas i odprowadzono do pobliskiego baraku, gdzie spędziliśmy noc.

Świta już... Za oknami jakieś tajemnicze szmery, nawoływania, rozkazy, czyjeś ciężkie kroki pod drzwiami. Wszystko jest dla nas dziwne, obce i straszne.

– Pasiaki idą!

Wszyscy ciśniemy się do okien. »Pasiaki« idą do pracy. Oddział za oddziałem, równiutko rozchodzą się w różne strony. Dalej idą nieumundurowani, w jakichś łachmanach, boso.

– Mütze ab! – Mütze auf! – rozlega się głośnym echem.

Przyszedł Niemiec, oddzielił nas od mężczyzn i oddał do dyspozycji Fräulein Braunstein, rudej Niemki o długiej niesympatycznej twarzy i mocno zaciśniętych ustach. Nie podobała nam się »nowa pani«. Postawiła nas między drutami i kazała czekać na siebie. Czekaliśmy parę godzin, zanim się zjawiła. Byliśmy głodne i zmęczone. Zaprowadziła nas do Effecktenkammer. Tu każda z nas dostała papierowy worek, w który włożyliśmy wszystkie rzeczy. Nie można było nic zabrać. Niemka pilnie strzegła, by nic nie przeszmygłować. Przyszliśmy do łaźni. Otwarto tusz. Po pięciu minutach byliśmy gotowe. Kąpiel odbyła się bez mydła, bez ręczników. Ociekające wodą wyszliśmy do ubieralni. Braunstein wskazała nam jakieś łachy wiszące na kołkach. Spoglądamy jedna na drugą nie wierząc. Sukienki nasze i bielizna zostały w workach.

– Na, schnell, anziehen!

Wciągamy na siebie brudne szmaty, wyboru nie ma. Nie lada sztuką jest włożyć sukienkę z dziecka i poruszać się w niej.

Braunstein przygląda się nam z jakąś zjadliwą satysfakcją.

– Jetzt geföhlt ihr mir, so seht schön aus, so ist gut – rzuciła ironicznie.

Spojrzałyśmy po sobie. Wyglądamy wspaniale... Nie wiemy, śmiać się czy płakać.

Teraz idziemy na miejsce przeznaczenia popędzane przez Niemkę jadącą rowerem.

– Schneller! schneller! – wrzeszczy Niemka.

Musimy za nią nadążyć. Biegniemy.-Niemiełe wrażenie sprawiają na nas spotykane co chwila wysoko naładowane, olbrzymie wozy ciągnięte przez więźniów. Mijamy pola jedno za drugim. Wszędzie wzorowy porządek, klomby, aleje. Baraki pomalowane na zielono, z białymi framugami okien. Co kilkadziesiąt metrów wieże wartownicze z gotowymi do strzału karabinami maszynowymi i druty, druty, całe kłęby drutów, sieci drutu kolczastego odgradzają pole od pola i więźniów od reszty świata. Na drutach w niewielkich odstępach tabliczki z trupa główką i napisem »Nicht berühren«. Groza i strach wieje od tych drutów.

Dochodzimy do 5 pola. Stąd widać już wyraźnie olbrzymi komin krematorium panujący nad obozem. Tu jest miejsce spoczynku dla wszystkich, za którymi zamkną się wrota Majdanku.

Weszłyśmy na 5 pole uroczyście wprowadzone przez rudą Niemkę. Teraz musimy czekać aż nas łaskawie wpiszą. Stoimy przed kancelarią. Jest nam zimno i głód dokucza. Mijają godziny. Przyprawdzili jeszcze 5 nowych więźniarek. Zaprzyjaźniłyśmy się od razu. Ubrania nasze przysparzały dobrego humoru. Przyszedł w końcu Niemiec i zapisał nas.

Dostałyśmy przydział na 15 blok. Blokowa – Niemka. Jest już wieczór. Wszystkie partie wróciły z pracy. W bloku tłok, krzyki, gwar nie do opisanego. Uszy pękają. Jedne śpiewają, inne wymyślają. Boli mnie ten śmiech, razi krzyk, głośniejsza rozmowa. Nie mogę zrozumieć, że te dziewczęta czują się tu zupełnie dobrze. Na zapytanie odpowiada mi jedna z nich:

– My siedzimy już po 8 miesięcy, zdążyłyśmy się przyzwyczaić.

Migają przed oczyma najrozmaitsze twarze. Przeważają młode. Przyszły z różnych stron. Warszawa, Lwów, Białystok, Siedlce... Przyglądam się niektórym. Takie młode, ładne, sam kwiat. Niektóre mają po 15, 16 lat. Polityczne. Są także wśród nich zupełnie niewinne, wię-

te na ulicy podczas łapanek, są kobiety dorosłe i siwe staruszki. Prześpiwają ich różne.

Przespałyśmy noc szczęśliwie. O godz. 4 pobudka. Ścielenie łóżek, robienie porządków w bloku i śniadanie. Przynieśli jakiś płyn gorący o nieokreślonym kolorze i smaku, bez cukru. Każda dostaje po kwaterce, by nie zabrakło dla innych. Wypiłyśmy gorącą wodę. Rozgrzewa.

– *Apel!... Apel!...* – rozlega się donośnie po całym polu. Na dworze jeszcze noc. Ze wszystkich bloków wychodzą więźniarki. *Apel* odbywa się na środku pola. Każdy blok ma swoje miejsce. Ustawiamy się równo, piątkami, jedna za drugą.

Z kancelarii wychodzą Niemki, by odebrać apel. Jest ich kilkanaście. Nikt nie śmie poruszyć się w czasie apelu. Dostaje się za to baty. *Apel* polega tylko na przeliczeniu więźniów, a trwa godziny całe. Niemki po przeliczeniu schodzą do kancelarii i przepadają tam, my czekamy, czekamy na jedno słowo »*abtreten!*«. W szeregach powstaje gwar i ruch, tupanie nogami, zacieranie rąk. Nienawistne spojrzenia lecą w stronę kancelarii, podnoszą się ręce w bezsilnej wściekłości.

W kancelarii ciepło, przyjemnie.

Dzieci zaczynają płakać. Zimno daje się we znaki. Jesteśmy w samych sukienkach, z rękawami lub bez, zależy od szczęścia.

– *Przekłete szwabki! Cholery!* dobrze im w cieple siedzieć. Coraz inne epitety sypią się z szeregów. One pewnie zapomniały.

– *Abtreten!* – jak zbawienie spada na nas.

I znowu krzyk, popychanie się. Wszystkie zbiegają na dół do bramy. Tu formują się partie do wyjścia. W ciągu 10 minut wszystkie partie są gotowe. Otwierają bramę i wszyscy wychodzą kolejno do pracy.

Nie mamy jeszcze żadnego przydziału. Kręcimy się nie wiedząc, co z sobą począć. Do bloku nie można wejść, bo blokowanie pozwala, przed blokiem nie wolno, na placu nie wolno. Gdzie wobec tego mamy się podziać? – pytamy. – *Idźcie gdzie chcecie.*

Nigdzie nie ma dla nas miejsca. Niemki chodzą po placu i przeganają szwendających się bezczynnie. Na środku pola siedzą kobiety z dziećmi i staruszki, które już nie chodzą do pracy. Po rannym apelu wypędzają je z bloków i siedzą tu cały dzień aż do apelu wieczornego. Siedzą tylko, bo wstać nie wolno. Policja pilnuje, by która nie wstała.

Niby takie niewinne nic, a jednak i to siedzenie jest ciężką karą. Zbliżyliśmy się do tej grupy i siadamy. Są to przeważnie Żydówki greckie i Rosjanki. Prawie każda z małym dzieckiem.

Na plac wjeżdżają ogromne wozy ciągnięte przez więźniów. Widocznie koni tu się nie używa. Wozy stają przed kuchnią. W mgnieniu oka siedząca grupa rozpada się. Dzieci i staruszki biegną do wozów, czepiają się ze wszystkich stron. Wydierają sobie spadające liście kapusty, brukwi czy jarmużu. Odpędzane batami łapią jakieś odpadki i szczęśliwe wracają ze zdobyczą na miejsce. Teraz w spokoju spożywają zdobyte przysmaki. Jesteśmy wszystkie głodne, ale żeby jeść takie świństwa?!...

Obiad. Zrobiło się cieplej w żołądku na dźwięk tego słowa. Dymiące kotły stoją przed blokami, zapach stęchłej mąki dolatuje spod pokryw.

– I znowu osypka! Niech sami zeżrą. – Młoda panienka odchodzi z pustą miską. Odchodzi druga, trzecia... Padają przekleństwa.

– Świnie trzymają w obozie, czy ludzi?

Podchodzę z miską do kotła. Dostałam zupę. Nie ma ani odrobiny przesady w porównaniu zupy z osypką. Jakaś stęchła mąka rozgotowana w wodzie. Nie sposób tego jeść. Pocieszają nas współtowarzyszeki, że »osypkę« dają trzy razy w tygodniu i trzy razy »zielonkę«. Na niedzielę od czasu do czasu brukiew. Rano tak zwana kawa, na obiad zupa, wieczorem ta sama zupa lub kawa. Dzienna porcja chleba wynosi 15 dk. Rozdzielam chleb równiutko na trzy części, by wystarczyło po kęsku na cały dzień.

Po trzech dniach wezwano cały nasz transport na oddział polityczny. Mężczyźni wyglądają okropnie. Nie możemy wprost pojąć, że w ciągu trzech dni można tak strasznie zmienić się. Niektórzy załamali się zupełnie.

– Macie co jeść? – pytają, – bo my zdychamy z głodu. Jeszcze tydzień, a pójdziemy wszyscy na »Himmelkommando« – próbują niektórzy żartować.

– U nas także głód.

Spisano raz jeszcze nasze personalia i pozwolono odejść. Pan Wacek został zwolniony. Jadzia i Jasiek idą do domu za parę dni. Cieszymy się z tego szalenie i jednocześnie zazdrościmy im.

Od paru dni pracujemy z Wandą przy kanalizacji. Kapiemy rowy. Łopata z trudem wchodzi w twardy grunt. Jeść się chce.

Jadzia i Jasiek poszli do domu.

Przeniesiono nas na pierwsze pole. Przenosiny poprzedziła kąpiel trwająca cały dzień. Sama kąpiel trwa parę minut, czekanie na dworze – cały dzień.

Skończyło się kopanie rowów. Na pierwszym polu mamy już baraki komfortowo urządzone. Woda bieżąca i ustępy na miejscu. Teraz chodzimy sprzątać niemieckie baraki. Praca jest ciężka. Szorowanie całych olbrzymich bloków dzień w dzień. Serce odmawia posłuszeństwa, ale za to w baraku niemieckim można znaleźć skórkę chleba, jakiś niedojedzony ogryzek. Pół życia można za to oddać. Rozumiem już doskonale owe kobiety zjadające liście i korzenie, nie dziwią mnie bójkę więźniów przy śmietnikach o jakiś cuchnący odpadek. Snują się całymi dniami szkielety ludzkie, grzebią długo po śmietnikach, zjadają papiery, w które Niemcy owijali coś do zjedzenia. Nie ma w tym przesady. Sceny takie oglądamy co dzień. Głód jest straszny.

Wszyscy ze Zwierzyńca zostali zwolnieni. Zostałyśmy tylko my trzy siostry. — Dostałyśmy pierwszą paczkę z domu po trzech tygodniach. Sam chleb. Wiemy już teraz, że Jadźka jest w domu i powiedziała wszystko. Paczki będą przychodziły.

Po 6 tygodniach wezwano nas do kancelarii. Dostałyśmy czerwone numerki. Szalejemy z radości. Czerwony numerki, to duży krok do wolności. Dostają go wszyscy niewinni zakładnicy i do czterech najwyżej miesięcy zostają zwolnieni. Dowiadujemy się jednocześnie, że wszyscy mężczyźni z naszego transportu i wszyscy ci, którzy siedzieli w Zamościu dostali czerwone numerki, wszyscy mają być niedługo zwolnieni.

Jakże nam wszystkie pozostałe zazdroszczą. Zbiegają się z całego pola, by zobaczyć nas – najszczęśliwsze istoty pod słońcem i aby powünsować.

Jesteśmy teraz na specjalnych prawach, nie chodzimy nigdzie do roboty. Robimy porządki w bloku i czekamy zwolnienia. Październik dobiega już końca. Dostajemy z domu paczki, głód już nie dokucza. Całymi dniami wyglądamy przez okna, czy ktoś nie idzie na wolność. Jeśli od poniedziałku zaczynają się zwolnienia, – trwają cały tydzień, jeśli w poniedziałek wezmą kogoś na rozstrzelanie, to cały tydzień jest straszny.

Zimno dokucza coraz bardziej. Wystawanie godzinami na apelach w samej sukience, przy końcu października, nie należy do przyjemności.

Plotki obozowe krążą bezustannie. – »Będą zwolnienia do 15-go«, »po 15-ym ma odejść transport«, albo znów: »słyszałam z pewnych ust, że wszystkich politycznych mają rozstrzelać« itp. Wierzy się każdej plotce, głowa pęka.

Wykańczają systematycznie Żydów. Co pewien czas odbywają się selekcje. Oznaczona ilość Żydówek idzie do komory gazowej. Każdą taką »robotę« poprzedza w przeddzień obecność »p. Thumana«, szatana Majdanku. – I dziś zjawił się jak zły duch. Zajechały po południu wozy ciężarowe i zatrzymały się przed blokami żydowskimi. Niemki zносиły kosze z chlebem i kiełbasą. Głodne dzieciaki żydowskie wyciągały ręce po chleb i momentalnie znajdowały się na samochodach. Powstał straszny krzyk. Zrozpaczone matki przeczuwając śmierć swoich dzieci rzuciły się z błaganiem do Niemców. Kolby karabinów przywracały na chwilę spokój. Niemcy weszli do bloków. Wszystkie dzieci do lat 14 znalazły się na wozach, obdarowane przez Niemki kiełbasą i chlebem.

Śmierć w komorze gazowej jest krótka. Po niedługim czasie ciągniki terkotały po bruku. Trupy dziecięce wywożono na 6 pole. Obłakane matki przez kilka dni grzebały rękoma piasek szukając swoich dzieci.

Nowe transporty nie przychodzą już na nasze pole. Idą dalej, tam gdzie dymi komin krematorium.

Codziennie zajeżdża na plac duży wóz po trupy. Więźniowie ciągną ten wóz. Układają trupy równo i wywożą z każdego pola na jedno miejsce. Komin pochłania wszystkich. A śmiertelność na polach wzrasta. Umierają masowo Rosjanki i Żydówki. Polki trzymają się mocno. Prawie wszystkie dostają paczki. Czerwony Krzyż opiekuje się nami wszystkimi. Jesteśmy do łez wzruszone, gdy zajeżdżają auta z żywnością dla więźniów. Chorzy dostają nawet butki z masłem, owoce i mleko. Wszystko z R. G. O.

Do przyjemności obozowych należą: apele, kąpiele całego pola, rewizje i karne apele. Rewizje są rzeczą niemal codzienną, lecz rewizje całego pola odbywają się rzadziej. Przy rewizji pola wszystkie wychodzą na plac. SS-mani wpadają do bloków i przetrząsają dokładnie każde łóżko, wyrzucają słomę z sienników. W międzyczasie Niemki rewidują nas na polu. Biada, jeśli która ma na sobie coś więcej ponad koszulę, majtki i sukienkę. Dostaje za to po twarzy, kilka kopniaków i przy wszystkich musi się rozebrać i zdjąć zakazane rzeczy. A jest wiele takich. Każda zdążyła już coś sobie »zorganizo-

wać», jakiś swetr, czy cieplejszą sukienkę. SS-mani wynoszą z bloków całe fury fachów, garnków, kapusty, nawet zdarza się świeże mięso. Niemki przeliczają na placu ilość zdobytych ubrań. – Skąd się to wszystko bierze wśród więźniów i jakim sposobem, – to pozostaje wieczną zagadką. W magazynach brakuje kilkaset par bielizny i ubrania. Po rewizji znalazło się wszystko. Karny apel nieunikniony. Trwa do godz. 8 – 9 wieczór. Jedna drugą podtrzymuje na duchu. Pomagamy sobie wzajemnie i podtrzymujemy wiarę w lepsze jutro.

Docierają do nas różne wiadomości. Świeże gazety mamy co dzień. Mamy możliwości wysyłania listów »na lewo«. Życie układa sobie każda jak najznośniej. Największą naszą radością są paczki i listy. Każdy list czytany jest obowiązkowo głośno, przy wszystkich, cieszymy się wspólnie, każde słowo oblane jest łzami.

W listopadzie dostałyśmy palta, swetry i czapki. Już nie marzniemy.

Wszystkie partie pracują do 2 po południu bez przerwy. O 4 apel wieczorny. Niemki schodzą z pola, zostajemy same. Wtedy można już na głowach stawać, palić w piecach kradzionym drzewem, gotować i czytać. Huczy we wszystkich blokach. Opowiada się wszystkie zasłyszane wiadomości z komentarzami, swoje myśli, przypuszczenia, pisze się listy do domu, by jutro mogły już pójść.

Lecą dni. Przyzwyczaiłam się już do życia obozowego, zżyłyśmy się wszystkie, ale każda tęskni za wolnością. Od dwóch tygodni nie zwolniono nikogo. Świeżych więźniów ciągle przybywa. Idą wszyscy na 5 pole na 4-tygodniową kwarantannę.

Na 6 polu kopią rowy od dłuższego czasu. Problem to dla nas mocno niepokojący. Po co? Dla kogo te rowy? Czy może Niemcy się okopują?

Rozwiązanie przyszło bardzo szybko.

Po rannym apelu kazano wszystkim wrócić do bloków, na polu nikt nie może pokazać się pod żadnym pozorem. Na drogach pełno wojska, żandarmerii, samochodów. Idą SS-mani całymi kolumnami. Na wieżach wartowniczych po trzech żołnierzy z karabinami maszynowymi. Stoimy w oknach, obserwujemy. Od strony Lublina idą jacyś ludzie. Kolumna za kolumną w niewielkich odstępach, zbliżają się coraz bardziej. Żydzi. Idą prędko popychani kolbami. Maruderzy zostający w tyle z porozbijanymi głowami za jednym uderzeniem Niemca

walą się na ziemię. Wystrzał karabinu i nie wstają więcej. Nadchodzący zabierają z sobą trupy rozsiane po drodze i wloką dalej. Straszny to widok. Okrwawione głowy zwisają na rękach żywych jeszcze półtrupów. Niosą nagie zupełnie ciała. Co chwila ktoś pada pod strzałem. Idą nieprzerwanie. Każda kolumna liczy 500 ludzi.

Na naszym polu jest około 600 Żydówek. Wiedzą, że to ostatnie ich minuty. Od czasu do czasu słychać terkot karabinów maszynowych, czasami wpadnie w ucho jakaś melodia...

Przeszło już kilkanaście tysięcy Żydów i Żydówek z dziećmi. Dalejszych idących kolumn nie widać.

– Wszystkie Żydówki na plac – rozlega się głos gońca.

Wyszły wszystkie, bez słowa skargi, z podniesionymi dumnie głowami. Lekarki w białych fartuchach, personel pielęgniarstwa, kancelaria. Poszły wszystkie. 18 tysięcy w ciągu paru godzin. Muzyka gra na 6-ym polu. Krew płynie obficie.

Po trzech dniach wszystko wróciło do normalnego życia, jak gdyby nic się nie działo.

Zaczęto palić trupy. Straszliwy smród zalega cały Majdanek. Gęsty dym przelewa się chmurami. Nie można oddychać, nie można nic do ust wziąć. Ubrania i ciała nasze śmierdzą. Niemki wściekają się bez powodu. Wpadają znienacka do bloków, zaglądają pod łóżka, do sienników. Za najdrobniejszy pyłek na podłodze zostaje obita pierwsza z brzegu. Baty można dostać za nic. Atmosfera staje się mocno nieprzyjemna.

Przy końcu listopada wezwano nas na »Politische Abteilung«.

Widok naszego pierwszego szefa zmroził krew w żyłach. Oznaczał koniec najgorszy. Rozdzielono nas od razu i przesłuchiowano pojedynczo. Znowu wylazło coś nowego. Każda z nas odparła stawiane zarzuty. Wróciliśmy do bloku zgaszone. Nadzieja na zwolnienie prysła.

Z męskiego pola dochodzą co dzień wiadomości o rozstrzelaniu pewnej ilości mężczyzn. Od nas zabrano dwie młode dziewczyny na rozstrzelanie. Powtarza się to coraz częściej.

Zbliżają się święta Bożego Narodzenia. Paczki świąteczne! Z bijącym sercem podchodzi każda wywołana do okna po swoją paczkę. Jest w tych paczkach wszystko. Serce i łzy matki, jest cały dom rodzinny.

Po południu w wieczór wigilijny zajechały olbrzymie wozy z R. G. O. z wigilią i podarkami dla więźniów. Wzruszenie wyciska nam łzy z oczu. Wszyscy dostają paczki świąteczne z R. G. O. Jest w nich

kawałek słodkiego ciasta, trochę cukru, parę jabłek, gałązka choinki przewiązana wstążeczką, obrazek z życzeniami i opłatek. Wszystkie paczki są jednakowe. Nie możemy mówić o tym bez wzruszenia. Postanawiamy, że każda z nas po wyjściu stąd pierwsze swe kroki skieruje do Czerwonego Krzyża i R. G. O.

Uroczysta cisza zaległa całe pole. Z ukazaniem się pierwszej gwiazdy wszystkie bloki przystąpiły do łamania się opłatkiem. Na polu nie było żadnej Niemki. Wartownicy na wieżach trwają jednak niewzruszenie.

– Wśród nocnej ciszy... – rozlega się ze wszystkich stron. Choinki przystrojone błyszczą. Nastroj staje się podniosły. Płyną kolędy.

– Jeszcze Polska nie zginęła – wybucha jak krzyk serc naszych. Uderza hymn w niebiosy. Śpiewamy całą duszą...

...Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz, ni dzieci nam germanił i ...Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie...

Mamy tyle mocy w sobie teraz, tyle gorącej wiary. Jest w tych pieśniach moc potężna co skuwa nas razem. Jest w tej nocy świętej coś niepojętego i uroczystego. – Usłysz nas, Panie!... Wszystkie oczy utkwione gdzieś w dal, łzy cicho spływają po twarzach.

Minęły dni świąteczne. Znowu krążą plotki. Od stycznia zaczynają zwalniać. Wszystkie »Geisle« pójdą do domu. »Geislami« nazywano wszystkich z czerwonymi numerkami.

Każdego dnia wypuszczają kilku. Sami mężczyźni. Coraz to wpada ktoś do nas z radością i dobrą nowiną: za parę dni idziecie do domu. Mile słucha się tych nowin. Wierzy się i nie wierzy. Całymi dniami siedzimy w oknach i wypatrujemy znajomych. Może który kiwnie ręką, da znać.

Jest już luty. Przywieziono nowy transport z Ravensbrück. Około 800 osób, w tym 60 Polek. Przywieziono je, by wykończyć tutaj. Są wśród nich Polki, które trzy miesiące temu wyjechały stąd i wróciły teraz, by umrzeć w Majdanku.

Zaangażowano nas jako pielęgniarki. Cieszymy się wszystkie trzy, że nareszcie spędzimy jakoś czas pożytecznie.

Pierwszy dzień pracujemy w szpitalu. Śnieg upadł po kolana. Przez zasypy śnieżne pędzi Baśka z taką tajemniczą radosną miną.

– Mam wam coś powiedzieć, ale mnie nie zdradźcie.

– Mów! Dobre czy złe?

– W poniedziałek idziecie do domu.

.

– Nie żartuj, Baśka.

– Jak Boga kocham, zwolnienia wasze leżą już w kancelarii.

– Wszystkie trzy? I Irena?

– No wszystkie, przecież ci mówię.

Boże! Czy to możliwe?... Dziś sobota, więc już pojutrze?...

Całe pole huczy. Przychodzą ze wszystkich stron, cieszą się za nas. Każda ma jakąś prośbę, jakieś polecenie, do Warszawy, Lwowa, Białegostoku. Jestem jak ogłupiała, nie wierzę jeszcze w cud, nie mogę się cieszyć.

W poniedziałek z rana wpadł goniec.

– Krasulanki do kancelarii, wszystko z sobą zabrać.

Teraz dopiero zaczęło się kotłować. Pożegnaniom nie było końca. Zżyłyśmy się tak bardzo przez tych kilka miesięcy. Każda była siostrą.

– Pamiętajcie o nas na wolności! Dajcie znać, piszcie! – Ostatnie słowa, ostatnie spojrzenia.

Jest mi dziwnie ciężko i smutno. Serce mocno bije. Patrzę na Wandę, na Irenę. Nie widać, żeby się cieszyły. Irena jest blada jak trup.

Oględziny lekarskie wypadły pomyślnie. Gestapowiec, który przyszedł nas zwolnić, trzyma nasze karty w rękę, wypytuje, bada, jakby miał ochotę jeszcze nas zatrzymać.

Niemka wyprowadza nas z pola. Dostajemy z powrotem swoje depozyty, przebieramy się we własne ubrania. Gestapowiec kręci się koło nas i uśmiecha:

– Ja, ja, ihr habt Glück gehabt, – odwrócił się i odszedł.

Przed oddziałem politycznym czekali na nas wszyscy mężczyźni z zamojskiej 13-tki. – Dzień taki jasny, słoneczny.

Kazano nam czekać. Czekamy niedługo. Przyszedł jakiś żołnierz i zabrał nas.

– Czy idziemy już naprawdę do domu, nigdzie już nas nie zatrzymają? – pytamy.

– Możecie być najzupełniej spokojni – odpowiada mały Niemiec po polsku – idziecie na pewno do domu, odprowadzę was tylko do kąpieli, a stamtąd każdy pójdzie w swoją stronę.

Idziemy prędko. Nikt z nas nie ogląda się. Słońce śmieje się do nas złotymi promieniami. Dochodzimy do bramy, wartujący Niemiec sprawdził przepustki, otworzył bramę.

Jesteśmy już na drodze do Lublina. Idziemy coraz prędzej, nie czujemy zmęczenia, skrzydła rosną nam u ramion... Mały Niemiec nie może nadążyć za nami, powstrzymuje co chwila.

Jeszcze jedna kąpiel i wychodzimy wolni, bez towarzystwa gestapowców. Rozchodzimy się w różne strony.

Nie mogę się cieszyć. Chodzimy jakoś niepewnie, oglądamy się co chwila, nie ustępuje uczucie dziwnego lęku i ustawiczna świadomość, że ktoś nas zatrzyma. Wszyscy czują mniej więcej to samo.

Nie wierzę jeszcze w cud, a jednak stało się. Siedzimy już w pociągu. Mijamy stacje, stacyjki, nikt nas nie zatrzymuje, nie zawraca z drogi.

Zwierzyniec... Na stacji garstka znajomych, rodzina. Okrzyki, powitania, łzy... i nareszcie dom.

JAN SMARZEWSKI

ZE WSPOMNIEŃ O WIEZIENIU W BIŁGORAJU

I.

Aresztowanie

Do pokoju mojego, który mieścił się na poddaszu, wbiegła siostra mego gościnodawcy.¹⁾

– »Niemcy po Walka – (starszego brata gospodarza). – Czy ma pan co do schowania?«

Było to we czwartek 16 września 1943 r. około pół do ósmej wieczór. Ciemnawo. Przed kilkoma tygodniami przeszedłem operację stopy, a ponieważ rana jeszcze nie była całkiem zagojona, więc leżałem w łóżku.

– »Proszę« – powiedziałem podając przygotowaną do schowania teczkę tekturową.

Na dole, następnie w sąsiednim pokoju, słychać było ciężkie kroki niemieckie. Po pewnym czasie ktoś stanął w drzwiach łączących dwa pokoje i zaśmiecił latarkę kieszonkową. Wszedł i wciąż śmiejąc

¹⁾ Nadleśny Ordynacji Zamojskiej Bolesław Usow (*Przyp. red.*).

mi w oczy zbliżył się do mego łóżka, spytał kim jestem i wyszedł. Po dłuższym czasie powtórzyło się to samo, ale było już Niemców paru.

– »Weźmiemy także?« – spytał jeden drugiego po niemiecku.

– »Tak«. – I w pokoju został tylko jeden.

– »Włożyć marynarkę«.

Myślałem, że zejdę tylko na dół na przesłuchanie. Ubrałem się byle jak. Tymczasem ktoś wrócił przejrzeć rzeczy.

– »Czyja maszyna do pisania?«

– »Tutejsza«. – Nowiuteńka Royal Portable.

Schodzimy na dół, do kuchni. Siedzi tu paru robotników najętych tego dnia do pracy na podwórzu, służąca i Schupo z bronią maszynową i z granatami.

Czekamy długo. Wreszcie przyprowadzają mego gospodarza i jego brata Walka, przychodzi też ich matka i siostra. Pomału rozpuszczają robotników, zostaje tylko jeden z nich, Roczniak. Jego i Walka spinają łańcuszkiem. – Nie wziąłem żadnego okrycia ani czapki, więc matka gospodarza z własnej inicjatywy biegnie na górę, ale nie może nic znaleźć. Bo też wszystkie moje rzeczy, okrycie, drugie ubranie, zapas ciepłej bielizny itd. już sprzątnęło Schupo. Szlachetna dama przynosi mi jakąś inną kurtkę, daje coś do kieszeni do zjedzenia, bo kolacji jeszcze nie było i wychodzimy.

Z gospodarzem siadamy na jego wozie, koło woźnicy oficer Schupo, reszta pieszo, dwaj skuci między nimi. Jest około 25 schupowców. Mówią po niemiecku, po chorwacku, po polsku. Przechodzimy przez wieś. Gdziekolwiek przy płocie pokaże się jakiś człowiek, schupowcy zapędzają go do mieszkania. Dochodzimy do szosy. Biegną po samochód, który zostawili koło szkoły, my czekamy u wejścia do lasu. Słyszymy napomnienia, aby ostrożnie wyładować skrzynkę jaj, które oficer sobie zabrał. Słyszymy też uwagi, że zawsze przy aresztowaniach znajduje się ludzi rzekomo chorych. Było to powiedziane pod adresem mego gościnodawcy, który przechodził ciężką gripę, i moim. Wsiadamy na samochód i po pewnym czasie wjeżdżamy do Biłgoraja. Tu większość Niemców wyładowuje się, wynoszą też nieprawdopodobnie długi worek napchany rzeczami zrabowanymi podczas aresztowania. Widocznie nie przypuszczają, abyśmy wyszli żywi. – Wreszcie odwożą nas do więzienia. Oficer każe oddać sobie dokumenty i nakazuje, aby każdy z nas trzech siedział osobno. Rocz-

niak może siedzieć z Walkiem. Personel więzienia już sam odbiera zawartość kieszeni, po czym rozprowadzają nas po celach.

Na prawo od wejścia do więzienia jest kancelaria, na lewo zaś celi Nr 1, w której ulokowano Walka i Roczniaka. Dalej po tej samej stronie celi Nr 2, w której mnie umieszczono, naprzeciw zaś, t. j. po tej stronie co kancelaria, jest celi Nr 3, do której dano mego gospodarza. Musiała już być godzina dość późna, chyba koło 11, gdy znalazłem się w celi.

II.

Współwięźniowie

Nie wypytywałem dokładnie więźniów o ich sprawy, ale z rozmów z nimi musiałem dowiadywać się wielu szczegółów. Dużo też opowiadano o przejściach z Gestapo i z ich współpracownikami – Ukraińcami.

Gdy przybyłem do celi, siedziało tam 7 osób. W ciągu ośmiu dni liczby zmieniały się. Bywało nas od ośmiu do trzynastu. Najbardziej z maltretowany był człowiek niżej trzydziestki, który mówił bardzo mało. Od innych dowiedziałem się, że przychwycono go z bibułą, ale nic nie zdradził. Bez pomocy nie mógł przewrócić się z boku na bok, ani podnieść się, a tym bardziej stanąć na podłodze. Prowadzono go, gdy miał przejść się po celi albo po podwórzu. Opowiadano, że stawano mu kutymi butami na boscie nogi, bito najokrutniej, rzucono po zbitiu na kilka dni do piwnicy, gdzie go nie odwiedzano nawet ze strawą. Wiadomości te powtarzano czasem w jego obecności, co on potwierdzał. Podczas mego pobytu już go więcej nie przesłuchiowano.

Inny chłopak, o parę lat młodszy, miał plecy dosłownie czarne od pobicia przez Ukraińców w Tarnogrodzie.

Był stary, ale krzepki wieśniak, przypuszczalnie sześćdziesięcioletni. Opowiadał, że w Gestapo zbito go gruntownie, a potem rzucono do piwnicy, w której bez jedzenia spędził trzy doby – od soboty do wtorku. We wtorek, t. j. na dwa dni przed moim przybyciem odprowadzono go do więzienia. Plecy i ramiona bolały go tak, że w czasie mego pobytu zrywał się po nocach i jęcząc chodził po celi. Kilku, których zastałem i kilku później przybyłych, miało sprawy drobniejsze, względnie należące do policji kryminalnej. Niektórzy nie byli jeszcze

przesłuchiwani. Pewien młody chłopiec miał ojca w innej celi, był w przyjaźni z dozorcą Flisem, u którego podobno mieli zdeponowane jakieś znaczne sumy. Do tejże grupy należał inny chłopak nazwiskiem Więctaw, który przybywszy w poniedziałek we czwartek był wzywany do policji kryminalnej i wrócił uszczęśliwiony, pełen udzielonych mu wiadomości przez jakiegoś wysokiego kripowca, nawet o innych więźniach.

We czwartek, w tydzień po mnie wprowadzono, a właściwie wrzucono do celi gajowego Ordynacji Zamojskiej z Obroczy Pieczonkę, mocno pobitego. Nos miał zniekształcony, twarz i odzież krwią zlane, czapka połamana. Przybył po południu, dano mu osobny sien-
nik, wnet przyszła synowa naczelnika więzienia z lekarstwami. Prosił wciąż o wodę, jęczał, żalił się, że niewinnie go pobito. Podobno stwierdzono z podstępnie zrobionej fotografii obecność jego na weselu, na którym pojawili się »bandyci«. Niemcy pobili go i wzięli z tejże wsi jeszcze osiem kobiet i pięciu mężczyzn, razem podobno czternaście osób. Dwu dano do naszej celi. Gajowy męczył się cały wieczór, – sko-
nał około 1 w nocy. Trup leżał w celi do rana, po czym straż kazała go wynieść na dwór. Przed wieczorem dwie najmłodsze spośród owych kobiet, – młodą mężatkę i jakąś dziewczynę, – wzięto do Gestapo »na sprzątan-
ie«. Nie dowiedziałem się nigdy, czy wróciły.

W poniedziałek pobudka była bardzo wcześnie. Miał »odejść transport« do Lublina czy do Zamościa. Nikt nie wiedział na pewno. Kto z nas pojedzie? Mówiono, że tu w Biłgoraju trzymają zaledwie parę tygodni, – a następnie? – Majdanek? – Niemcy? a może gdzieś po drodze wykończą?

Po śniadaniu z naszej celi wywołano owego ciężko zbitego za bi-
bułę i żyda, który z żoną i dwuletnią córeczką chował się w jakiejś wsi i został wykryty wskutek donosu. Podobno była dla nich furmanka, ale jak daleko dojechali – nie dowiedzieliśmy się.

III

Życie w więzieniu

Naprzeciw wejścia do celi znajdowało się okno normalnej wiel-
kości, zakratowane, na zewnątrz do pewnej wysokości oszalowane deskami, aby nie było widać głównej bramy więziennej. Słyszeliśmy

więc tylko dzwonki i po głosach oraz po krokach poznawaliśmy czy to wchodzi Niemcy, czy też podają paczki dla więźniów.

Przez całą długość ściany, w której było okno, stało rusztowanie pokryte deskami. Mogło tam spać osiem osób. Gdy było więcej, reszta mieściła się na podłodze. Było parę sienników, ale lepiej było leżeć na deskach, aby unikać kontaktu z robactwem.

W kącie blisko drzwi stał zawsze kubeł, a dwa razy na dzień wyprowadzano nas na podwórze. Tam wszyscy szli do ustępów, a potem jeszcze był czas, aby się przejść. Co do mnie, korzystałem z rannej przechadzki, żeby się umyć do pasa u studni. Gdy mnie skuto, prosiłem współwięźnia, aby mnie zlał wodą. Inni myli się w celi, ale było to bardziej powierzchowne.

O świcie (około 5 min. 30) budzono nas, – choć przeważnie już nie spaliśmy. Po ubraniu się trzeba było zamieść celę, potem szło się na podwórze, następnie śpiewaliśmy »Kiedy ranne wstają zorze«. Śniadanie, chleb na cały dzień – (zupełnie wystarczająca porcja) – i kawa namiastkowa, – nienajgorsza. W południe obiad. Parę osób w więzieniu, – m. in. ja, co z wdzięcznością wspominam, – otrzymywało lepszy obiad staraniem Polskiego Komitetu Opiekuńczego (R. G. O.). Nie dano mi go tylko ostatniego dnia, – może w związku z karą okucia?

Zanim słońce zaszło, wyprowadzano nas znów. Po jakimś czasie – »Wszystkie nasze dzienne sprawy« i kładliśmy się. Ale i w dzień można było leżeć.

Przez całą noc świeciła się lampka elektryczna, tak wysoko umieszczona, że nie można było jej samowolnie zgasić.

W niedzielę odmówiliśmy z pamięci kilka modlitw (m. in. Litanię Loretańską), a w piątek rano odmówiliśmy »Anioł Pański« za zmarłego gajowego. Za mego pobytu zaczęliśmy też odmawiać chórem rano i wieczorem pacierz, »Pozdrowienie Anielskie« i »Pod Twoją Obronę«.

Mieszkający bliżej otrzymywali często paczki, którymi dzielili się w pewnej mierze z innymi. Tytoniu palono dużo.

Mówiono mi, że na piętrze prócz mieszkania naczelnika jest cela kobiet.

Z dozorców jeden był dla mnie uprzejmy. Dawał mi gazetę (był to okres walk pod Salerno) i dwukrotnie pocieszał mnie w sposób ostrożny dodając, że mam szczęście. Obym mógł mu się odwdziżyć!

Drugi, ów Flis, był dla mnie przykry, a trzeci, Kowal, nawet bardzo.

W poniedziałek po południu usłyszeliśmy głos jakiegoś Niemca. Po chwili z celi Nr 1 usłyszeliśmy: »bacność«, »padnij«, »powstań«! Po chwili i u nas »bacność«! We drzwiach z naczelnikiem więzienia pojawił się dowódca Gestapo Colb prowadząc psa. Kazał mnie wywołać i uważnie mi się przyjrzał.

IV Przesłuchania

W sobotę po południu wezwano mnie do kancelarii więzienia, aby być tłumaczem przy przesłuchaniu mego gościnodawcy przez oficera Schupo, który nas aresztował, a zabierając przy sposobności wiktuały znalazł i kawałek mięsa. Szło o to, skąd się ono wzięło.

We wtorek 21 września znów mnie wywołano. We drzwiach, prócz dozorca, stali dwaj gestapowcy. Na korytarzu założono mi kajdanki – twarde, połączone sztywnym łukiem, zamykane na kluczyk. Szedłem przez miasto przed nimi oboma. Gdy wszedłem na pierwsze piętro, rozkuto mnie i wpuszczono do pokoju, w którym siedział rudy przesłuchiawca. Był z nim tęgi brunet w cywilnym ubraniu.

Po pytaniu o nazwisko od razu nastąpiło »zaskoczenie« – pokazano mi owe papiery, o których myślałem, że udało się je schować. Kazano mi napisać parę słów, aby porównać charakter pisma i zabrano się do bicia. Bili dwaj – jeden pałką, przeważnie po ramionach i łopatkach od czasu do czasu szturchając mnie w brzuch i żebra, – drugi głównie kułakiem po twarzy, w brzuch i żebra. Trwało to dość długo, zwłaszcza że nie jęczałem. Przerwali na chwilę, aby mi powiedzieć, że próbuję zasłaniać się ręką, a tak nie wolno: należy ręce trzymać w kieszeniach. I znów bili. Przerwa. Napili się trochę alkoholu. Dadzą mi wody do łykania, jeśli nie będę mówił. Ów cywil przynosi parę pustych butelek i ostentacyjnie wstawia je do szafki, w której jest ich więcej. Rozumiem to jako ostrzeżenie: – słyszałem, że flaszki takie rozbija się na głowach »opornych«.

Przeprowadzają mnie przez korytarzyk do małego pokoiku, który ongiś był może śpiżarenką albo kuchenką. Kazał usiąść na ziemi, ko-

lana podciągnąć, rękoma objąć kolana tak, aby ręce zeszyły się przed nimi, ręce związują cienkim powrozem, – aby wbijał się w skórę, gdy ciało zawiśnie na rękach, – i między kolana a ręce wsuwają czworograniastą żelazną oś. We dwóch podnoszą oś i końce jej umieszczają na poręczach dwóch krzeseł. Głowa zwisa w tył, w dół. Jeden staje za mną, nakrywa mi twarz ścierką i leje wodę w nos z dzbanka. Trwa to dłuższy czas.

Kiedy wreszcie mnie zdejmują, jestem zdrętwiały. Ręce zaczynają puchnąć. Przeprowadzają mnie do pokoju, w którym bili. Obsuwam się na podłogę. Doskonale, właśnie mam siedzieć na ziemi. Wchodzi Colb. Z uśmiechem zapewniają go: »panu profesorowi nie jest wygodnie«.

Przesłuchiawcz pisze na maszynie protokół. Piją i znów pisze. Innych już nie ma. Każą mi podpisać sześć egzemplarzy – byle jak najszybciej i tak podając, abym nic nie mógł przeczytać. Nie upominam się, bo mówiono mi z góry, że nikomu nie dają czytać. A pewnie napiszą, że czytałem! Zakuwają mnie i wyprowadzają schodami w dół. Idzie za mną »Walek«, który musiał być w innym pokoju. Wracam na noc do więzienia. Bołą mnie ramiona, plecy, ręce, zębra.

Środa 22 września. Po śniadaniu znów przychodzą, zakuwają mnie i prowadzą do miasta do Gestapo. Tu rozkuli mnie i wprowadzili do pokoju przesłuchiawcza, gdzie znajdowało się jeszcze kilku gestapowców, a mój gościnodawca stał zбитy i dosłownie zgięty wpół z bólu. Ledwie wszedł przyskakuje do mnie z krzykiem przesłuchiawcz i zaczyna się bicie. Prócz dwóch wczorajszych bije trzeci – młody przystojny wysoki brunet, z którego późniejszych uwag wobec innych gestapowców wywnioskowałem, że zna Katowice. Biję z zapalem sadysty. Cofam się pomału pod naporem ich trzech z rękoma w kieszeniach. Wreszcie znalazłem się pod ścianą i obcasem zdrapuję kawał tynku. Podnosi się straszny krzyk, że zniszczyłem ścianę, że zapłacę itd. Każą mi stanąć pod drugą ścianą. Znów piszą. – Mam to podpisać – »Prędzej!« – Tymczasem wyprowadzono mego gospodarza. Stoję jeszcze długo. W pewnej chwili przesłuchiawcz podbiega do mnie. Bucha od niego woń spirytusu. Zaczyna mi wymyślać w sposób ordynarny, a zarazem tak skomplikowany, że to chyba z jakiegoś podręcznika czy okólnika. – Wchodzi Colb. Każą mi położyć się twarzą do ziemi. Po jakimś czasie wstać. Kpiny. A czemu

nie stoję na baczność? Poruszają kwestię owej ściany. – »Takie świństwo!« – Uchwalają, że już mnie gdzieś widzieli. A że mam długie wąsy, więc dają mi nożyczki i każą je ściąć, ale uważać przy tym, żeby nie naśmiecć. Po chwili oddają nożyczki temu czwartemu, który mi je podał. – »Greczny człowiek dziękuje, gdy mu się wyrządza grzeczność« – mówi i uderza mnie końcem nożyczek w rękę, która oczywiście zaczyna krwawić.

Zostaję sam z przesłuchiawcem. Staje koło mnie. – »Głowa twoja już przepadła, spadnie jak burak, ale zanim będzie koniec, wyśpiewasz nam wszystko«. – Jak obrzydliwie czuć go alkoholem!

Wyprowadzają mnie do trzeciego, dużego narożnego pokoju – kancelarii. Na jednym ze stołów spozzegam zabraną z mego mieszkania maszynę Royal Portable. Każą mi położyć się twarzą do ziemi, ręce zawiązują powrozem. Dalej leży mój gospodarz, jak gdyby nieprzytomny. Dozór siedzi ciągle i odbiera telefony, a przesłuchiawca wbiega od czasu do czasu i telefonuje do Krakowa, do Lublina itd., że mnie mają i proszą o dalsze wskazówki. Raz wpada i kopie mnie. Na rozkaz Colba związują mi i nogi.

W porze obiadowej dyżuruje ten od nożyczek i zapowiada, że jeśli się ruszę, będzie strzelał.

Potem na jego miejsce przychodzi inny, młody, niewysoki, przystojny brunet czy szatyn. Po jakimś czasie zaczyna mówić do mnie dość cicho:

– »Czemu się pan upiera? (mówi »Sie«). Wy Polacy jesteście dziwni: »so patriotisch!« Dla innych wyciągacie kasztany z ognia. Po co to? Mógłby się pan uratować. Przecież najwyżej już tylko kilka miesięcy to potrwa. Cóż w tym za sens?«

I znowu: – »Sam pan się skazał na śmierć«.

Ktoś nadchodzi. Colb z psem. Pies mnie obwąchuje. Colb załatwia telefony itd., po czym szczuje na mnie psa, ale bez skutku, bo leżę spokojnie. Colb wychodzi. Po jakimś czasie znów wchodzi i staje nade mną. Słyszę szelest jak gdyby zapalniczki. Mam wrażenie, że chce przypalić czy ubranie czy włosy. Z lekka poruszam głową. Na to tylko czekał. Wali mnie nahażem po plecach, po ramionach. – »Czemu się ruszasz?« – Po pewnym czasie każe mi wstać. Szczuje psa. Stoję spokojnie. Każe rozwiązać mnie i poruszać ręką. Poruszam. Każe uderzyć psa. Nie słucham, – a cóż mam go uderzyć? – Każe znów ruszać ręką. Ostatecznie pies rzuca się na mnie i chwytą za prawą rękę u nasady dużego palca. – (Potem ropiło się to kilka tygodni).

Colb myśli o sposobach sterroryzowania mnie. – »Jak nie będziesz gadał, użyję psów tropiących (Bluthunde)«.

Milczę.

Przychodzi przesłuchiwać. Przy pomocy Walka mam brata jego poprowadzić, bo sam iść nie może. Idziemy koło owej kuchenki czy spiżarenki. W jej otwartych drzwiach stoi jakiś oprawca z dwiema cienkimi deseczkami i długim szpagatem. Mówiono mi potem, że to do ściskania gruczołów płciowych i że zapewne było to memento, – ale na razie nie rozumiałem. Schodzimy schodami tylnymi. – Do piwnicy? – Nie, na podwórze. Stoi tu wózek jednokonnny. Oddycham z ulgą. Pewnie do lasu. – Koniec.

Wsadzamy skatowanego. Nie zakuwają nas. Przesłuchiwać siada koło mnie. – »Jeśli się ruszysz, strzelę«. – Ruszamy. Znow zaczyna:

– »Masz czas do jutra. Zginiesz, ale przedtem musisz mówić«. Odwiozł nas do więzienia.

V.

Ostatnie dwie doby

Przez noc ze środy na czwartek postanowiłem skończyć ze sobą, a wobec trudności powieszenia się chciałem przeciąć sobie żyłę lewej ręki żyłką. Było jeszcze przed świtem, ale Więctaw zaalarmował Flisa. Nadbiegli dozorczy Flis i Kowal. Wśród przekleństw zabrali mi pasek, a jeden ze współwięźniów znalazł żyłkę, którą ukryłem w kawałku chleba. Zawiadomiono Gestapo. Opatrzono rękę. Później przyjechał ów cywil tłumacz i po nakrzyczeniu – (»czy nie dość jeszcze lania dostałeś«) – nałożył mi na ręce kajdanki, a klucz zabrał.

Zawoławszy z celi Nr 1 Roczniaka – (»gdzie jest ten robotnik z tej samej miejscowości«) – kazał mu zostać w mojej celi i na krok mnie nie odstępować. – »Tylko do jutra, po czym cię wypuszczę« Poszedł do mojej celi i zapowiedział, że jeśli uda mi się popełnić samobójstwo, to zginą wszyscy w celi, a przynajmniej połowa.

W piątek rano znow wezwano mnie do kancelarii więzienia. Był tam sadysta z Katowic i ów, który mówił o wyciąganiu kasztanów. Ten ostatni grzecznie robił mi wyrzuty o zamach samobójczy – (»gdybym już chciał zrobić, to przynajmniej mądrze«), po czym znow

mi zakomunikował, że mógłbym jeszcze uratować się, miałbym tę szansę, gdybym chciał mówić.

– »Ot, blisko jest banda z dwustu ludzi. Niech pan powie, gdzie jest?«.

– »Nie wiem, nie mogę wiedzieć«.

Pokazuję im, że ręce spuchły mi od kajdan. Czy nie można – by zdjąć?

– »Nie możemy«.

– »A rozluźnić?«.

– »Nie możemy«.

Wśród obecnych jest policjant granatowy, który służbiście zapewnia mnie, że gdyby to on zakładał kajdanki, zacieśniłby je jeszcze bardziej.

Rozmowa skończona, odprowadzają mnie do celi.

Ropnie po kajdanach goiły się przez sześć tygodni.

VI.

Wybawienie

Gdy w ów czwartek 16 września wieźli nas przez lasy, cisnęło się do głowy pytanie: a może jakimś cudem natkniemy się na naszych. I gdy na ulicach Biłgoraja zauważyliśmy strażę, znów powstawało pytanie: gdyby tak chcieli nas odbić, czy strażę nie przeszkodzą?

We wtorek wieczór po pierwszym moim badaniu, ktoś z nowoprzybyłych przyniósł wiadomość, że Niemcy w Biłgoraju dostali rozkaz uważania, bo bandy podchodzą pod miasto. Ktoś pyta, czy dadzą radę Niemcom? Naturalnie, przyjść może i dwa tysiące. Właśnie gdzieś rozbito więzienie. Czy w Krasnymstawie?

A może tu będą lepiej pilnowali?

Najgorsze, mówimy sobie, gdyby kogo zamknęli do piwnicy w Gestapo. Tu jest nadzieja, tam by nie było. Są nawet dwie takie piwnice, w dwu różnych budynkach.

Odtąd wychodząc na podwórze uważnie oglądamy mury. Wysokie na jakie cztery metry, z zewnątrz zapewne jeszcze wyższe, u góry podwójny rząd drutu kolczastego. Po nocach zwiększone warty na dziedzińcu. Prócz »granatowych« stale dodatkowo wartuje Ukrainiec. Podobno rezerwa śpi w budynku. Straż przy bramie już i w dzień

i w nocy nie otwiera jej bez przekonania się, kto idzie. Jak nasi dostaną się do środka? Może jako gestapowcy. Ale tutejszych gestapowców straż chyba zna. Może wcale nie przyjdą?

Po powrocie z badania we środę wieczór prosiłem owego porządnego dozorcę, aby mnie jeszcze wyprowadził na dwór. Przy sposobności tajemniczo pocieszał mnie mówiąc, że mam szczęście.

Piątek, 24 września, wieczór. Po dwudniowym noszeniu kajdan, po śmierci gajowego i po wiadomości o owych dwóch kobietach, które poszły »sprzątać« do Gestapo, jestem przygnębiony. Ale mój dozorca znów mnie pociesza.

Kawa wieczorna. Modlitwa.

Jakieś podniecenie. Kładziemy się. Rozmowy niezwykle szybko milkną.

Nagle strzał. Tak. Karabin. Potem trzy strzały z pistoletu.

Gaśnie nasza lampka elektryczna. Wszyscy zrywamy się. Przez chwilę słysząc, jak każdy ubiera się – byle jak najprędzej, A tam za szalowaniem ogromny ogień maszynowy – nad szalowaniem aż jasno. Po jakimś czasie ogień nagle ustaje.

– »Poddajcie się zaraz, darujemy wam życie«.

Nie słysząc odpowiedzi. Znowu ogień intensywniejszy. Czyżby to straż tak się broniła? Bo przedtem mówił ktoś, że na dachu jest gniazdo KM.

– »Czy poddajecie się?«

Znowu ogień. Roczniak szepcze, że zapewne nie zdobędą.

Wtem czysty, doniosły głos komendy: »Zeskakiwać z drabin!«

Więc już są.

Większość więźniów już przedtem leżała na ziemi, między pryzą a drzwiami, bo mówiono, że Niemcy mogą rzucić granat, aby nas zabić zanim uciekniemy. Teraz wszyscy tłoczą się u drzwi. Ogień zamilkł, słysząc krzyki na korytarzu. U nas zaczynają się obawiać, że po zostaniu zamknięci. Więc krzyki: »Otwórzcie celę, jest nas dwunastu«. I jak głos braci czy ojców brzmi odpowiedź z korytarza: »Już, już, bądźcie spokojni«.

Po chwili szcęk sztaby, zgrzyt klucza. Grupka ciśnie się przez drzwi. Już jesteśmy w korytarzu. W ciemności rozlegają się głosy wywołujące poszczególnych jeńców. M. in. mnie.

– »Jestem, jestem«.

– »Dobrze, na prawo, tam stoi pan kapitan«.

Z serca dziękuję za zwolnienie. Ciśniemy się ku wyjściu. W słabym świetle widzimy kilka postaci z rękami wzniesionymi do góry. To personel więzienny i policja granatowa.

– »Na prawo, na dziedziniec, wyjść przez bramę i na prawo wzdłuż szosy. Tam wskażą«.

Wszystko z góry obmyślane. Wychodzimy wśród szpaleru naszych żołnierzy. Któż wyrazi to uczucie!

Każą nam biec wzdłuż szosy. Coraz więcej żołnierzy. Tam za nami jeszcze strzelanina. Na szosę padają rakiety. To nasi ciemniejący wzywają pomocy.

Po kilku minutach zbliżamy się do lasu.

Wciąż jeszcze noszę kajdany. Ręce mi spuchły. Kluczyka oczywiście nie mamy, a metal bardzo mocny. Kładą mnie na wznak i rozrąbują siekierą połączenie obu części. Więcej w tej chwili zrobić nie można. Idziemy w las. Znowu krótki marsz – i oto czekają wozy dla kobiet i słabszych. Wszystko obmyślane i przyszykowane. Co chwila podchodzi ktoś z oficerów, podoficerów i żołnierzy zapytać, czy czego nie trzeba, zachęcić, wyrazić radość. Słabszym dają cukru na wzmocnienie.

A przecież wśród tych wszystkich wybawców zapewne nie było nikogo, ktoby znał osobiście kogokolwiek z wybawionych.

Nad ranem zatrzymujemy się. Szef kompanii nie szczędząc dwugodzinne go trudu, rozpiłowuje mi okucia obu rąk.

Tak skromni są ci nasi wybawcy, że nawet podziękować sobie nie dadzą.

JANINA DORANTOWA

WSPOMNIENIA Z WIĘZIENIA W ZAMOŚCIU I W LUBLINIE

(1942-1944)

11 września 1942 r. przez zamojskie Gestapo został aresztowany w Suścu mój mąż¹⁾ wraz z grupą innych mężczyzn. Wiedząc jakich

¹⁾ Inż. Władysław Dorant. Przed wojną pracował w Ministerstwie Komunikacji w Warszawie. W czasie wojny zajmował się dostawą drzewa dla instytucji społecznych w Warszawie. Brał czynny udział w organizacji. (*Przyp. red.*).

metod i sposobów używają Niemcy podczas badań postanowiłam za wszelką cenę do nich nie dopuścić i wyciągnąć męża, zanim wezmą go na przesłuchanie. Niestety, wszelkie starania w celu nawiązania kontaktu z więzieniem w Zamościu, gdzie przebywał mój mąż, jak również z kimś, ktoby mógł dotrzeć do Gestapo, były szalenie utrudnione. Podczas drugiego pobytu mojego w Zamościu, – dzięki p. Barciszewskiemu, który ułatwił mi spotkanie z b. naczelnikiem więzienia (nazwiska jego nie pamiętam), – dowiedziałam się tylko tyle, że mąż mój nie był przesłuchiwany i znajduje się nadal w więzieniu. Kontakt z gestapowcem, który wyciągał podobno różnych ludzi, nie można było uzyskać, gdyż stale był nieobecny, obiecano mi jednak, że gdy się zjawi, to sprawa męża będzie mu przedstawiona. – Kiedy trzeci raz, 21 września, przyjechałam z paczką dla męża, wręczono mi paczkę od niego ze zwrotem naczyń i brudnej bielizny. Od razu zwróciłam uwagę, że adres na paczce pisany był obcą ręką. Domyśliłam się, że coś się stało, skoro mąż nie wyzyskał jedynej legalnej drogi, żeby mi bodaj w ten sposób dać znać, że jest na miejscu: »grypsy« żadne mnie nie dochodziły. Zaraz po oddaniu w więzieniu paczki posłam do b. naczelnika więzienia, który zapewnił mnie, że mąż pozostaje nadal w więzieniu, a do Gestapo z susieckiej grupy brany był jedynie leśniczy Kowalewski. Po całodziennych, – znow bezowocnych staraniach, – uzyskawszy jedynie powtórnię obietnicę nawiązania kontaktu z Gestapowcem, który rzekomo już wrócił do Zamościa, odjechałam do domu. Na stacji w Zawadzie zostałam zatrzymana już po raz trzeci w tym tygodniu. Po wylegitymowaniu mnie przez Gestapo i urząd pracy zostałam szczęśliwie zwolniona. 24 września przyjechałam ponownie z paczką do więzienia, tym razem jednak już jej nie przyjęto. Strażnik więzienny oznajmił mi, że męża nie ma. Na pytanie skierowane do sekretarza otrzymałam odpowiedź, że 21 września został zwolniony do domu. Naturalnie, wiedziałam, że to kłamstwo, domagałam się powiedzenia mi prawdy, sekretarz jednak twierdził, że tak ma odnotowane i o niczym nie wie. Rozmową naszą zainteresował się jakiś przygodny Niemiec i zapytał od siebie sekretarza, co się stało z moim mężem. Ten odpowiedział mu, że w ubiegły piątek, t. zn 17 września był wzięty na badanie do Gestapo, skąd już nie wrócił. Niezwłocznie udałam się do Gestapo, wstępując po drodze do mego poprzedniego informatora. Ten wyja-

śnił, że istotnie informacje jakich mi udzielił, były mylne, gdyż to nie Kowalewskiego, lecz właśnie męża wzięto na badanie. Obecnie wie tylko tyle, że istotnie stamtąd dotychczas nie powrócił. Informacji w Gestapo udzielił mi teraz Mazurek, Polak, b. nauczyciel muzyki w szkołach zamojskich. Przejrzawszy skorowidz, oświadczył, że męża mego w Gestapo nie ma. Na pytanie, co się z nim stało, odrzekł, że nie wie, a jeżeli chcę koniecznie się dowiedzieć, to zatelefonuje do kogoś, kto może potrafi mnie objaśnić. Za chwilę zszedł z góry gestapowiec Bernat, podobno b. sierżant Wojsk Polskich.

– »Panie chcą informacji?« – zwrócił się do mnie i p. Kowalewskiej, która mi towarzyszyła.

– »Tylko ja« – odrzekłam.

– »Niech panie wejdą do pokoju informacyjnego«.

Za chwilę sprawdzał nasze personalia.

– »Pani może odejść« – zwrócił się do p. Kowalewskiej.

»A pani zostanie u nas. Dobry z pani ptaszek« – dodał i sprowadził mnie do ciemnicy na dół. – »Będzie pani miała dość czasu, aby zastanowić się nad tym, co pani robiła«. Po czym zgasił światło i zamknął drzwi.

Zostałam sama w wąskiej ciemnej celi. Pierwszą moją czynnością, jaką wykonałam przy nikłym świetle padającym z korytarza, było zniszczenie wszystkich notatek i adresów, jakie posiadałam. Około 1 otworzono celę i podano mi miskę zupy, której nie przyjął. Po kilku godzinach zapalono na chwilę światło i dosłownie wrzucono na cementową podłogę celi jakiegoś ociekającego krwią mężczyznę. Widząc, jak jest okropnie skatowany, – twarzy nie można było rozpoznać, tak była czarna i spuchnięta, – poprosiłam dyżurującego na korytarzu gestapowca o wodę i zostawienie bodaj na chwilę światła. Wodę przyniósł mi w butelce, światła jednak nie zapalił. Zostałam więc z nieszczęsnym, wlewając po trochu wody w spieczone usta i kładąc po omacku kompresy z chustek do nosa. Przez 5 czy 6 godzin, jakie spędziliśmy razem, prócz nieludzkich wprost jęków nic od niego wydobyć nie potrafiłam. Nie wiem, jak się nazywał, ani skąd pochodził. Zabrano go na powtórne badanie, skąd już nie powrócił.

Przyszła noc. Obok w celach rozlegały się jęki, chwilami jakieś zwierzęce wycia. Z dala dochodziły krzyki i zgrzyty żelaza czy też łańcuchów. Na górze, nad głowami katowanych i konających, szalał jazzband. W tych warunkach spędziłam trzy doby, będąc już do końca sama. Czwartego dnia wywołano mnie na korytarz i kazano

iść na górę, stamtąd na podwórze i w końcu do dużej sali, a raczej hali, gdzie było pełno łańcuchów, drągów i różnych żelaznych narzędzi. Zobaczywszy to wszystko, przypuszczałam, że to jakaś sala tortur, tymczasem zza jakiegoś przepierzenia wyciągnięto samochód i poleccono mi do niego wsiąść. Obok mnie usadowiło się dwóch uzbrojonych gestapowców, na vis a vis ustawiono karabin maszynowy. W takiej asyście odjechałam do więzienia.

Zaczęło się beznadziejne wyczekiwanie na badanie urozmaicone przybywaniem coraz to nowych ludzi lub zabieraniem na badanie już dawniej siedzących. Przy mnie zabrano z naszej sprawy Bolka Babiarza i Lucjana Kowalewskiego. Pierwszy już nie wrócił, Kowalewski, gdy go przywieziono, nie mógł ustać o własnych siłach. Obrazu dopełniały koszmarnie opowiadania tych, co już przeszli przez ręce Gestapo. Od razu pierwszej nocy po przybyciu do więzienia dwie niewiasty, które były w Gestapo rzekomo jednocześnie z moim mężem, opowiadały mi, jak go katowano i jak wreszcie wykończono. Czy i ile było w tym prawdy – nie wiem. Z późniejszych relacji zaczerpniętych z aktów sprawy wynikało, że zaraz przy pierwszym badaniu mąż mój w momencie, kiedy się na niego zamierzano, chwycił z biurka marmurową suszkę i cisnął nią w Niemca, który go przesłuchiwał, na skutek czego został zastrzelony.

Kobiet politycznych w chwili mego przybycia było w więzieniu zamojskim niewiele. Na ogólną liczbę 140 politycznych było ich ze 20. W kilka tygodni po mnie została aresztowana i przywieziona do więzienia młoda dziewczyna, nauczycielka z Udrycz, Ada Bakuńniakówna oskarżona o należenie do organizacji. Po moim wyjeździe z Zamościa była nieludzko katowana podczas badań w Gestapo. Na ogół warunki w więzieniu zamojskim na oddziale kobiecym zarówno pod względem higienicznym, jak i doboru współtowarzyszek niedoli były znośne. Gorzej było z wyżywieniem: na śniadanie i kolację kawa gorzka z małym 3 dekowym kawałkiem chleba, na obiad wodnista, przeważnie z brukwi, zupa. Było to stanowczo niewystarczające. Nic dziwnego, że w celi roboczej, gdzie przeważnie siedzieli mężczyźni, którzy nie otrzymywali żadnych paczek, nie było dnia, by ktoś z wycieńczenia nie umarł. Nieraz wynoszono po dwa trupy dziennie. Wzajemny stosunek współtowarzyszek niedoli był na ogół przyjazny. Charakterystyczne cechą dla wszystkich uwięzionych, nie

tylko politycznych, była ich wyraźna postawa wobec typów niepewnych, zwłaszcza wobec konfidentek Gestapo. W celi naszej właśnie była taka jedna z Lublina, Irena Gieroba, skazana na 6 lat więzienia za jakieś nadużycia. Była wiadomość z Lublina, iż dzięki niej zginęło już szereg ludzi, między innymi jej własni rodzice. Towarzyszki niedoli bojkotowały ją wyraźnie nie rozmawiając z nią, nie dzieląc się paczkami, nawet spać żadna z nią nie chciała. Na własną jej prośbę została w końcu przeniesiona do innej celi. Stosunek oddziałowej do uwięzionych, zwłaszcza do politycznych, był na ogół poprawny. Oddziałowa Halina Białówna szła wybitnie na rękę i ułatwiała wszelkie kontakty, zarówno między celami kobiecymi, jak i z oddziałem męskim. Ona to w Wielką Sobotę 1943 r. wyprowadziła z więzienia Adę Bakuniakównę uchodząc z nią razem. Po pewnym czasie, niestety, sama została ujęta i zamordowana.

11 listopada wzięto mnie wreszcie na badania. Jechałam z przeświadczeniem, że mnie wykończą. Zwykle daty naszych narodowych rocznic lub świąt służyły Gestapo za powód do zgładzenia większej ilości politycznych. W Gestapo, dokąd mnie przewieziono, przez kilka godzin czekałam w piwnicy, nim wzięto mnie na badania. Muszę przyznać, że zarówno badający mnie gestapowiec Szmidt jak i tłumacz Kleindl, podobno Polak z Tomaszowa, zachowywali się w stosunku do mnie poprawnie. Przez blisko cztery godziny, podczas których starali się wmówić we mnie różne rzeczy i wydobyć zeznania, – nie stosowali żadnych represji natury fizycznej. Pod koniec moich zeznań przyszedł jeszcze jeden gestapowiec Colb, który z ironicznym uśmiechem zapytał, czy ja myślę, że oni w to wszystko wierzą, co ja im powiedziałam i czy za cenę tych kłamstw mam zamiar uzyskać wolność. Kiedy odpowiedziałam, że nie za cenę kłamstw lecz prawdy, roześmiał się cynicznie i po usunięciu z pokoju tłumacza proponował mi wręcz współpracę z nimi: – »to jest cena, za którą może pani uzyskać wolność«. Kiedy się zachnęłam i odpowiedziałam, że zgody na to nie uzyskają ode mnie w żadnym wypadku, uderzył pięścią w stół i polecił sprowadzić mnie do piwnicy. Ponieważ Schmidt odrzekł, że to już on sam ze mną załatwi, Colb klęcząc z pasją skierował się ku wyjściu, powrócił jednak od drzwi i przykładając mi rewolwer do czoła powiedział: – »tylko słowo o tym co mówiłem, to koniec«.

– »Nie boję się tego wcale« – odrzekłam – »a jeśli chodzi o powtórzenie pańskiej propozycji, to niech pan będzie spokojny, – nie sprawia mi ona zaszczytu, żebym się miała nią chwalić«.

-»Niech gnije w piwnicy« – rzucił i wyszedł z pokoju.

Po podpisaniu zeznań zostałam odwieziona z powrotem do więzienia, gdzie pozostałam do 24 listopada. W dniu tym nas 4 i około 30 mężczyzn wywieziono ciężarowymi samochodami do Lublina.

Przyjazd na Zamek wywarł na nas przygnębiające wrażenie. Instynktownie czuliśmy, że niewiele z nas wyjdzie z tych murów odgrodzonych od świata szeregiem bram, krat i drzwi. W bramie pożegnałyśmy mężczyzn, których zabrano do rewizji, nas odprowadzono na oddział kobiecy. Przyjęła nas starsza oddziałowa Felicja Machałkówna oddając po rewizji w ręce dwóch korytarzowych, po czym odprowadziła nas do celi zwanej kwarantanną, gdzie były już cztery kobiety. Cella wyglądała okropnie, na pół ciemna, niewielkie okno w górze osłonięte było od zewnątrz blachą. Z sześciu przypiętych do ścian łóżek tylko dwa miały sienniki. Jedna ławka, wieszak, dwa wiadra i miednica stanowiły całe umeblowanie. – Ponieważ była już 6 po południu, trzeba było kłaść się spać. Łóżka były tak okropne, żeśmy nie miały odwagi na nich położyć się, pokładłyśmy się na podłodze. Więzienie zamojskie, gdzie na trzy kobiety przypadały dwa porządne sienniki przykryte prześcieradłami, a dla każdej poduszka ze słomy i koc w podpince, gdzie była umywalnia nawet z ciepłą wodą, – wydawało nam się rajem w porównaniu z lubelskim. O wpół do piątej rano w korytarzach Rozlegały się już krzyki oddziałowej i korytarzowej wypuszczających z cel dyżurne z wiadrami po wodę. Cele na gwałt sprzątano, o 6 oddziałowa wraz z przodownikiem odbierała apel. Po apelu – kawa, sprzątanie celi, t. zw. »wylew«, t. j. wypuszczenie więźniarek do ubikacji, po czym cele zamykano do 1, czyli do obiadu. Po obiedzie powtórny »wylew«, o 4 kolacja, o 6 apel i spanie. – Po trzech dniach było nas w kwarantannie już 33. Spałyśmy wszystkie pokotem na ziemi. O ile któraś chciała w nocy przewrócić się na drugi bok, musiała i reszta to samo uczynić, inaczej bowiem nie można było pomieścić się. O wyciągnięciu nóg nie było mowy, gdyż między dwoma rzędami kobiet położonymi do siebie nogami leżało jeszcze kilkanaście kobiet w poprzek. Dopiero w więzieniu po raz pierwszy zetknęłam się z najrozmaitszymi gatunkami insektów. Ta osławiona kwarantanna służyła po to, by ich nabrać i poroznosić później po celach, do których przydzielano już na stały pobyt. O ile w więzieniu zamojskim oddziałowe segregowały w pewien sposób więźniarki, o tyle w Lublinie przeciwnie – politycz-

ne, zbrodniarki, złodziejki, chore wenerycznie, nierzadko umysłowo, prostytutki itp. wszystko siedziało w jednej celi.

Z kwarantanny przydzielono mnie do celi 36, gdzie zamiast 12 kobiet, na jakie była obliczona, siedziało nas 34. W ogóle w tym okresie wszystkie cele były przepełnione, stan kobiet wynosił przeszło 300, w tym prawie połowa politycznych. – W początkach grudnia wyjechał transport 26 kobiet politycznych do Oświęcimia. Pośród nich były takie, których ani razu nie przesłuchiowano. Prawie co dzień rano zjawiał się gestapowiec z listą wyznaczonych do badań. Oczekiwałyśmy każda swojej kolejki. »Wyrokowe« brano przeważnie na jakąś funkcję lub do robót w kasynie, w pralni, szwalni, suszarni, a nawet poza obręb więzienia do ogrodów i kuchni w komendzie Gestapo. Polityczne siedziały zamknięte w celach. Niektóre robiły roboty ręczne dla oddziałowych, ich rodzin, znajomych, oraz dla gestapowców. Wyzyskiwano je nielitościwie. Pomijając już, że praca była bezpłatna, często dostarczano stosy pończoch i innych rzeczy do naprawy nie dając na to wcale materiału. Nie chcąc narazić się tej czy innej oddziałowej więźniarki musiały dodatki zdobywać własnym przemysłem niejednokrotnie kupując je za pajdki chleba, którego w 1942 r. nie było bynajmniej za wiele. Dużo kobiet nie otrzymujących paczek wyzbywało się najpotrzebniejszych rzeczy za parę kromek chleba. Bywały wypadki, że za 10 kg chleba sprzedawały bardzo porządne palta. Sytuacji tej nie mogły zaradzić te, które otrzymywały paczki, gdyż były w mniejszości, a po wtóre dużo paczek, zwłaszcza podczas dyżurów oddziałowej Felicji, ginęło. Pani oddziałowa przy pomocy paczek więźniarek wiodła beztroski żywot na oddziale zapraszając niejednokrotnie panów z Gestapo na dobre śniadania i kolacje.

Okropne jest w więzieniu poczucie całkowitej bezradności wobec tego, co się widzi i słyszy. Szczęście, jeśli choć na chwilę zdoła się człowiek oderwać od tej ponurej rzeczywistości dzięki zdobytej gdzieś książce lub przeszmuglowanej gazecie. Gazety miałyśmy prawie codziennie przemykane z męskiego oddziału. Nasza cela otrzymywała je przeważnie za pośrednictwem żony premiera Mikołajczyka, bardzo dzielnej i uczynnej niewiasty. Siedziała ona wraz z 16-letnim synem, którego dzięki usilnym staraniom zwolniono. Ją samą niestety zabrano na Majdanek, skąd wrócono do więzienia, aby w końcu 2 października 1943 r. wywieźć do Oświęcimia. Czy ją nakryto przy jakiejś robocie, czy też wzięto jako podejrzaną, tego już obecnie nie pamiętam, wiem

tylko tyle, że nic od niej nie wydobyto. W stosunku do Niemców zachowywała się z godnością i w Oświęcimiu, – jak nam opowiadała jedna z więźniarek, którą stamtąd przywieziono do Lublina, – władze niemieckie bardzo się z nią liczyły. – Jeżeli chodzi o typy kobiet t. zw. politycznych, to trzeba przyznać, że z małymi wyjątkami stały one na wysokości zadania.

Mimo całej beznadziejności wlokących się niemiłosiernie godzin, czas jednak uciekał. Przyszło Boże Narodzenie – najprzykreszszy bodaj moment w więzieniu. Paczki, opłatki, jakieś drobiazgi układane przez kogoś bliskiego, budziły wspomnienia. Kobiety się jednak trzymały. Wigilię urządzono wspólną, składały się na nią wszystkie. Starsza celi złożyła życzenia: »obyśmy wytrzymały i wróciły do swoich«. Chóralny śpiew kolęd przy małej choince głuszył jakiś samotny płacz. – Święta różniły się od zwykłych dni tym, że nikogo nie brano na badania. W styczniu jednak zaczęły się znów transporty politycznych do Oświęcimia, było też kilka wyroków śmierci. Skazane były przeważnie »wyrokowe«. W kwietniu przygotowywał się duży transport politycznych.

W tym czasie byłam chora na grypę, później na zapalenie płuc. Święta Wielkanocne spędziłam w szpitalnej celi. W Wielki Piątek zjawił się w asyście gestapowca jeden z uwięzionych księży z pytaniem, czy uwięzione mają ochotę odbyć powszechną spowiedź i otrzymać Komunię. Ponieważ wszystkie wyraziły zgodę, w Wielką Sobotę raniutko ksiądz współtowarzysz niedoli przyjmował powszechną spowiedź i udzielał Komunii. Po świętach, 28 kwietnia, zjawił się gestapowiec z listą przeznaczonych na transport do Oświęcimia. Usłyszałam w korytarzu swoje nazwisko, miałam wtedy 40 stopni gorączki i było mi obojętne, co ze mną zrobią. Po chwili do celi szpitalnej wszedł Niemiec z oddziałową, zapytał co mi jest. – »Zapalenie płuc« – odpowiedziała oddziałowa.

- »To może jechać, wziąć ją na nosze«.
- »Ale jest w ciąży« – dodaje oddziałowa.
- »Aha« – zastanawia się Niemiec – »to zostawić«.

Za chwilę żegnają się ze mną dwie kobiety z naszej sprawy – Bondyrowa i Gąsiorowa, przeznaczone już do transportu.

W dwa dni później na skutek złożonego przeze mnie podania i starań na zewnątrz wywieziono mnie do szpitala Jana Bożego, gdzie w parę dni po kryzysie zapalenia płuc urodziła mi się 15-go maja 1943 r. córka. Byłam tak wyczerpana warunkami i chorobą, że lekarze nie mieli nadziei bym żyła. W sali szpitalnej było nas 11, w tym 6 politycz-

nych. Jedną z nich, Jewdokia Danilenko, była synową Stalina. Młoda, kulturalna niewiasta przewieziona została na poród do szpitala. O tym, że była synową Stalina dowiedziałyśmy się ubocznie. Z tego, co mówiła, domyśliłam się, że musiała pracować w wywiadzie. Przypuszczam, że nie wykończono jej dlatego, że dla władz niemieckich przedstawiała wartość jako zakładniczkę. O tym, że się z nią liczone świadczy fakt przewiezienia jej do szpitala bez żadnych z jej strony starań. Nim się dostała do szpitala, gdzie po urodzeniu synka przebywała 5 miesięcy, siedziała już 7 miesięcy początkowo w więzieniu, później na Majdanku. Rozmawiałyśmy z nią często o obecnej Rosji.

Szpital Jana Bożego, pomimo to, że byłyśmy w sali strzeżonej przez policjantów, tchnął wolnością w porównaniu z więzieniem. Trzeba przyznać, że policjanci nasi okazywali nam bardzo dużo współczucia i ułatwiali co mogli. Niestety, niemożna tego powiedzieć o lekarzu ordynującym na sali więziennej drze Żmigrodzkim, który bardziej dbał o to, co mógł od chorej, a właściwie od jej rodziny, wyciągnąć, niż o samą pacjentkę. Od męża jednej z politycznych, Janickiej, pod pozorem rzekomych starań w Gestapo o zwolnienie chorej z więzienia wyłudził kilka tysięcy złotych w gotówce i przy tym jeszcze prezenty dla żony i dzieci w postaci materiału na suknię, pończoch itp. Zresztą nie były to wypadki odosobnione. Odczułam to na własnej skórze, kiedy po przewiezieniu mnie ciężko chorej z więzienia ledwo przyłożył słuchawkę, machnął lekceważąco ręką i odszedł nie udzielivszy mi żadnej pomocy. Dopiero kiedy w parę dni potem przyjechały moje siostry, od których otrzymał większą sumę, zaczął się gwałtownie mną interesować, przychodząc nawet trzy razy dziennie, zapisując coraz to nowe lekarstwa i zastrzyki. Ponieważ na skutek starań mojej rodziny zainteresował się mną dyr. Biernacki i dr Witkowski, dr Żmigrodzki robił im wstręty, utrudniał wykonywanie ich zaleceń, czemu w rezultacie zawdzięczałam ropę w boku i ogólne zakażenie całego organizmu. Jeżeli z tego wyszłam, to zawdzięczam to przede wszystkim bezinteresownej opiece dra Franciszka Witkowskiego, który z polecenia dyrektora szpitala zajął się moim leczeniem.

W początkach października dotarła do nas wiadomość, że 2 tego miesiąca przez całą noc wywożono ludzi z Zamku nie wyłączając chorych. Wiedziałyśmy od razu, że lada chwila przyjdzie kolej na nas.

Rzeczywiście zaczęły się częste wizyty gestapowców sprawdzających, jak długo każda z nas choruje i na co. 20 października przyjechał z więzienia Tanzhaus i przedstawił drowi Żmigrodzkiemu polecenie zabrania wszystkich politycznych na Zamek. Muszę przyznać, że dr Żmigrodzki bardzo nas wtedy bronił przed zabraniami, żądając nawet do zbadania nas lekarza niemieckiego. Wszystkie byłyśmy jeszcze bardzo chore i z gorączką. Jadwiga Balicka z Lublina miała jeszcze otwarte rany na szyi, Genowefa Tobaszewska była po ciężkiej operacji usznej i płucnym krwotoku. Danilenko chora na nerki, ja po świeżo wypompowanej ropie z boku. Nie pomogły ani prośby dyrektora ani dra Żmigrodzkiego, Tanzhaus oświadczył, że ma taki rozkaz i musi nas zabrać. W ciągu kwadransa byłyśmy ubrane i przy pomocy służby sprowadzone na dół. Przed bramą czekał samochód pogotowia, którym odjechałyśmy do więzienia.

Powrót do znanych warunków, z perspektywą jeszcze gorszych gdzieś w obozie, nie był przyjemny. Oddziałowa Felicja, wyjątkowo tym razem poruszona naszym wyglądem, przydzieliła nas do najlepszej pod względem zdrowotnym celi na piętrze oraz poleciła położyć nas na noc na łózkach. Z dużej sali szpitalnej, gdzie było nas ostatnio pięć, znalazłyśmy się w o wiele mniejszej, gdzie mieściło się 85 kobiet. O leżeniu w ciągu dnia nie było mowy, łóżek bowiem rozpinąć nie było wolno, a trzy ławki jakie znajdowały się w celi nie wystarczały nawet dla połowy kobiet do siedzenia. Nastrój psychiczny był nielepszy. Więzienie pozostawało pod wrażeniem niedawnego wielkiego transportu i żyło w oczekiwaniu nowego. Codziennie zabierano po kilka kobiet na badanie do Gestapo, skąd przywożono je w stanie więcej niż opłakanym. 24 października wzięto z naszej celi na badanie Łodkę Kierepkównę, komendantkę WSK Zamość. Wtedy jeszcze nie wiedziałam kim jest, zwróciła jednak od razu moją uwagę swoim nieprzeciętnie inteligentnym wyrazem twarzy i zachowaniem. Zamieniłam z nią zaledwie kilka słów, zanim ją wzięto na badanie. Wróciła po dwóch dniach nie podobna do człowieka. W barbarzyński sposób katowana, granatowo czarna od stóp do głowy, z popalonymi ustami i przełykiem od wlewanych podczas badań terpentyny i amoniaku, z bezwładnymi od wiszenia po kilka godzin rękami – leżała bez słowa skargi lub jęku, otwierając na chwilę oczy, kiedy zmieniałyśmy jej kompresy. Rano zabrano ją do szpitalnej celi pod opiekę dr Marii Radomskiej, również uwięzionej,

o której mówiono w więzieniu »anioł nie lekarka«. Jej to staraniom i trosce zawdzięczała, zresztą nie ona jedna, powrót do zdrowia.

Obok w drugiej celi szpitalnej leżało szereg kobiet nieludzko skatowanych przez barbarzyńców w Gestapo, okaleczonych na całe życie przez wyciąganie szpiku kostnego (obóz w Rawensbrück), pozbawionych krwi, zabieranej drogą transfuzji dla celów leczniczych w szpitalach niemieckich. Leżała tam również brana do badania o kilka dni wcześniej od Kierepkówny i też w podobny sposób skatowana kurierka WSK z Zamościa 19-letnia Janina Zalejska. Słabsza i mniej odporna fizycznie od Kierepkówny przeleżała w szpitalu kilka miesięcy i wyszła z niego też dzięki trosce i opiece dr Radomskiej, która z narażeniem własnego życia i zdrowia niosła swą pomoc, gdzie tylko mogła.

I kiedy w pamięci więźniów lubelskich postać dr Radomskiej wypisała się złotymi głoskami, jakże inne wspomnienia pozostawiła po sobie rzekoma pielęgniarzka pretendująca nawet do tytułu lekarzki Margasińska. Typ ten nie wiem z jakiej racji dysponował łózkami w dwóch celach szpitalnych żerując w ohydny sposób na chorych. Ostatnio bez żadnych obstępów żądała od chorej po 500 zł za łóżko. O ile ktoś jej płacił, była uprzejma i troskliwa. O ile nie, potrafiła w ogóle nie przyjąć odsyłając chore cynicznie »na strych«, t. j. tam, gdzie wynoszono umarłych. Przy opatrunku, jaki robiła kobiecie zbitej na badaniu w Gestapo, zdobyła się jedynie na uwagę: »Dobrze jej, niech się nie bawi w politykę«. Po wyznaczeniu przez naczelnika więzienia na funkcję dr Radomskiej, Margasińska nie miała już takiego wpływu na przyjmowanie chorych, gdyż zależało to od dr Radomskiej, robiła jej natomiast różne wstręty i przykrości.

W początkach listopada zaczęły się znów transporty. Z naszej grupy zostały zabrane na Majdanek Walicka i Tobaszewska, skąd je wywieziono do Oświęcimia, w trzy tygodnie po nich Donia Danilenko, też na Majdanek. Tam przeszła podobno zapalenie nerek i wreszcie została wywieziona w niewiadomym kierunku. W więzieniu rozpoczęły się posiedzenia sądu polowego. T. zw. sąd w kaplicy rozpatrywał sprawy o tyle, że sprawdzał personalia osób wezwanych i ferował wyroki śmierci. Podlegali mu polityczni zatrzymani po 2 października. Nie było tygodnia, żeby nie zabierano kilku albo kilkunastu osób na śmierć. W naszej celi było sporo kobiet świeżo aresztowanych podlegających kodeksowi z 2 października. Staraliśmy się o tym nie myśleć, pocieszając się, że może się coś zmieni, że

może nie zdążą... W takim nastroju przyszło już dla mnie drugie Boże Narodzenie w więzieniu.

Nastrój był poważny, w szeregach kobiet czuć było jakąś niezwykłą moc, wiele z nich czekało już tylko na wykonanie wyroku. Przy opłatku nie płakała żadna, przeciwnie – wzajemnie dodawałyśmy sobie otuchy. Wieczorem dopiero, kiedy byliśmy już w łóżkach i przyszła oddziałowa, aby z pomocą starszej celi rozdać przystane paczki z Czerwonego Krzyża, od czasu do czasu słychać było stłumiony szloch. Któraś słusznie zauważyła, patrząc na usłaną kobietami podłogę – »czy nie Katyń?« – »Wizja naszej niedalekiej przyszłości« – dodała inna.

Minęły święta. Począwszy od stycznia znów sąd połowy. 11 stycznia 10 kobiet, w tym 8 z naszej celi poszło na karę śmierci. Pośród nich były przeważnie urzędniczki poczty z kraśnickiego, wszystkie ani razu nie badane. W lutym znów transport kobiet na karę śmierci (12 czy 14). Tym razem z lubartowskiego, najstarsza lat 25, najmłodsza 17. Pamiętam z nich dwie siostry To – Masikówny z Lubartowa, niemiłosiernie katowane, nikogo nie obciążły i nie wydały. Odchodząc na śmierć, żegnały z uśmiechem matkę staruszkę, pocieszając ją, że wrócą jak się skończy wojna. Transporty te wywierały na nas przygnębiające wrażenie. Do naszej celi były przydzielone Lodka Kierepkówna i Jaśka Zalejska. Drżałyśmy o nie, gdyż pomimo że były aresztowane przed 2 października, Gestapo przy badaniach wręcz im oświadczyło, że takich szkodników jak one wykończy. Bezpośrednio po ostatnim transporcie przywieziono znów szereg kobiet politycznych – dr Janinę Krajewską z Radzyna i Hildę Muszyńską, żonę majora WP, a córkę barona Wattmana z Rudy Różanieckiej. Dr Krajewskiej nie brano już na badania, Hildę Muszyńską – dwukrotnie. Jako Niemkę z pochodzenia chciano ją koniecznie nawrócić na Reichsdeutschkę, mimo jednak różnych presji i przeniesienia jej do celi dla Niemek nic nie wskórano, gdyż do końca nie zmieniła swoich przekonań. 3 maja w celi niemieckiej, gdzie zresztą oprócz rodowitych Niemek siedziały też Volksdeutschki, – urządziła ona rodzaj akademii z deklamacją i śpiewem. W końcu maja została wywieziona z dużym transportem politycznych w niewiadomym kierunku. 23 marca znikł transport 22 kobiet politycznych na śmierć, m. in. poszła dr Janina Krajewska, szalenie miły i wartościowy człowiek. Na szczęście osobiście nie zdawałam sobie z tego sprawy, gdyż roz-

chorowałam się na tyfus plamisty. Rano jeszcze badała mnie, kilka dni bowiem przedtem została wyznaczona na funkcję do pomocy dr Radomskiej i już jej więcej nie zobaczyłam.

Szczęśliwa byłam, że przynajmniej przez okres kilku tygodni nie wiedziałam, co się dookoła mnie dzieje. Dzięki dr Radomskiej znów wróciłam do rzeczywistości.

11 maja 1944 przeżyliśmy bombardowanie Lublina, przy czym Niemki w więzieniu podniosły gwałt o wypuszczenie ich z celi. Gestapowcy byli tak wystraszeni alarmem, że nie panowali zupełnie nad sytuacją i sądząc widocznie, że w więzieniu zaczyna się jakaś rewolta zaczęli strzelać na korytarzu i zamykać drzwi na podwójny zamek. Zaryglowano nawet dwie cele szpitalne, gdzie prawie wszystkie były leżące. W pobliżu nas spadło 6 bomb. Oczekiwałyśmy jak wyzwolenia bomby, któraby trafiła w Zamek. Niestety ocaliliśmy wszyscy po to, żeby następnego ranka 85 osób poszło na zagazowanie. Koszmar – po prostu zaczął się okres. Rano 12 maja przybiegły do mnie Lodka Kierepkówna i Jaśka Zalejska, żeby się pożegnać. – »Jedziemy we trzy z Zamościa w transport, dokąd – nie wiemy«. – Poprosiłam oddziałową Pogrebną, by mi pozwoliła zejść na dół, gdzie trzy wyznaczone na transport miały oczekiwać na zabranie. Oddziałowa się zgodziła, więc zeszałam. Lodka – jako sekretarka wyznaczona na tę funkcję przez Felicję – przyjmowała jeszcze transport politycznych z Zamościa wykreślając w skorowidzu siebie, Jaśkę Zalejską i Halinę Pilarską. Kazano im wynieść rzeczy do rewizji. Asystował przy tym gestapowiec. Za chwilę Lodka wniosła swoje rzeczy z powrotem do celi. Na pytanie dlaczego to robi rzekła: »nie łudź się, Januś, idziemy na śmierć. Powiedziała mi to wręcz oddziałowa Pogrebną«. Po czym dodała jeszcze: »czy można było oczekiwać czego innego?... Pożegnaj Januś ode mnie wszystkich bliskich«. Za chwilę weszły również z rzeczami Zalejska i Pilarska. Przez dwie godziny, jakie oczekiwały nim je zabrano, śpiewały piosenki legionowe. Raz jeden z ust Jaśki wydarł się szloch, zaraz stłumiony. »Matusz« – powiedziała do mnie – »będę spokojna«. I rzeczywiście, kiedy po nich przyszli wyszły z uśmiechem i z podniesionymi głowami. Nie patrzyłam już na nich przez okno, brakowało mi sił. – Dowiedziałam się później dopiero, że wtłoczono je do samochodu, t. zw. wagonu, bez żadnych otworów – po raz pierwszy widzianego na terenie więzienia. Prócz nich trzech wyprowadzono 83 mężczyzn. Do samochodu

wpychano je ostatnie podobno siłą, po czym samochód zamknięto. Po kilku minutach postoju i manipulowaniu pod amochodem jakimś narzędziem samochód ruszył w asyście tylko jednego gestapowca, który usiadł przy szoferze. Powiadano, że ich na miejscu zagazowano. – W parę dni potem poszedł taki sam drugi transport, tylko już samych mężczyzn. Wszyscy skazani przechodzili zawsze boso z gołymi głowami wśród szpaleru od stóp do głów uzbrojonych gestapowców. Następnie wywieziono osiem ciężarowych samochodów nie wiadomo dokąd. Poza tym zabierano po kilka lub nawet w pojedynkę kobiet i mężczyzn. W jednym transporcie 33 czy 35 mężczyznom, traconym w Lublinie jako odwet za śmierć jakiegoś gestapowca, zakneblowano usta, ściągnięto obuwie i marynarki, a na samochodzie, którym ich wieziono, ułożono szubienicę.

Muszę przyznać, że przez cały czas swego pobytu w więzieniu nie widziałam ani razu łez czy rozpacz na twarzach skazanych.

Gdy 13 czerwca 1944 kazano mi zejść na dół, byłam przekonana, że idę na śmierć. Wiadomość o zwolnieniu mnie spadła na mnie nieoczekiwanie, nie przyjęłam jej jednak tak, jak to sobie wyobrażałam. Tyle ludzi zostawało po tamtej stronie, że człowiek nie mógł się nawet cieszyć z tego, co było ciągłym i zdawało się nieosiągalnym marzeniem. – Wychodząc z więzienia musiałam podpisać zobowiązanie, że nie wyjadę nigdzie poza opręb Dystryktu Lubelskiego i że co miesiąc będę się meldować w Gestapo.

STANISŁAWA PIŁATÓWNA

MOJE PRZEŻYCIA W WIĘZIENIU

Dzień 14 sierpnia 1943 r. będzie dla mnie na zawsze pamiętny, gdyż dnia tego w godzinach rannych wpadłam w ręce szatanów w zielonych mundurach, którzy już od paru tygodni na mnie polowali.

Wkrótce po aresztowaniu znalazłam się w towarzystwie dwóch żandarmów w gabinecie komendanta żandarmerii w Szczepreszynie, skąd po uprzednim spisaniu personaliów wywieziono mnie końmi do Zamościa pod eskortą trzech dobrze uzbrojonych żandarmów.

Drogę tę odbywałam będąc jeszcze pełna nadziei, że może jednak stanie się coś takiego, że nie dowiozą mnie na miejsce. Liczyłam na jakiś szczęśliwy przypadek. Niestety, po dwóch godzinach znalazłam się w Zamościu i tu zaczęły ważyć się moje losy: czy zawiozą mnie od razu do siedziby Gestapo, czy też najpierw do więzienia?

W udziale przypadło mi więzienie.

Wjechaliśmy w wąską uliczkę Okrzei, gdzie konie zatrzymały się przed czerwonym gmachem otoczonym takim samym murem. Tu kazano mi zejść z furmanki. Znalazłam się przed zieloną bramą, spoza której przez okrągłe okienko wyglądało oko klucznika. Po kilku zdaniach zamienionych pomiędzy żandarmami a klucznikiem usłyszałam brzęk kluczy, zgrzyt otwieranej bramy i w jednej chwili znalazłam się w jakimś korytarzu, brama zaś natychmiast zamknęła się za mną, – może na zawsze? – Przecież stąd rzadko kiedy wracało się w tych czasach.

Ale na rozmyślania nie było czasu, gdyż zaraz wezwano mnie do kancelarii. Tu po spisaniu personaliów przeprowadzono szczegółową rewizję i zabrano mi do depozytu biżuterię i pieniądze. Przeszłam teraz pod opiekę strażniczki, która zaprowadziła mnie na oddział kobiecy.

Strasznie uderzył mnie widok samego więzienia. Olbrzymi budynki z gęsto zakratowanymi oknami, zza których spoglądały ku mnie setki wynędzniałych twarzy. – Wszystko to mając przed oczyma znalazłam się na korytarzu na oddziale kobiecym, gdzie podczas ponownej szczegółowej rewizji znaleziono przy mnie banknot 20-złotowy, o którym w ogóle nie wiedziałam, i wymierzono mi za to chłostę w postaci 10 batów. Naturalnie na wstępie podziałało to na mnie bardzo silnie i mimo że byłam przygotowana na to, ponieważ wiedziałam co może czekać więźnia politycznego, weszłam do celi zalana łzami.

Sama cela też zrobiła na mnie ciężkie wrażenie, – była to mroczna, niewielka izba, której połowę zajmowały łóżka piętrowe, t. zw. nary, w drugiej zaś połowie ustawiony był duży stół i kilka ławek. Ściana zawieszona workami z garderobą i zapasami żywności tutejszych więźniarek. Ponieważ była to pora obiadowa, więc wszystkie więźniarki w liczbie 34 były obecne. Jedne siedziały przy stole, inne z miseczkami stały w ogonku w oczekiwaniu na porcję zupy.

Gdy weszłam, oczy wszystkich skierowały się na mnie. – Były tu kobiety od lat 18 do 60. Wszystkie niezależnie od wieku pokryte

trupią bladością, jedne patrzyły na mnie z litością, drugie z zadowoleniem, jeszcze inne z nienawiścią. W pierwszej chwili tego nie rozumiałam, przygnębiło mnie to, onieśmieliło i czułam się tu bardzo obco.

To pierwsze wrażenie wywołało nowy potok łez i załamanie duchowe, lecz ta depresja nie trwała długo. W pewnej chwili poczułam na szyi czyjąś ciepłą rękę i usłyszałam cichy szept: »Niech pani nie płacze, nie marto, to nic nie pomoże, a tylko narazi się pani na drwiny ze strony tych starych recydywistek. One nam nie współczują. Jest nas tutaj takich jak pani więcej, musimy się trzymać razem, być dzielnymi jak przystało żołnierzom, nie Możemy przynieść wstydu Ojczyźnie i naszym najbliższym. Głowa do góry!« –.

Ze zdziwieniem podniosłam głowę i spojrzałam w twarz tej, co do mnie mówiła te słowa, które były balsamem kojącym, osuszały łzy, których za chwilę już się wstydziłam. Jakto, – ja płaczę? Dlaczego? Czyż podejmując walkę z wrogiem nie zdawałam sobie sprawy z odpowiedzialności, czyż nie stawiałam wszystkiego na jedną kartę? Więc jeśli przyjdzie zginąć, trzeba ponieść tę ofiarę spokojnie, jak przystało na Polkę. Taki już los Polaków, trupami musimy słać drogę ku wolności.

Rozmyślania te przerwała mi znów jakaś inna dłoń, która wcisnęła mi w rękę miseczkę. Mimowoli weszłam z nią w ogonek i nie zdając sobie sprawy z tego, dokąd idę, znalazłam się przed otwartymi drzwiami na korytarz, za których progiem stał kocioł z zupą o tak przykrym zapachu, że gdy go poczułam, odeszłam z próżną miską, ale to widocznie jest niedopuszczalne, bo natychmiast czyjeś ręce wyrwały mi miskę i za chwilę napełniona stała już przede mną. Gdy już wszystkie obiady pobrały, drzwi się zatrzasknęły i słychać było tylko suwanie kotła po korytarzu i otwieranie drzwi do innych cel.

Tymczasem w naszej celi wszystkie więźniarki ze skupieniem zabrały się do jedzenia, ja zaś zaczęłam rozglądać się po swych towarzyszkach. Obok mnie siedziała ta, która pierwsza przemówiła do mnie. Była to osoba młoda, lat około 28, o inteligentnym wyrazie twarzy, jednak pociągniętej taką samą bladością jak u innych. Widocznie więzienie zdążyło już wycisnąć na niej swoje piętno. – Z drugiej strony nachylona nad miską siedziała starsza już niewiasta lat około 45, także wyróżniająca się swym wyglądem. Jak się okazało, obie były aresztowane za »przestępstwa« podobne do moich. Młodszą, Stefcie Waligórką, urzędniczkę gminną z Tomaszowa,

aresztowano za wydawanie »lewych« dowodów, starszą, p. Błachewiczowią, żonę ogniomistrza z Zamościa, który zginął w Oświęcimiu, aresztowano za przetrzymywanie partyzantów.

Po obiedzie i po zmyciu naczyń wezwano nas na spacer. Na korytarzu zgromadziły się więźniarki ze wszystkich cel i z założonymi do tyłu rękami gęsiego wyszłyśmy na mały dziedziniec otoczony wysokim murem z drutem kolczastym na wierzchu. – O ucieczce nie ma mowy, chociaż po parogodzinym siedzeniu w murach, gdy się wyszło na dziedziniec, skąd widziało się słoneczne sierpniowe niebo, myśl o ucieczce była nieodparta. A na murze w małej strażnicy stoi strażnik z karabinem gotowym do strzału, na dziedzińcu zaś uzbrojony strażnik i strażniczka.

Po południowym spacerze udałyśmy się do cel, ale była już nas tylko mała grupka, ponieważ wróciły same śledcze, a więc my i kilka aresztowanych za szmugiel, reszta zaś poszła do pracy.

Teraz rozmawiamy o wiele swobodniej. We trójkę usiadłyśmy pod oknem i półgłosem zaczęłyśmy sobie udzielać wiadomości politycznych, gdyż tego najbardziej żądni są więźniowie już dłuższy czas odcięci od świata. Ponieważ ja byłam świeża, więc musiałam opowiadać o wszystkim. Zauważyłam przy tym, że do więzienia docierają jednak pewne wiadomości, przeważnie pocieszające. Było mi bardzo przykro, ale musiałam pewne rzeczy sprostować i powiedzieć, żeby się zbyt nie łudziły, gdyż ten upragniony koniec nie nadejdzie tak prędko, musimy uzbroić się w cierpliwość i czekać, a tymczasem przygotowywać się na najgorsze.

W ten sposób dogadałyśmy się, znalazłyśmy wspólnych znajomych. Przyjaźń została zawarta, obiecałyśmy sobie trzymać się razem i pomagać nawzajem.

O godz. 4 dostałyśmy kolację w podobny sposób jak obiad – ½ litra kawy i 5 dkg. chleba. Po kolacji apel i szykowanie się do spania. – Mnie w udziale przypadło miejsce na górnych narach obok moich nowych przyjaciółek. Później dopiero zauważyłam, że miałam wyjątkowe szczęście, bo około 15 kobiet spało na posadzce.

Naturalnie o spaniu pierwszego dnia w podobnych warunkach nie mogło być mowy. Wąskie łóżka przeznaczone na dwie osoby, do tego brudny siennik, brudny koc, wszy, pchły i pluskwy. Kto nie był w więzieniu lub gdzieś w obozie, ten nie jest w stanie wyobrazić sobie jak dokuczają te insekty. – Noc spędziłam siedząc, obserwując uzbro-

jonego strażnika spacerującego po dziedzińcu więziennym i rozmyślając, w jaki sposób wydostać się z tej klatki.

Rano o 5 pobudka, apel, śniadanie, a po śniadaniu, – ponieważ to była niedziela, – parę godzin spędziłyśmy na modlitwach i rozmyślaniach. Przebiegłam tu myśli wszystkich znajomych pozostałych na wolności. – Przypomniałam sobie matkę jedyną, którą dotknęło już drugie nieszczęście, gdyż dwa lata temu w tym właśnie więzieniu straciła męża, a teraz 20-letnia córka poszła za te same kraty.

Podczas obiadu przyszedł wachmajster szukając dwu kobiet któreby umiały cesać króliki. Zgłosiliśmy się tylko my dwie ze Stefcią. Ku naszej radości poszłyśmy na podwórze, chociaż to się nigdy nie zdarzało, żeby polityczne wychodziły za bramę na podwórze.

Cóż to była za radość! Już na drugi dzień pobytu w więzieniu znalazłam się za bramą mając okazję do ucieczki i gdyby nie perswazja Stefy na pewnobyłm próbowała to zrobić. – Po paru godzinach pracy, pełna nadziei, że może jednak następnym razem uda mi się uciec, wróciłam do celi.

I tak biegły dnie w ciągłym oczekiwaniu na coś nowego, a przede wszystkim każda z nas czekała na to, że kiedyś otworzą się drzwi i wezwą ją na badanie do Gestapo.

Pewnego dnia zaraz po śniadaniu wezwano Stefę. Widzieliśmy przez bramę, jak ją zabrano do auta. Co ją tam czeka? Kiedy wróci? Czy w ogóle wróci? – A gdy mijały tygodnie, a ona nie wracała, zwątpiliśmy, czy żyje. Lecz po 6 tygodniach wróciła, zbita, wynędzniała, cała w sińcach. Jednak wytrwała, do niczego się nie przyznała.

Wraz ze Stefą do więzienia przywieźli Jasię Zalejską, Łodzie Kierpkównę i około 30 mężczyzn. Byli to więźniowie trzymeni dotychczas w bunkrach w Gestapo.

Szybko zaprzyjaźniłam się z nowymi towarzyszkami niedoli, szczególnie z Jasią, gdyż okazało się, że załatwiała ona wiele rzeczy dla mnie i w dniu kiedy ją aresztowano, przyjechała do Zamościa z grypsem do mnie i miała go przesłać przez jakiegoś strażnika, nie zdążyła jednak tego uczynić.

Pewnego dnia za mury więzienne dostała się wiadomość, która lotem błyskawicy rozniosła się po wszystkich celach, mianowicie że więzienie w Krasnymstawie zostało rozbite i wszyscy więźniowie uwolnieni. – Serca nasze zaczęły mocniej bić w nadziei, że może i nas

spotka ten sam los. W tym oczekiwaniu trwaliśmy parę dni, spaliśmy nie rozbierając się, z rzeczami pod głową, aby w razie ucieczki nie robić zamętu.

Niestety, nadzieje nasze zawiodły, a już po paru dniach ze zgrozą zauważyliśmy, że w nocy strzeżeni jesteśmy przez wzmocnione posterunki żandarmerii.

Pogodziłyśmy się z tym, że swój puhar goryczy musimy wypić do dna i skracaliśmy sobie czas chodząc do pracy, np. do pralni, gdzie obierało się kartofle, a skąd w dniu podawania paczek można było ujrzeć kogoś bliskiego, za co naturalnie, gdy to zauważono, trzeba było iść do »karcu« albo na baty. – W dniu pogodnym chodziliśmy międzilen na podwórze.

W ten sposób biegły dni jeden podobny do drugiego. Lecz wreszcie zaczęto do więzienia napływać coraz więcej aresztowanych politycznych i cała masa ludzi ze wsi. – Do nas na oddział kobiecy przybyła jeszcze jedna towarzyszka – Halina Pilarska, dzielna kobieta, matka czworga dzieci.

Przed naszymi oczami działy się teraz straszne rzeczy. Badania zaczęto przeprowadzać we wzmożonym tempie, brano nie tylko do Gestapo, lecz badano też i w obrębie więzienia w t. zw. Dyżurce, która mieściła się naprzeciw naszych okien. Często byliśmy świadkami takich badań. Nieraz na rękach przynoszono więźnia, którego rany jeszcze się nie zagoiły po poprzednim biciu, zadawano mu różne pytania, a jeśli nie odpowiadał tak, jak oni tego chcieli, bito go pałkami, kopano i znęcano się nad nim w okropny sposób. Wreszcie nieprzytomnego odnoszono na oddział. Świadkami podobnych scen byliśmy dość często, co napawało nas zgrozą.

Pewnego razu przyprowadzono na oddział więźnia skutego i w ten sposób trzymano go w »karcu«. Był to ob. Bartosz. Widziałyśmy, jak kilka razy brano go do Gestapo, aż kiedyś nie wrócił. Dowiedziałyśmy się, że nieszczęśliwiec rzucił się z II piętra na bruk i zabił się na miejscu.

Wszystkie te wiadomości złożyły się na to, że w więzieniu panowało niesamowite przynębienie i na domiar złego zaczęto szeptać o tym, że szykują się transporty polityczne. To było straszne, ta niepewność, dokąd wywiozą – czy do Lublina, do Oświęcimia, czy w głąb Niemiec, czy też gdzieś niedaleko po to, by rozstrzelać.

Zaczęłyśmy oszczędzać żywność i szykować się do transportu. I rzeczywiście po paru dniach na podwórzu więziennym pojawiło się kilku gestapowców i za chwilę wyczytano listę tych, których mają wywieźć. Ofiarą tego dnia było 14 mężczyzn i Łodzia Kierepkówna. Skuto ich, zapakowano do auta i wywieziono. Wywieziono, – ale dokąd? Jaki ich los czeka? Na jak długo nas jeszcze zostawiono? – Takie to pytania nurtowały w nas w oczekiwaniu na swoją kolejkę

Czekałyśmy na nią niedługo. W trzy dni po tamtym transporcie wszedł do celi przodownik z listą. Już wiedziałyśmy co to znaczy. Zaczęły padać nazwiska, a więc: Waligórska, Błachewiczowa, Pilarska, Zalejska... Słucham z niedowierzaniem, – mego nazwiska nie ma, ja jedna mam pozostać!? Biegnę za przodownikiem i proszę, aby jeszcze raz przeczytał. Rzeczywiście nie ma mnie na liście. Zaczęłam wtedy płakać. Więc samą mnie zostawia wśród tych obcych kobiet, z którymi nic mnie nie łączy? – Ale nie ma czasu myśleć o tym, trzeba pomóc pakować się, gdyż wciąż przynaglają. Wreszcie gotowe, żegnają się ocierając łzy. Nie chcą pokazać gestapowcom swojej słabości. Wychożą na dziedziniec, gdzie stoi już 70 mężczyzn.

Teraz pakują po trochu do auta wiążąc jednego z drugim (kobiety też). Ponieważ niepodobna pomieścić w jednym aucie ciężarowym 74 osoby wraz z bagażem, więc odbierają wszystkie pakunki i więźniowie jadą bez zapasowej bielizny i kawałka chleba. To było okropne i nasuwało przypuszczenia, że może wiozą ich »na rozwałkę«.

W tej niepewności żyłam aż do dnia mego wyjazdu.

Po trzech tygodniach, 1 listopada rano, poszłam do magazynu, gdzie segregowałyśmy ubrania. Wachmajster zamknął nas i zostałyśmy same. Ponieważ okna magazynu wychodziły na ulicę, Mogłyśmy obserwować, co się dzieje przed bramą. – W pewnej chwili zajechało auto, z którego wysiadło dwóch gestapowców. Coś mnie tknęło, że to po mnie. Rzeczywiście po kilku minutach oznajmiła mi sekretarka, że mają mnie wywieźć do Lublina.

Okazało się, że tego dnia odjeżdża do Lublina większy transport wyrokowych, do którego dołączają czworo politycznych przeznaczonych do badania w Lublinie. — Po wyjściu z magazynu udałam się do swojej celi i spakowałam rzeczy do plecaka. Gotowa do drogi wyszłam na dziedziniec, gdzie stała już spora grupa więźniów i dokąd zaczęli napływać gestapowcy.

Po przeczytaniu listy pokuli mężczyzn i zapakowali nas do auta. Ruszyliśmy w drogę pod eskortą dwóch aut z gestapowcami.

Po paru godzinach niewygodnej jazdy wjechaliśmy w szerokie ulice Lublina, gdzie panował normalny ruch. Na chodnikach pełno było ludzi, którzy według własnej woli kierowali swoimi krokami, chodziły roześmiane, elegancko ubrane kobiety, a my zgnieceni, brudni, głodni, ściśnięci w małym aucie, od tyłu miesiący zdani na łaskę i niełaskę gestapowców, jechaliśmy na wzgórze zamkowe do więzienia.

Auta zatrzymały się, najpierw wyskoczyli nasi opiekunowie i w obawie, aby nam nie stało się coś złego, z bronią gotową do strzału utworzyli szpaler i w ten sposób wprowadzili nas za olbrzymią ciężką bramę.

Znaleźliśmy się w wielkim hallu, gdzie kręciło się pełno gestapowców. Tu sprawdzono, czy wszystkich nas przywieźli i po załatwieniu wstępnych formalności w kancelarii zaprowadzono nas na oddział kobiecy, tu przeprowadzono dokładną rewizję i zamknięto w celi.

Ponieważ byliśmy świeżo przybyłymi, musiałyśmy odbyć t. zw. kwarantannę, która przedstawiała się w okropny sposób. Małutka cela z wysoko umieszczonym małym zakratowanym oknem, z zewnątrz obitym siatką i z koszem, żeby nie można było wyglądać na dziedziniec. Nie było tutaj jak w Zamościu prycz, tylko składane łóżka wieszane na ścianie. Sienników nie było wcale, albo brudne i tak podarte, że słoma utrzymać się w nich nie mogła. Pod oknem stał mały stół i parę ławek.

Gdy rozejrzałam się w mroku, zauważyłam, że nie jesteśmy same. Siedziało tu już kilka kobiet przywiezionych transportem z Krasnegostawu. Same stare recydywistki, które miano wywieźć do Niemiec.

Już na drugi dzień pobytu mego na zamku dowiedziałam się, że w tym samym więzieniu są moje dawne towarzyszki niedoli z Zamościa, które zostały wywiezione z poprzednim transportem. Jasia Zalejska i Halina Pilarska po badaniu były w szpitalu, Błachewiczowa zaś i Stefcia Waligórska siedziały w celi. Tego samego dnia po południu, mimo ostrzeżeń ze strony innych więźniarek, że za to można dostać się do karcu, wymknęłam się do szpitala, gdzie w drzwiach spotkałam Pilarską powracającą już do zdrowia, lecz wyglądającą jeszcze bardzo źle. Jasia zaś leżała w łóżku w okropnym stanie. Była cała posiniaczona,

w kilku miejscach miała odbite ciało, które się ropiło. Głowa była obwiązana, gdyż z tyłu miała ranę. Wyglądała na nieprzytomną. Jednak po paru minutach otworzyła oczy i poznawszy mnie zaczęła opowiadać w jaki sposób znęcali się nad nią, a więc wieszali ją na karabinie, bili pałkami, kopali i wlewali terpentynę z amoniakiem do nosa. To co ona opowiadała mroziło krew w żyłach i przechodziło ludzkie pojęcie, że mogli w podobny sposób znęcać się nad młodą, bo zaledwie 19-letnią dziewczyną. – Zaczęłam ją pocieszać jak mogłam, że niedługo już wyzdrowieje i że wkrótce wszystkie wrócimy do domu, bo z Niemcami jest coraz gorzej.

Naraz wpadła do szpitala strażniczka i grożąc kluczami zapędziła mnie do celi.

Życie na Zamku płynęło podobnie jak w Zamościu, z tą jednak różnicą, że były gorsze warunki. Przede wszystkim było bardzo brudno, mnóstwo robactwa i brak wody do mycia. A strażnikami byli gestapowcy, więc o żadnej ucieczce czy też o kontakcie ze światem zewnętrznym nie mogło być mowy. – Był tu jeden gestapowiec pospolicie zwany »krową«, w naszym mniemaniu zbir najgorszy ze wszystkich. Gdy usłyszało się jego głos na korytarzu, wszystkich przesyłał lęk i już wiedzieliśmy, że przygotowuje się transport.

W tym właśnie czasie szykowały się transporty do Oświęcimia i do Majdanku. Wywozili też i »na rozwałkę«. – Warunki te przynębiły mnie jeszcze więcej, w dzień przerażał nas widok trupich czaszek, w nocy zaś napawały strachem wizyty gestapoców po to, by zabrać kogoś na badanie lub rozwalić. Nie było spokojnej chwili, stale – dzień i noc – żyło się pod strachem.

Tak upłynął tydzień pobytu mojego na Zamku, co wydało mi się wiekiem, aż pewnego dnia wieczorem usłyszałam gdzieś na korytarzu wycytane moje nazwisko. Przyszedł gestapowiec służbowy i dał rozkaz strażniczce wyprowadzić mnie z celi. Zamarło wszystko we mnie, stanęłam bez ruchu i nawet nie zdałam sobie sprawy, kiedy znalazłam się w pokoju badań na terenie Zamku, gdzie czekali na mnie gestapowcy mundurowi i po cywilnemu.

Z miejsca wzięto mnie w krzyżowy ogień pytań. Takiego tempa wcale się nie spodziewałam. Zarzucano mi mnóstwo różnych rzeczy, łapano za słówka, przy tym nabierali mnie okropnie. Pytali o znajomych już aresztowanych i o tych, co pozostali na wolności. Mówiono, że jeden z aresztowanych wszystko o mnie powiedział, więc po

co ja kłamię. Mimo wszystko stałam przy swoim ufając w moc Bożą i w Opiekę Matki Najświętszej nade mną.

Po takiej godzinnej łaźni odprowadzono mnie do celi zaznaczając, że jutro wezmą mnie po raz drugi i jeśli się nie przyznam, to »skóra będzie w robocie«.

Przygnębiona, lecz zarazem i dumna, że na wstępie nie załamalam się, wróciłam do celi. Całą noc spędziłam na modlitwie i rozmyślaniach. Następnego dnia rano już czekałam przy drzwiach, kiedy znów kaci wezwali mnie na spowiedź. Tym razem na badanie wzięli kilkanaście osób. Pod silną eskortą z karabinami na »gotuj broń« wraz z mężczyznami, których pokuto, zawieziono nas na ul. Uniwersytecką pod t. zw. »zegar«. Była to główna kwatera Gestapo. Umieszczono nas w piwnicy, w małych celkach, w których mieliśmy czekać na swoją kolejkę.

Nadchodziła decydująca chwila, może najważniejsza w moim młodym życiu. Czy uda mi się wyjść z tego zwycięsko, czy wytrwam? Pełna ufności w pomoc Bożą zaczęłam się modlić i to przyniosło mi pewne uspokojenie.

Rozglądając się po swej celce zauważyłam na ścianach dużo napisów. Były to krótkie modlitwy, prośby zanoszone do Boga o pomoc i nazwiska tych nieszczęśliwych, którzy tu już przede mną siedzieli.

W międzyczasie słyszałam wymieniane nazwiska wywoływanych do badania.

Wreszcie przyszła kolej na mnie. Wypuszczono mnie z celi i oddano pod opiekę jakiegoś cywila, który poprowadził mnie na drugie piętro. Droga ta wydała mi się strasznie długa, nogi gięły się w kolanach i oblewał mnie zimny pot. Wprowadzono mnie do pokoju, gdzie przy dużym stole siedzieli moi sędziowie. Wskazano mi miejsce. Usiadłam. Wszyscy patrzyli na mnie badawczo. Jeden zapytał, czy dziś będę mówiła prawdę. Odpowiedziałam, że wczoraj mówiłam prawdę i dziś powiem to samo. Zaczęły padać pytania. – Pytano o znajomych i nieznajomych, operowano nazwiskami i pseudonimami, pokazywano mi mapy sztabowe, gazetki, bibułę, jakieś plany i szkice, na których zaznaczone były miejsca postoju partyzantów. Na wszystko robiłam zdziwioną minę twierdząc, że te rzeczy są mi zupełnie obce i nic z tego nie rozumiem.

Wreszcie pokazano mi dowód rzeczowy. Była to mała kartka napisana szyfrem, nad którym drobnymi literami znajdowało się tłumaczenie. Spojrzawszy na to zorientowałam się, że są na dobrej dro-

dze. Szyfr się zgadzał, zamieszczone tam było moje nazwisko i miejsce zamieszkania, wiedziałam, że w tej sprawie są aresztowane inne osoby, więc sytuacja była dość trudna. Jak wybrnąć z tego wszystkiego? Jedyne wyjście było wyprzeć się i twardo stać przy swoim motywując to tym, że w naszym domu był sklep, gdzie zazwyczaj przewijało się wielu ludzi i ktoś mógł podszyć się pod moje nazwisko. Naturalnie oni w to nie uwierzyli i zadawali w dalszym ciągu najrozmaitsze podstępne pytania, na które odpowiadałam zawsze jednako. – Wreszcie po paru godzinach takiego badania udali, że wierzą w moją niewinność, lecz zaczęli twierdzić, że z tego wynika, iż winna jest moja matka. Zagrozili mi, że jeśli nie przyznam się w dalszym ciągu, aresztują matkę i wtedy prawda musi wyjść na jaw.

Dano mi godzinę czasu do namysłu i odprowadzono z powrotem do piwnicy. – Nie było tu nikogo. Wyczerpana nerwowo upadłam na prycę i zaczęłam płakać. Sama jedna, biedna, opuszczona, znikąd żadnej pomocy, nikt mi nic nie może poradzić, co mam teraz zrobić. Nasuwały mi się różne myśli, – czy trwać w dalszym ciągu przy tym, że jestem niewinna i skazać przez to matkę na podobne katusze jakie ja przechodzę, czy też broniąc matki przyznać się i wydać przez to wyrok na siebie i wielu innych Polaków. Lecz w końcu znając ich podstępny wzięłam to za trick z ich strony, za którego pomocą chcą mnie zmusić do mówienia prawdy. Postanowiłam więc milczeć do końca.

Rozmyślenia te przerwał mi gestapowiec wzywając na dalsze badanie. I znów ta sama historia, – czy teraz ostatecznie powiem prawdę? Ponieważ odpowiedź moja była taka sama, połączyli się telefonicznie z posterunkiem żandarmerii w Szczepieszyńcu wydając rozkaz aresztowania mojej matki.

Chociaż wszystko wyglądało prawdziwie, miałam w Bogu nadzieję, że to kłamstwo. A oni gdy zdali sobie sprawę, że nic nie zdołają ze mnie wydobyć, sporządzili protokół z moich zeznań i już samym wieczorem kazali odwieźć mnie na Zamek.

W mojej celi już wszystkie były w łózkach. Te, z którymi żyłam bliżej, modliły się za mnie myśląc, że już wcale nie przyjadę tego dnia, co się bardzo rzadko zdarzało. A ja wyczerpana, przygnębiona, pełna sprzecznych myśli i obaw, czy rzeczywiście aresztują matkę, nie mogłam zasnąć tej nocy ciągle o tym myśląc.

Na drugi dzień postarałam się spotkać ze swymi przyjaciółkami z Zamościa i opowiedziałam im wszystko. One pocieszały mnie jak mogły mówiąc, że to tylko podstęp z ich strony.

Pokrzepiona na duchu czekałam na dalsze wypadki. Po paru dniach wezwano mnie ponownie, ale badano już na Zamku. Tym razem straszono mnie, że aresztowany jest mój narzeczony, który do wszystkiego się przyznał, więc nie ma najmniejszego sensu, abym w dalszym ciągu uparcie milczała. Teraz nie miałam już wątpliwości, że to podstęp, więc nadal udawałam naiwną i do niczego się nie przyznawałam. Rozwścieczeni gestapowcy zaczęli mi grozić Oświęcimiem i śmiercią, ale to nic nie pomogło i wreszcie źli zamknęli mnie do celi.

Tak powtarzało się jeszcze parę razy. Aż wreszcie przez sekretarkę Kalinowską, która pracowała w kancelarii, nawiązałam kontakt z ludźmi na zewnątrz i dowiedziałam się, że sprawa moja jest na dobrej drodze i może niedługo uda im się wyrwać mnie z tych murów. Już pewna siebie, zadowolona, że nie załamalam się, żyłam tylko nadzieją odzyskania wolności.

I rzeczywiście 1 grudnia owa Kalinowska przyniosła mi wiadomość, że prawdopodobnie jutro będę zwolniona, gdyż moje papiery są już w kancelarii. Uradowana pobiegłam do swych towarzyszek i podzieliłam się z nimi tą radosną nowiną. Przyjęły to z entuzjazmem, popłakałyśmy razem i one zaczęły przygotowywać grypsy, które miałam wynieść na wolność i doręczyć ich rodzinom.

Na drugi dzień już od rana przygotowywałam się do odlotu z tej klatki, każda godzina wydawała mi się wiekiem. W pewnym momencie udało mi się dostać do szpitalika, gdzie leżała Jasia Zalejska przychodząca już do zdrowia. Przykre było nasze pożegnanie, zżyłyśmy się przecież bardzo przez tyle miesięcy, a teraz los nas rozłącza, mnie czeka wolność, swoboda, odjadę i zbliżające się święta spędzę wśród swych najbliższych, a ona zbita, wynędzniała, chora musi pozostać w szpitalu więziennym.

I tu w szpitalu zastała mnie strażniczka, która oznajmiła mi, że idę na wolność.

Gdy już zebrałam swoje rzeczy, przeprowadzono przy mnie rewizję szukając grypsów, ale nic nie znaleziono, bo grypsy, które przenosiłam były pisane na szmatkach i zaszyte w palcie.

Strażniczka odprowadziła mnie do kancelarii, tu po załatwieniu formalności odczytano mi zobowiązanie, które musiałam podpisać, że

nie wolno mi nikomu z więźniów załatwić cokolwiek na wolności, że nie można mówić co działo się na Zamku i w ogóle ze mną.

Następnie w towarzystwie gestapowca zaczęłam iść ku wolności przechodząc przez parę bram. Wreszcie ostatnia brama zatrzęsnęła się za mną.

Byłam wolna...

MICHAŁ LEŚNIAK

EGZEKUCJA W POTOCZKU

W pochmurny i zimny dzień 1 lutego 1944 r. wstałem około godz. wpół do ósmej rano, a już o 9 zjawił się w moim domu Niemiec gestapowiec i zabrał mnie wraz z siostrą rzekomo do podepchnięcia samochodu, który ugrzązł w śniegu. Przy samochodzie zastaliśmy dość sporą gromadę ludzi zwołanych tu w tym samym celu co i my. Lecz ku naszemu zdziwieniu samochód zawrócił sam, a nas przed nim popędzili Niemcy w stronę kościoła. Po drodze zobaczyliśmy podobne grupy jak nasza pędzone z różnych ulic wioski. Przy kościele ustawiono nas w trójki i skierowano środkiem drogi przez wieś, po zamarznętej i łamiącej się pod nogami skorupie błota, w stronę Potoczka.

W czasie tej drogi minął nas jeden samochód z Niemcami, dwa zaś wolno posuwały się za nami. Po bokach kolumny szli uzbrojeni Niemcy. Przy końcu wsi było nas w tym pochodzie w nieznane około 180 osób, w tym mężczyzn około 30, reszta to starcy, dzieci i kobiety nawet z niemowlętami na rękach. Dookoła siebie widziałem spłakane, wystraszone i zmarznęte twarze na pół ubranych ludzi.

Tak zapędzono nas z Suchowoli do Potoczka przed drewniany kościółek. Tu po ustawieniu wszystkich frontem do kościółka przemówił do nas przez tłumacza oficer niemiecki, który oświadczył, że w Suchowoli podczas ostatniego napadu na ludność niemiecką zginęło trzech Niemców, za których skazano na śmierć 40 Polaków. Dziesięciu już rozstrzelano w Zamościu, a tu po chwili zginie jeszcze 30. Przemówienie nie było jeszcze skończone, gdy zebrani ludzie zaczęli po takim oświadczeniu niepokoić się, płakać i kręcić. Konwojenci krzykiem i nastawieniem broni utrzymali jednak ludność w miejscu poza kilkoma

mężczyznami, którzy zdążyli zbiec. Potem wyszło z kościoła około 24 żołnierzy niemieckich. Zdjęli z głów furażerki i nałożyli hełmy, ustawili się w szereg naprzeciw nas i nabili karabiny. Wówczas inni żołnierze wyprowadzili z tegoż kościółka sześciu mężczyzn w białe bielizny i boso ze związanymi w tył rękami. Za każdym wyprowadzonym szedł żołnierz trzymając go za sznurek zwisający od związanych rąk i kierując do bariery przydrożnej. Tu naciśnięciem ramienia zmuszano każdego prowadzonego do klęknienia tyłem do bariery i przywiązywano do niej tym samym sznurkiem. Po przywiązaniu wszystkich sześciu żołnierze prowadzący usunęli się na wzgórze, a oddział w hełmach na komendę zwrócił się frontem do przywiązanych i strzelał z odległości około 8 mtr wprost w twarze skazanych. Następnie oddział zrobił w tył zwrot. Żołnierze zaczęli zabijać o spodnie zmarznięte ręce. Przez ten czas oficer komenderujący sam podchodził do drgających jeszcze ofiar i strzelał z pistoletu w tył zwisającej głowy.

Teraz na rozkaz zapędzono z naszej gromady mężczyzn do rozwiązywania i odciągnięcia na bok rozstrzelanych.

Takie sceny powtórzyły się jeszcze cztery razy tak, że w sumie wyprowadzono z kościółka i rozstrzelano w ten sam sposób 30 mężczyzn, na oko w wieku od 14 do 60 lat. W zabijanych rozpoznałem Kukułowicza z Bródek, gm. Suchowola i Kudyka z Pniówka, gm. Nowa Osada. W czasie egzekucji skazani zachowali się zupełnie spokojnie. O ile sobie przypominam, tylko z ust jednego padły słowa »Jezus, Maria!«.

Przez cały czas tej niesłychanej okropności spędzeni ludzie musieli stać w odległości 10 – 15 mtr od miejsca trwania i patrzeć. Po złożeniu wszystkich rozstrzelanych na kupę oficer zaczął kończyć swoje przemówienie. Między innymi powiedział, że taka kara spotkała tych ludzi za napad dywersantów na Suchowolę, a gdyby w tej wsi powtórzyło się jeszcze raz coś podobnego, to będą rozstrzelani wszyscy obecni tu mieszkańcy Suchowoli. I ciągnął dalej, że Polacy powinni iść razem z Niemcami, bo tylko oni »bronią« kultury zachodniej przed zalewem »dziczy azjatyckiej«. Następnie kazał rozejść się zostawiając kilkunastu mężczyzn do zakopania zabitych. Dziś wszystkie te zwłoki zostały wydobyte, rozpoznane i zabrane na cmentarze kościelne poszczególnych parafii.

Niektórzy ludzie twierdzą, że skazani mieli czymś zapchane usta, – gipsem lub czymś w tym rodzaju, ale ja tego nie widziałem.

* * *

EGZEKUCJA W ZWIERZYŃCU

Dnia 2 lutego 1944 r. Około godziny 11 rano żandarmi niemieccy zaczęli spędzać mieszkańców Zwierzyńca i Rudki. Nie ominęli i kościoła, skąd wypędzili modlących się dłużej po skończonym nabożeństwie z racji święta Matki Boskiej. Zjawili się też w biurze Zarządu Ordynacji Zamojskiej i zażądali, by wszyscy urzędnicy udali się natychmiast na Rudkę stanowiącą niejako przedmieście Zwierzyńca.

Cały zgromadzony na rynku tłum przepędzono następnie na targowicę i tam ustawiono w podkowę, a raczej w czworobok o jednej stronie wolnej.

Domyślaliśmy się, że mamy być świadkami publicznej egzekucji, nie było tylko jasne, czy ofiary będą wybrane spośród obecnych, czy też dostarczone z zewnątrz. Na dwa dni przedtem, 31 stycznia, zabity został w Biłgoraju niejaki Ostaszewski, szofer i konfident Gestapo, mieszkaniec Zwierzyńca, było zatem do przewidzenia, że w odwecie nastąpią jakieś represje. Zebrany tłum zachowywał imponujący spokój robiąc wrażenie, że jest przygotowany na wszystko. Po chwili nadjechał samochód, z którego wysiadł pluton egzekucyjny »Schutzpolizei« w hełmach i ustawił się naprzeciwko podkowy utworzonej z około 500 przymusowych widzów. Następnie nadjechało auto z gestapowcami z Hauptsturm – führerem Trautweinem na czele, którzy stanęli na uboczu, a wreszcie zamknęty samochód do przewożenia więźniów. Na pustą przestrzeń przed nami wyszedł podoficer Gestapo Leon Arent i odczytał po polsku mniej więcej co następuje:

»W Biłgoraju zabity został Marian Artur Ostaszewski za to, że poczuwał się do narodowości niemieckiej i współpracował z niemieckimi władzami bezpieczeństwa chcąc dopomóc w zaprowadzeniu ładu i do zwycięstwa nad wrogiem. Zabójstwo dokonane zostało z rozkazu tajnej organizacji narodowej, przy czym wiadomo, że rozkaz ten wyszedł ze Zwierzyńca. Dwudziestu aresztowanych dawniej, którym udowodniono należenie do tej organizacji, będzie za chwilę rozstrzelanych celem odstraszania innych od podobnych czynów«.

Odczytał następnie nazwiska 20 skazanych na śmierć za »sprzyjanie bandytom« lub za »należenie do nielegalnej organizacji*. Byli to przeważnie włościanie z okolicznych wiosek, a mianowicie:

1. Marzec Stanisław ze wsi Tereszpól-Zygmunt.
2. Wolanin Józef ze wsi Tereszpól-Zaorenda.
3. Wolanin Józef ze wsi Tereszpól-Zaorenda.
4. Pietruszka Władysław z Bagna.
5. Pietruszka Bernard z Bagna.
6. Kierowski Jan z Bagna.
7. Tokarz Jan z Bagna.
8. Dorosz Czesław z Bagna.
9. Kierowski Zdzisław z Bagna.
10. Skiba Józef z Bagna.
11. Rugała Jan z Tereszpola.
12. Sikorski Jan z Tereszpola.
13. Pieczykolan Józef z Tereszpola.
14. Sikorski Józef z Tereszpola.
15. Lesiecki Józef z Tereszpola.
16. Pieczykolan Tadeusz z Tereszpola.
17. Pieczykolan Franciszek z Tereszpola.
18. Czajka Jan z Lipowca.
19. Zubala Marian Adam ze Zwierzyńca-Rudki II.
20. Korga Władysław ze Zwierzyńca-Rudki II.

Z samochodu więziennego wyprowadzono 5 skutych za ręce skazańców i kazano im biec na miejsce stracenia ustawiając ich następnie za plutonem egzekucyjnym, zwróconym dotychczas frontem do tłumu, po czym kazano im ukłęknać.

Pluton zrobił w tył zwrot. Komenda, – salwa, Gestapowiec, ten sam który odczytywał wyrok, podszedł z rewolwerem i dobił dwóch dających jeszcze znaki życia.

Następnie wywołano kilku ludzi spośród widzów tej tragedii i kazano im usunąć na bok trupy, z samochodu zaś przypędzono drugą piątkę skutych ofiar. – Procedura ta powtórzyła się jeszcze dwukrotnie i za każdym razem dobijano z rewolweru dających znaki życia. Skazańcy siedząc w samochodzie słyszeli to wszystko i oczekiwali na swoją kolejkę.

Tłum stał w ciszy i skupieniu. Żadnych oznak lęku, tylko zimna zawziętość na twarzach zarówno mężczyzn jak i kobiet.

Spośród skazańców jeden tylko, mieszkaniec wsi Tereszpól, zawołał: »zawiadomcie moją rodzinę«.

Po skończonej egzekucji kazano nam się rozejść. Usłyszałem rzucone zdanie: »niechże teraz prędzej zabiją drugiego zdrajcę, – my to wszystko wytrzymamy«.

Zwłoki rozstrzelanych miały być zakopane na miejscu egzekucji, lecz na interwencję miejscowego wójta Paszkowskiego Gestapo pozwoliło pochować je bez trumien we wspólnym grobie na cmentarzu parafialnym.

JAN MIRSKI

WYSIEDLANIE W POWIECIE ZAMOJSKIM

Niszczenie narodowości i własności polskiej drogą wysiedlań rozpoczęli Niemcy w r. 1939 w Poznańskim, skąd wysiedleni Polacy przybyli do Zamojszczyzny i zapoznali nas z metodami tej akcji. – Warunki materialne pozwalały nam wówczas na dobre zaopiekowanie się wysiedlonymi, czym zajęły się poszczególne gminy i Polski Komitet Opiekuńczy.

Wysiedlanie Zamojszczyzny rozpoczęto jeszcze na jesieni 1941 r. Wysiedlono wówczas kilka wiosek, jak Huszczka Duża i Mała, Podhuszczka, Dulnik, Wysokie, Bortatycze i Zarudzie. Do wysiedlonych wiosek sprowadzono Volksdeutsche z Radomskiego. Polaków po kilkudniowym pobycie w koszarach Łukasińskiego w Zamościu wywieziono furmankami do kilku miejscowości w pow. hrubieszowskim, m. in. do Tiptikowa i Hostynnego, z zamiarem osiedlenia ich za Bugiem. Na szczęście wskutek sprzeciwu władz administracyjnych i wojskowych za Bugiem zamiar ten zarzucono i wysiedleńców rozpuszczono kładąc im szukać sobie schronienia u krewnych lub znajomych. Dzięki staraniom gmin ludność ta została umieszczona po wioskach w powiecie zamojskim i na terenie sąsiednich powiatów. Ogólna liczba wysiedlonych wynosiła wówczas około 1.500 osób. Od tej pory sprawa wysiedlań w Zamojszczyźnie powoli i stopniowo dojrzewała i coraz bardziej niepokoiła ludzi.

Po tej pierwszej próbie wysiedlania w Zamojszczyźnie Niemcy opracowali dokładniejszy plan akcji. Zawczasu zaczęli sporządzać opisy gospodarstw, inwentarza żywego i martwego, członków rodzin według płci, wieku i zawodu, ułożyli plan gospodarstw t. zw. wzo-

rowych, złożonych z gospodarstw większych i lepszych lub też kilku mniejszych scalonych w jedno. Wzorowych gospodarzy i rzemieślników przewidziano do pozostawienia na miejscu do pomocy niemieckim osiedleńcom, niepotrzebną zaś grupę ludzi do wywozu na roboty do Rzeszy lub obozów koncentracyjnych. Celem zorientowania się w rasowości i zdrowotności tutejszej ludności zorganizowano przeglądy antropologiczno – lekarskie przy pomocy specjalnych komisji. Badanych zakwalifikowano do jednej z pięciu grup: do I – Niemców, do II – Polaków rasowo i zdrowotnie nadających się do zniemczenia, do III – element zdolny do robót, do IV – starców i dzieci, do V – chorych. Dwie ostatnie grupy przeznaczono do likwidacji.

Celem całkowitego wyeksploatowania zasobów materialnych wyśrubowano kontyngenty do maximum i zmuszono ludzi do intensywnej pracy przy żniwach wprowadzając t. zw. stan wyjątkowy. Każdy człowiek musiał być zajęty pracą przy zbiorach i młocce. Gdzieśniedzie zmuszano do pracy nawet i w niedziele. Nie wolno było podróżować bez ważnej potrzeby i to tylko za zaświadczeniem sołtysa o konieczności i celu podróży, nie wolno było również oddalać się od miejsca pracy. Przyśpieszono terminy odstaw kontyngentów zbożowych i hodowlanych nie zwracając wcale uwagi na przygotowanie roli pod zasiew jesienny. Doszło nawet do tego, że pozostawione początkowo zboże pod zasiew, t. zw. kwalifikowane, kazano również dowieźć do magazynów kontyngentowych. Rygory te osiągnęły gdzieśniedzie punkty kulminacyjne, bo były wypadki zastrzelenia kilku gospodarzy za »opieszłość« w pracy, np. na terenie gminy Łabunie. Dozór nad tymi sprawami objęło SS i Ukraińcy pozostający w służbie niemieckiej. Szczególnie ci ostatni w bestialski sposób terroryzowali i maltretowali ludność.

Zgodnie z planem wysiedlania Zamojszczyzny starostwo czyli t. zw. Kreishauptmannschaft w Zamościu umyślnie wstrzymało wydawanie kart rozpoznawczych (Kennkarten), podczas gdy w innych powiatach już w r. 1941 karty te były wydawane. Kreishauptmann zamojski wyjątkowo wydał zaledwie kilkanaście kart rozpoznawczych dla tych, którzy wyjeżdżali poza teren powiatu itp.

W tym samym czasie, t. j. w lecie i w jesieni 1942 r. wzmożono akcję werbowania Polaków na Volksdeutscheów używając czasem przymusu, to znaczy arestując rodziny oporne i podsuwając potem deklarację do podpisania, np. w Wielączy. Ponadto przed wysiedle-

niem rozpoczęto masowe łapanki uliczne i po wsiach, czasem nawet w kościołach, na roboty do Niemiec, zlikwidowano całkowicie ghetto żydowskie w Zamościu i w innych miastach.

Ogólnie mówiąc wytworzyła się ciężka atmosfera niepewności jutra. SS panowało nad sytuacją. Powiat zamojski przeznaczono dla SS, a miasto Zamość miało być przemianowane na »Himmlerstadt«. Tego nie dokonano, lecz wersja o przemianowaniu miasta rozeszła się po całej Polsce i np. z Łodzi nadchodziły czasem listy adresowane na »Himmlerstadt«.

O zamiarze wysiedlań z Zamojszczyzny dużo mówiono już w lecie 1942 r. Wiadomo było, że od dwóch lat Volksdeutsche z Rumunii i Jugosławii przebywają w obozie pracy w Łodzi, czekając na osiedlenie. – Potwierdzeniem tych przypuszczeń były wiadomości zaczerpnięte ze źródeł niemieckich. Wśród słabych duchem Polaków zapanała psychoza rezygnacji i wątpienia. Niejeden uległ namowom niemieckim i powiększył szeregi Volksdeuschów.

Z chwilą otrzymania pewniejszych danych o mających nastąpić wysiedleniach ludność samorzutnie i kierowana przez czynniki podziemne przygotowała się do ewakuacji chowając broń, wywożąc częściowo rodziny, mienie itp. Oddawanie kontyngentów zaczęto lekceważyć i dopuszczano się »nadużyć« kwitów kontyngentowych, nie dbano o zbiór tytoniu i buraków cukrowych, zaniechano starannej uprawy roli pod zasiew, zaczęto korzystać w całej pełni z posiadanych zapasów żywnościowych, zabijano inwentarz kolczykowany na własny użytek. Czekano.

W tym czasie zdobyto mapę wysiedleń, poinformowano ludność o zasięgu terytorialnym tej akcji i wydano odpowiednie zarządzenia.

Dnia 28 listopada 1942 r. o godz. 3 rano okupant rozpoczął generalne wysiedlanie Zamojszczyzny. Zaskoczono wioski: Skierbieszów, Lipina Nowa, Suchodębie, Sady, Zawada. Wywieziono znaczny procent ludzi do obozu w Zamościu, »za druty«. – Nazwa ta powstała od gęstego i wysokiego ogrodzenia z drutu kolczastego okalającego kompleks baraków przy ul. Piłsudskiego naprzeciw koszar 9 p. p. Leg.. – Następne dni nie były już taką niespodzianką dla okolicznych wiosek, z których większość ludności, szczególnie młodzież, ewakuowała się sama w bezpieczniejsze strony.

Wysiedlenie trwało do świąt Bożego Narodzenia. Wysiedlono kilkadziesiąt wiosek i przysiółków, z których najważniejsze są: Skier-

bieszów, Lipina Nowa, Dulnik, Suchodębie, Sady, Zawada, Hajowniki, Cieszyn, Iłowiec, Huszczka Duża i Mała, Podhuszczka, Łaziska, Stary Zamość, Chomęciska Duże i Małe, Złójec, Ruskie Piaski, Sitaniec, Udrycze, Hyża, Siedliska, Płoskie, Wielącza, Zawada, Staw Noakowski, Nawóz, Mokre, Żdanów, Żdanówek, Lipsko, Białowola, Wierzbie koło Łabuń, Ruszów, Łabunie, Łabuńki, Jatutów, Szopin, Szopinek, Majdan Zamojski, Czołki, Sitno, Stabrów, Horyszów Polski, Wólka i Kolonia Horyszów, Jarosławiec, Bożydar, Cześniki, Niewirków, Majdan Niewirków, Dub, Kotlice, Wolica Sniatycka, Antoniówka, Ruszczyzna, Krzywystok, Komarów, Janówka Komarowska, Huta Komarowska, Wolica Brzozowa, Zubowice, Krynice, Budy. Wieś Brody Duże, zamieszkała przeważnie przez dawnych kolonistów niemieckich, nie była wysiedlana, ponieważ już wcześniej prawie cała przeszła na Volksdeutsche.

Na ogół poza pierwszym zaskoczeniem do obozu wysiedleńczego dostał się mały procent ludzi i to przeważnie starzy i dzieci. Globalna liczba osadzonych »za drutami« wynosiła około 15.000 ludzi. Ukraińców również wysiedlono, ale osadzono ich od razu w wioskach w pow. hrubieszowskim. W tym celu przy końcu stycznia 1943 r. wysiedlono kilka wiosek w Hrubieszowskim.

W czerwcu i lipcu 1943 r. obozy w Zamościu i w Zwierzyńcu zapelnione zostały nowymi ludźmi. Okupant zorganizował na większą skalę pacyfikację i wysiedlanie powiatu zamojskiego, biłgorajskiego, tomaszowskiego i hrubieszowskiego. Do akcji tej, która objęła wioski i lasy, użyto przeszło 2 dywizje złożone z SS, Schupo, żandarmarii, Ukraińców i Ormian. Wysiedlono wówczas bardzo wiele wiosek. W lasach w czasie starć z Niemcami zginęło dużo Polaków. W zamojszczyźnie wysiedlono wioski: Hutków, Jacnia, Adamów, Potoczek, Suchowola, Rahodoszcza, Bożawola, Dominikanówka, Majdan Mały, Nowa Wieś obok Krasnobrodu, os. Krasnobród, Sułów, m. Szczepreszyn, Przedmieście Zamojskie pod Szczepreszynem, Bodaczów, Rozłopy, Deszkowice, Żrebce, Tworyczów, Kitów. Nazw wysiedlonych wówczas wsi z innych powiatów nie podaję.

Akcja wysiedlania.

O sposobach wysiedlania ludność wiedziała od wysiedlonych z Poznańskiego. Te same lub podobne metody zastosowano i na naszym terenie. Podobne były również i przygotowania do wysiedlań. Na podstawie różnych danych wiedzieliśmy o zbliżającym się termi-

nie wysiedlania. Trudno było jednak odgadnąć dokładnie, którego dnia i od jakiej miejscowości rozpocznie się akcja.

a) Opis metody.

Wczesnym rankiem lub w nocy oddział policji niemieckiej i Ukraińców w służbie niemieckiej (Wolgadeutsche) w sile przeważnie kilkudziesięciu ludzi zajeżdżał samochodami i furmankami na wieś, otaczał jedną lub kilka wsi, po czym policjanci budzili ludzi, kazali im się ubierać i wyznaczali czas na zabranie ręcznego bagażu oraz miejsce zbiórki. Czas ten bywał różny zależny od woli poszczególnych kierowników ekspedycji a nawet pojedynczych policjantów. Przeważnie wahał się w granicach od 20 minut do jednej godziny. Dla Ukraińców czas ten był dłuższy. Pozwalano im wyjeżdżać własnymi wozami naładowanymi znacznie większą ilością żywności, odzieży itp.

Na placu zbornym we wsi następowała segregacja ludzi na dwie grupy: jedną do wywozu, drugą do pozostawienia we wsi w charakterze parobków niemieckich. Początkowo posługiwano się gotowymi listami mieszkańców, później zaś segregacji dokonywał sam dowódca ekspedycji wysiedleńczej według swego uznania. Na miejscu zostawiano przeważnie rzemieślników małorolnych, którym odebrano własność i przydzielono do gospodarstw zajętych przez nasiedlonych Volksdeutschów. Tym sposobem w każdej wsi pozostało po kilka a nawet po kilkanaście rodzin polskich. Ukraińców nie zostawiano do robót na miejscu, lecz kierowano na nowe gospodarstwa w Hrubieszowskie.

Przygotowany we wsi transport ludzki załadowywano na furmanki dostarczone na miejsce z rozkazu Kreishauptmanna przez inne gminy. Transport kierowano bezpośrednio »za druty«. Równocześnie, ale innymi drogami i furmankami, przywożono na opróżnione miejsca Volksdeutschów, których na kilka dni przedtem sprowadzono z obozów pracy z Łodzi. Transporty wysiedlonych Polaków i nasiedlonych Volksdeutschów nie spotykały się więc w drodze. Osiedleńcy byli informowani przez policję, że idą na dawno opuszczone przez Polaków gospodarstwa. Dopiero na miejscu przekonywali się o tych kłamstwach widząc świeże ślady ludzkiego istnienia.

Początkowo wysiedlano wioski w danej gminie kolejno, potem zastosowano t. zw. przerzuty, to znaczy robiono wypadki codziennie w innej gminie, by do niej znów powrócić za kilka dni. Mimo tych

podstępów ludność na ogół zdążyła schronić się. Później zmieniono godzinę wysiedlenia. Zamiast przyjeżdżać jak dotąd świtem lub nocą akcję rozpoczynano przed południem, kiedy ludzie będąc przekonani, że godzina wysiedlań w tym dniu już minęła, wracali z lasu lub z innych kryjówek do swych domów po żywność i w celu nakarmienia inwentarza żywego. Później i to nie dawało spodziewanych rezultatów, bo ludność w ogóle wyjeżdżała z wiosek na inne dalsze tereny.

Miasto Zamość nie było wysiedlane. Zarekwirowano tylko większość sklepów, warsztatów rzemieślniczych i lepszych przedsiębiorstw na rzecz osiadłych w mieście Reichs – i Volksdeutschtów. Wyrzucono szereg rodzin z ich domów. Polacy musieli szukać sobie gorszych mieszkań w zlikwidowanym ghecie na Nowej Osadzie lub też w ogóle emigrować z rodzinami poza teren Zamojszczyzny. »Za druty« zabrano z Zamościa tylko kilka rodzin.

b) Los wysiedlonych.

»Za drutami« rozdzielano ludzi na grupy: osobno grupa przeznaczona na Majdanek lub do pracy w Rzeszy, osobno kobiety z małymi dziećmi i wreszcie dzieci od dwóch lat wzwyż gdzie indziej. Dla każdej grupy przeznaczono odpowiednią ilość baraków z różną numeracją. Dochodziło do scen dramatycznych, gdy odłączano dzieci od matek. Matki stawiały opór i bywały dotkliwie pobite przez Schupo. Rozpacz ich była nieopisana. Dzieci zebrane w osobnym baraku nie miały nawet dostatecznej opieki. Zdarzały się wypadki, że dzieci wychodzące do ustępów wpadały w nie i topiły się. Umierały z zimna i głodu. Wszędzie panował brud, wszy, zimno, brak wody i pożywienia.

W pobliżu obozu przychodzili krewni lub znajomi z żywnością i słowami pociechy. Próbowali rozmawiać przez otaczające baraki obozowe gęste druciane ogrodzenie. Lecz rozmawiających brano również »za druty«. Tylko bardziej litościwi policjanci niemieccy pozwalali dawać żywność i rozmawiać przez płot. Nierzadko rozmowa taka musiała być opłacona, często też podawana żywność nie docierała do właściwego odbiorcy.

Na terenie obozu Niemcy rozrzućli ulotkę informującą ludność, że zdolni do pracy będą wywiezieni do Rzeszy, starzy zaś i dzieci do obozów w Łodzi, skąd nastąpi dalszy przydział. Podano też adres pod jakim należało pisać listy do wysiedlonych, kierowanych do Łodzi.

Co kilka dni wyjeżdżał transport z Zamościa w kierunku Warszawy. Na niektórych transportach kolejowych z wysiedlonymi widziano pod Warszawą napisy: »Za kontyngent w Zamojszczyźnie«. Na pytania, co to za transport, Niemcy odpowiadali: »To bandyci z Zamościa«. Wielu wysiedlonych uciekło z transportów podczas podróży, wielu próby te przytłaciło życiem ginąc od kuli Niemieckiej. Tu należy podkreślić patriotyczne wysiłki polskiej służby kolejowej, dzięki której wielu wysiedlonym udało się zbiec z transportów.

Warunki przejazdu koleją były okropne. Wagony towarowe były przepełnione nadmierną ilością ludzi. Duszność, brak wody i pożywienia, smród z powodu załatwiania na miejscu potrzeb fizjologicznych doprowadzały nieraz do omdlenia a nawet uduszenia się słabowitych i dzieci.

Młodzież wysłano do Majdanku lub do Rzeszy. Transporty ze starszymi i dziećmi nie dojechały do miejsca przeznaczenia. Jeszcze przed Warszawą lub w samej Warszawie transporty zatrzymano i przewożoną ludność rozpuszczono. Nie pozwolono jej jednak wracać do Zamojszczyzny. Wolno było pozostać w powiatach warszawskim, garwolińskim, siedleckim i sąsiednich. Dzieci przez dłuższy czas wałęsały się bez opieki po dworcach podwarszawskich nie wiedząc co z sobą począć. Ludność chcąc pomóc dzieciom zabierała je do siebie lub wykupywała z transportów płacąc po kilkaset złotych za jedno dziecko.

Po kilku tygodniach nadeszły listy od młodzieży z Rzeszy i od rodzin osiedlonych pod Warszawą. Listy pisane były na ogół w spokojnym tonie. Nie było oznak rezygnacji i utraty wiary w lepsze jutro. O przeżytych bólach trudno im było mówić.

Pewna ilość wysiedlonych przebywała jeszcze przez dłuższy czas w obozie w Zamościu. Zorganizowano dla nich kuchnię i wyznaczono intendenta obozu. Wyżywienie było marne, warunki zdrowotne niedostateczne. Zdolnym do pracy wyznaczono zajęcie wewnątrz obozu lub poza nim. Ucieczek zasadniczo nie było, ponieważ w obozie zawsze zostawiano kogoś z rodziny jako zakładnika. Z przeszło 1500 osób prawie wszystkich zatrudnił miejscowy »Arbeitsamt« w firmach i warsztatach niemieckich w Zamościu lub w wioskach niemieckich.

Los ludzi wysiedlonych w r. 1943 był o wiele gorszy niż w r. 1942. W obozie w Zamościu jak i w Zwierzyńcu maltretowano i kato-

wano mężczyzn zmuszając ich do wydania ukrytej broni oraz nazwisk członków organizacji. Tych ostatnich katowano szczególnie ostro.

Ogółem w obu obozach znalazło się w tym czasie około 36 tysięcy osób. Część wywieziono na Majdanek lub do Niemiec, część zaś zwolniono. W Majdanku zmuszano do pracy szpiclowskiej na terenie Lubelszczyzny. Zgłaszających się do tej haniebniej pracy wypuszczano na wolność i kierowano na tereny, gdzie spodziewano się intensywniejszego ruchu w organizacji polskiej oraz działalności polskiej i sowieckiej partyzantki. Niestety, pośród kilkudziesięciu czy nawet więcej tysięcy osadzonych w Majdanku lub na Zamku w Lublinie znalazło się aż kilkaset jednostek, które za cenę własnego życia spodliły się i wydawały tysiące swych braci.

W pow. zamojskim na miejsce Polaków osadzano tylko Volksdeuschów, w innych zaś powiatach Volksdeuschów i Ukraińców pochodzących z tutejszych terenów.

c) Los uciekinierów i tych, którzy ewakuowali się sami.

W r. 1942 i 43 wszyscy ci, którzy chcąc uniknąć przymusowego wysiedlenia ewakuowali się sami lub uciekali z transportów, zmuszeni byli szukać schronienia wśród swych rodzin, u znajomych i u obcych mieszkających na innych terenach. Byli oni na łasce swych gospodarzy. Pomagali im w pracy lub zarabiali na utrzymanie w inny sposób. Młodzież męska zgłaszała się do oddziałów partyzanckich, by pomścić na Niemcach ich barbarzyństwo. – Poparcie społeczeństwa niedotkniętego podobnym ciosem było zadowalające.

d) Los Polaków pozostawionych jako robotnicy w wioskach niemieckich.

Ta grupa Polaków znalazła się w jeszcze cięższych warunkach vegetacji, aniżeli ewakuowani dobrowolnie. Większość Volksdeuschów, nawet tutejszych, zasmakowawszy chleba niemieckiego (czytaj: zagrabionego Polakom) i uwierzywszy w zwycięstwa niemieckie pokazała właściwe swe oblicze duchowe. Zmuszano Polaków »upodlonych« do roli parobków niemieckich, do pracy ponad siły, często o głodzie i o chłdzie. Nie pozwalano im odwiedzać rodziny i znajomych i odwrotnie, zabraniano odwiedzać ich innym, śledzono, posądzano o bandytyzm, wyśmiewano ich polskość. Nieraz wydawano

w ręce Gestapo lub zabijano na miejscu. Samopoczucie więc tych Polaków było jak najgorsze. Nie wszyscy mogli stąd uciec, bo nie każdy miał rodzinę lub warunki do urządzenia się gdzie indziej.

Organizacja wsi niemieckiej, warunki bytowania, nastroje.

Na ogół wszyscy osiedleńcy i Volksdeutsche tutejsi otrzymali tylko lepsze gospodarstwa. Resztę zrabowali. Celem zaopatrywania osadników w potrzebne przedmioty w gospodarstwie utworzono w Zamościu t. zw. SWG (Siedler Wirtschaft Gemeinschaft). SWG posiadało do swej dyspozycji wszystkie pozostawione przez Polaków i Żydów rzeczy, jak meble, naczynia kuchenne, odzież, obuwie, narzędzia rolnicze itp. Ponadto do SWG włączono Powiatową Spółdzielnię Rolniczo-Handlową »Snop«. – Zaopatrzenie osadników niemieckich w sprzęt gospodarczy i żywność stało na wysokim poziomie. Poza tym osadnicy korzystali w całej pełni i bez skrupułów z pozostawionego przez Polaków inwentarza żywego i zapasów żywnościowych. Sklepy, większe przedsiębiorstwa i warsztaty odebrano Polakom i oddano w ręce niemieckie. Tak więc i pod tym względem wspierane było niemieckie osadnictwo. Większe folwarki, zamienione na t. zw. Liegenschafty lub będące pod zarządem SS, eksploatowane były na rzecz osadnictwa.

Osadnicy niemieccy, nie licząc miejscowych Volksdeuschów, pochodzili z Rumunii i Jugosławii. Przyjechali jako ludzie biedni, przemożnie nie umiejący pracować na roli, mało kulturalni, zaszczepieni przez niemiecką propagandę jadem nienawiści do Polaków, których uważali za bandytów. Do pracy nie garnęli się, prowadzili raczej pasożytniczo-rabunkową gospodarkę. Na pozór wy – dawało by się, że utworzyli wzorowe gospodarstwa, postawili nowe i lepsze zabudowania, a zatem włożyli własny wysiłek i kapitał. Ale za to zburzyli cały szereg niepotrzebnych im zabudowań. Materiału budowlanego i polskich rąk do pracy mieli pod dostatkiem.

Ilościowo osadnictwo niemieckie było różnie rozmieszczone. Przykład konkretny: duża wieś Wielącza miała zaraz po wysiedleniu Polaków 57 rodzin nasiedlonych, 12 rodzin miejscowych Volksdeuschów, przy czym uzbrojenie ich wynosiło: 30 kb., 10.000 szt. amunicji, 10 granatów, 1 PM, 1 rakietnica. Mniejsza wieś Siedliska – 40 rodzin niemieckich przesiedlonych z Płockiego, miała wieś Białobrzegi

– 26 rodzin niemieckich. Ogólnie można przyjąć, że w Zamojszczyźnie osadzono około 3.000 rodzin niemieckich posiadających 50 rkm-ów, 2.500 sztuk broni długiej nie licząc pistoletów prywatnych.

Każda wieś posiadała Dorfführera (SS-man), kilka zaś wiosek Hauptdorfführera (SS-Einsatz). Umundurowanie Volksdeutschów było czarne. Czarny kolor mundurów i śniada cera dały podstawę ludziom do nazywania osadników »cyganami« lub »czarnymi«. – Każda wieś miała Landwacht w składzie kilku lub kilkunastu uzbrojonych wartowników. Wartownicy chodzili po wiosce od zmroku do świtu. W tym czasie niezależnie od godziny policyjnej legitymowano przechodniów. Były wypadki zastrzelenia Polaków, pobicia, rabunku niesionego bagażu itd. Z tego powodu Polacy omijali wioski niemieckie nawet w dzień, ruch zaś głównie odbywał się szosami. Gdzieniegdzie do służby wartowniczej poza wsią używano również i Polaków, oczywiście tylko z kijami w rękę.

Oprócz Landwachy organizowano niemieckie oddziały szkoleniowe celem przygotowania młodzieży męskiej do służby wojskowej na froncie. Szkolenie podstawowe stanowiło: strzelanie, musztra zwarta, uczenie się języka niemieckiego. Do służby wojskowej powoływano Volksdeutschów pojedynczo. Służby tej unikano.

Kursy języka niemieckiego przeznaczone były również dla dzieci i młodzieży nieobjętej służbą wojskową. W każdej wiosce był nauczyciel lub nauczycielka. Dla dzieci w wieku przedszkolnym zorganizowane były ochronki (Kindergarten NSV). Zdolniejsze jednostki wysyłane były do przeszkolenia hitlerowskiego do miast (Hitlerjugend). Każda rodzina otrzymywała miesięcznik »Koloni – stenbriefe« wydawany w Lublinie przez NSDAP. Miesięcznik ten miał charakter propagandowy i służył jako samouczek języka niemieckiego. Później miesięcznik ten nie wychodził.

Celem zapewnienia osadnictwu niemieckiemu lepszego bezpieczeństwa utworzono na obwodzie obszaru nasiedlonego posterunki żandarmerii lub SS-Stützpunkty. I tak między innymi były posterunki po 6 do 12 ludzi w Lipsku, Szczepieszynie, Sułowie, Ruskich Piaskach, Starym Zamościu, Skierbieszowie, Komarowie, Zawadzie, Horyszowie Polskim, Krasnobrodzie itp. Ponadto temu celowi służyły również jednostki Schupo i Wehrmachtu rozlokowane w terenie. W czasie żniw zorganizowano specjalne oddziały policji niemieckiej i ukraińskiej do ochrony zbiorów.

Nastroj Volksdeutschów był początkowo na ogół dodatni. W okresie niemieckich klęsk na wschodzie i południu, oraz z powodu

napadów na wioski osadnicze nastroje uległy znacznemu pogorszeniu. Zaczęto wówczas szukać przyjaciół wśród Polaków jako ewentualnych swych obrońców w przyszłości. Szczególnie zauważono to u Volksdeutscheów miejscowych.

W styczniu 1944 r., kiedy armia czerwona znalazła się tuż za Bugiem, Volksdeutsche otrzymali rozkaz wywiezienia rodzin do Łodzi. Mężczyźni mieli pozostać na miejscu dla obrony tutejszych terenów. Już wtedy zaczęła się dezercja wśród tutejszych Volksdeutscheów. Część Volksdeutscheów uciekła i wywiozła rodziny gdzie indziej niż kazano, – do sąsiednich powiatów lub bliżej. Znaleźli się również ochotnicy do polskich oddziałów partyzanckich.

W obawie napadów zgrupowano wszystkich Volksdeutscheów po wioskach wzdłuż głównych tras (Szczepieszyn – Zawada itp.).

W lipcu 1944 r. ewakuowano wszystkich pozostałych Volksdeutscheów. Na trasie Łopiennik – Fajstów samoloty sowieckie bombardowały uciekający transport. Dużo było zabitych na miejscu, bardzo wielu zmarło z ran i wielu wpadło w ręce armii czerwonej. – Tutejsi Volksdeutsche w 90% zostali na miejscu i nie ewakuowali się.

Stosunek Polaków do osiedleńców.

Z natury wypływająca nienawiść do Niemców spotęgowana została przez nieludzkie postępowanie ich w czasie wysiedlania i potem. Osiedleńcy a także i miejscowi Volksdeutsche wcale nie wykazali humanitarności względem Polaków wydając ich »za druty« i rabując na własną rękę. Toteż nienawiść Polaków do Niemców doprowadzała niejednokrotnie do czynnej reakcji. Już w czasie wysiedlania spalono kilka domów w Udryczach, wieś Białowolę. W Noc Sylwestrową 1942-1943 armia podziemna wykonała szereg sabotaży kolejowych demolując urządzenia stacyjne, paląc wieże ciśnień na stacjach Krasnobród, Szczepieszyn, Ruskie Piaski, wysadzając ważne mosty kolejowe na trasie Susiec – Krasnystaw. W rejonie Zamościa zerwano w kilku punktach linie telefoniczne. Wykonano szereg wyroków śmierci na szpichelach.

W grudniu 1942 r. spalono połowę wsi Lipsko, w styczniu 1943 r. spalono większą część wsi Cieszyn i wybito około 90 osadników niemieckich, potem spalono częściowo wieś Ruszów i Huszczkę Dużą. Oczywiście nastąpiły represje niemieckie: wymordowano około 150 osób w Kitowie, 51 w Białowoli, 22 w Nieliszu, 8 w Krzaku, 3 w Wólce Nieliskiej, 16 w Stawie Noakowskim, 32 w Wierzbie koło

Starego Zamościa i pojedyncze osoby in różnych miejscowościach na terenie Zamojszczyzny. Niezależnie od tego okupant zorganizował w lutym 1943 zbrojny nalot na tereny w pasie Krasnobród – Susiec-Józefów – Terespol – Zwierzyniec używając do tego kilku batalionów wojska i policji. Doszło do ostrych starć z oddziałami polskimi, w wyniku czego były straty po obydwu stronach. Największe straty polskie były pod Lasowcami. Pewną liczbę ludzi zabrano »za druty«. Dnia 2 czerwca 1943 okupant przy pomocy kilkunastu samolotów zbombardował polską wieś Sochy, resztę działań t.j. spalenie wioski i wymordowanie kilkuset osób dokonała policja. Odwetem ze strony Polaków był zbrojny napad na niemiecką wieś Siedliska, w wyniku czego zabito kilkunastu Volksdeutsche, część wsi spalono. Za to Niemcy zabrali z kościoła w Kosobudach podczas nabożeństwa kilkaset osób, z czego część wywieźli na roboty do Niemiec. Z Szewni zabrano do Siedlisk materiał budowlany.

Podobna walka z osadnictwem niemieckim w Zamojszczyźnie i z policją prowadzona była wszędzie, gdzie się dało.

Sprawozdanie Szefa Komisji Wyszędleńczej.

Po ukończeniu wysiedlań szef Komisji Wyszędleńczej w Zamościu złożył swym władzom sprawozdanie mniej więcej tej treści: wysiedlanie nie dało takich rezultatów jakie planowała komisja. Nie zabrano przewidzianej ilości i jakości ludzi z wiosek. Ludność była zawczasu dobrze zorientowana o wysiedlaniu i odpowiednio do tego przygotowana. Gros ludności, a przede wszystkim młodzież uniknęła wysiedlenia ewakuując się sama gdzie indziej lub uciekając do lasu i zasilając bandy. Mienie niszczone. – W swych uwagach sprawozdawca dodał, że metody wysiedlań były złe. Niepotrzebnie używano dużej ilości policji, przez co wywoływano panikę i ucieczkę ludzi. Nie było pożądanego zaskoczenia, wysiedlanie odbywało się z całą grozą dla ludności. – Ludność polska była naocznym świadkiem wysiedlań i likwidacji Żydów na miejscu. To budziło czujność Polaków i powiększało nienawiść ich do Niemców. Dalej radzi, by na przyszłość unikać masowych wysiedlań, nie wywoływać paniki. Należy uspić czujność opinii publicznej i wytłumaczyć, że wysiedlanie nie miało na celu wyniszczenia polskości, lecz dostarczenie ludzi do pracy i stworzenie w Zamojszczyźnie wału obronnego z Niemców przeciw bolszewizmowi, że ludności polskiej nie zagraża, że jej los przez to nie pogorszy się. Ponadto sprawozdawca

stwierdza, że wysiedlanie odbiło się ujemnie na gospodarce powiatu. Ludność wywiozła lub ukryła znaczną część zapasów żywności, skutkiem czego przybyłych osadników trzeba było zaopatrzyć w żywność. Wybitnie zmalały dostawy mleka i mięsa. Przydziały na kartki dla Niemców uległy z tego powodu uszczupleniu. Dalej stwierdza, że uważa wysiedlanie w powiecie zamojskim za ukończone.

Znaczenie wysiedlania dla Niemców.

Poza zadaniem ciosu Polakom Niemcy osiągnęli sukces organizacyjny. Zgrupowali pewną ilość rodzin niemieckich na określonym terenie stwarzając punkt obronny i przygotowując mężczyzn do walki na frontach. Nie osiągnęli w pełni planowanych rezultatów ani pod względem zasięgu terenowego, ani też pod względem spoistości narodowej. Przyczyniły się do tego opór i agresja Polaków, co dezorganizowało nie tylko komisję, lecz i osiedleńców, którzy niechętnie szli na wskazane miejsca i starali się o przydział miejsca bliżej miasta. Przez wysiedlenie Niemcy poznali hart ducha polskiego i zdolność do oporu, a nawet do agresji kierowanej przez czynniki podziemne. Gospodarczo Niemcy stracili wiele. Volksdeutsche trzeba było zaopatrzyć we wszystko, materiału zaś wojskowego armia miała z nich niewiele.

Skutki wysiedlań dla Polaków.

Wysiedlanie dało okazję do wypróbowania nerwów, scementowania myśli i wysiłków Polaków w celu wytworzenia postawy obronnej. Gospodarczo społeczeństwo zostało wyniszczone. Powiększył się zastęp ludzi bez środków do życia i bez dachu nad głową. Armia podziemna straciła tereny organizacyjne, które zostały rozdzielone, skutkiem czego utrudniona została łączność i dowodzenie. Nastąpiła częściowa dekonspiracja. Zmniejszyły się możliwości dobrego ukrycia broni. Stracone zostały źródła dochodu organizacyjnego. Jedynie ofiarność społeczeństwa pokonywała piętrzące się w tej sprawie trudności. Element słaby, zastraszone lub rzeczywiście zmuszony przeszedł na Volksdeutsche. Pozostała część społeczeństwa jako wypróbowana stanęła gotowa do walki z wrogiem. Walkę tę prowadzono konspiracyjnie i partyzancko.

Zamojszczyzna posiada bogatą ale i bolesną historię martyrologii i bohaterstwa polskiego podczas okupacji niemieckiej. Udział Zamojszczyzny w walce z wrogiem jest równocześnie wkładem polskim pod fundamenty przyszłego pokoju świata.

J. C.

WYSIEDLENIE SKIERBIESZOWA.

(27.XI.1942)

Już od szeregu miesięcy mówiono o wysiedleniu. W gminie Skierbieszów panował wielki ruch. Ludzie gromadzili się i jeden drugiego pytał: co to będzie? – co robić? – gdzie ja się podzieję? – mam małe dzieci, wyginiemy wszyscy. Byli i tacy, co twierdzili, że wszystkich wywiozą za Bug i tam dadzą gospodarstwa. Jeszcze inni mówili, że będą wysiedlać tylko małorolnych, większe zaś gospodarstwa zostaną nienaruszone. Krążyły różne zdania, że wysiedlania w ogóle nie będzie, tylko masowa łapanka młodzieży.

W takiej niepewności i napiętych nerwach żyła cała gmina. Były wieczory, że zbierali się młodzi ludzie należący do świata podziemnego i wspólnie układali różne plany. Nieraz zapadła decyzja, by nie dać się wysiedlić, by chwycić za broń, siekiery lub kosy i rznąć przeklętych Szwabów. Nikt z nas nie zdawał sobie sprawy, jak to wysiedlanie będzie wyglądało i jaka siła Niemców przyjedzie. Ludzie stopniowo przenosili się do innych wiosek w pow. hrubieszowskim lub krasnostawskim.

Zbliża się zima, jest już listopad. Któryś z sąsiadów dowiedział się, że »na pewno« 18 tego miesiąca będą wysiedlać. Dni są zimne; przeplatane deszczem. – Straszna panika ogarnęła mieszkańców. Wywożą żywność, nie śpią po nocach, ruch jak w Berlinie przed nalotem aliantów. 18-ty jednak minął. Ludzie przychodzą do siebie i stopniowo powracają do swych domów. – Hitlerowcy specjalnie puszczają pogłoski o tych terminach, by ludzi zmęczyć, odebrać im wiarę w wysiedlenie, a potem wpaść znienacka jak jastrząb i wszystkich porwać.

I to im się częściowo udało, bo po dwudziestym listopada większa część ludności przestała wierzyć w wysiedlenie. Byli jednak tacy, którzy ani na chwilę nie przestawali powtarzać swoim sąsiadom, że wysiedlą na pewno. Do tych ludzi należałem i ja. Wywiozłem z domu prawie wszystko, zostawiłem gołe ściany. Wydałem zarządzenie swoim ludziom, by w razie wysiedlenia wszyscy meldowali się u mnie na wsi Osiczyna w pow. hrubieszowskim.

Po całych nocach trzymałem posterunki alarmowe, by nie dać się zaskoczyć. – 26 listopada dowiedziałem się od policji, że wysiedlenie nastąpi rano 27.

Wiadomość tę rozesłałem po wszystkich wioskach. Zaczęto znów wywozić rzeczy. Wywożę i ja resztki z domu. Wieczorem zaczyna padać deszcz, błoto po kolana. Ojciec każe mi jechać jeszcze raz. Byłem strasznie zmęczony i śpiący:

– »Nie pojedę, niech się dzieje co chce, – kładę się spać«.

Babcia, 70-letnia staruszka, mówi:

– »Będę cię pilnowała, jeśli pokażą się jakieś światła na górze szparowej, obudzę cię«. – Góra szparowa to wzniesienie na szosie przed Skierbieszowem od strony Zamościa. Wzięła swą nazwę od gospodarza Szpary.

Spanie nie trwało długo, bo o godz. 2 w nocy babcia budzi mnie i pokazuje mi światła samochodów na szosie. Za parę minut przychodzą do mnie żołnierze z bronią i meldują, że przyjechały 4 taksówki i są u wójta Harlosa. Jest to Volksdeutsch, tępicieł Polaków. Nakazałem natychmiast alarm i wycofanie się całego plutonu na Osiczyń. Sam zostałem i pakuję resztki żywności na wóz. Za jakąś godzinę widać było długi sznur światel samochodowych. – Ależ tych drani jedzie – pomyślałem sobie, – wszystkich nas wyłapią, najgorzej z matkami i małymi dziećmi. Jak piorun trząsł, tak rozsypali się Niemcy i momentalnie obstawili Skierbieszów i wieś Sady. Było ich wszystkich ponad 300.

Dużo ludzi jeszcze spało, niektórzy zaczęli już uciekać. Ja wsiałam na furmankę i jadę w pole. Nagle słyszę – »Halt!«. Patrzę: stoi trzech żandarmów za wioską i kierują karabiny na mnie. Mam pistolet za pasem, biję się z myślami, – strzelać, czy może się wstrzymać? Przecież mogą być represje na sąsiadach. – Wstrzymuję się. Podchodzą do mnie i pytają:

– »Gdzie jedziesz?«

– »Do rodziny«.

– »Kto jesteś, Volksdeutsch czy Ukrainiec?«

– »Polak« – mówię.

– »Zawracaj konie, ty bandyto, pojedziesz z nami do Skierbieszowa przed szkołę«.

Źle jest, – myślę. Zawracam konia i jadę. Miałem możliwość ucieczki, jednak byłem ciekawy zobaczyć, jak to wszystko będzie wyglądać. Zwiąć im, zawsze dam radę.

Dojeżdżam do Skierbieszowa. Broń maszynowa stoi na stanowiskach, od gestapowców i żandarmów aż się roi. Ludzi cywilnych jeszcze nie widać, – ja jestem pierwszy. Przyjeżdżam na plac przed szkołę, dokąd spędzają wszystkich mieszkańców. Patrol żandarmów, który mnie prowadził, udał się do Gestapo. Ja zostałem. Zimno od cholery, deszcz jesienny mży. Na szczęście miałem ze sobą wódkę »kontyngentówkę« i nią się rozgrzewam. Po kilku minutach zjawia się przede mną oficer Gestapo. Zmierzył mnie dzikim wzrokiem i z miejsca zaczyna wrzeszczeć: – »Ty Polak, ty bandyta, was wszystkich trzeba wystrzelać i wymordować«. – Próbuję do niego przemówić. Nie da rady, rzuca się jak wściekły pies. Byłem pewny, że mnie zastrzeli. Próbuję jeszcze raz do niego przemówić. – »Milcz« – drze się dzikim głosem – »czekaj, aż tu przyjdę«.

Czekam więc dalej. Pędzą ludzi z tobołami. Jedni niosą pierzyny, drudzy dzieci, żywność itd. Każdy zabierał, co mógł, bo dano tylko 15 minut czasu. Ruch okropny, widowisko straszne, płacz matek i dzieci nie do wytrzymania. Gestapowcy i żandarmi popychają ludzi, biją kolbami, kopią butami, w ogóle znęcają się w nieludzki sposób.

Spotykam znajomych, kuzynów, księdza, aptekarza i innych. Przychodzą młodzi chłopcy, ja im daję wskazówki, gdzie i jak mają uciekać. Zebrała się cała gromada z księdzem Walczakiem na czele i robimy śniadanie. »Raz kozie śmierć« – mówi aptekarz – »napijmy się«. – Wyciąga z jednej kieszeni butelkę spirytusu, z drugiej kieliszek i zaczynamy. Na pohybel tym chamom. Wszyscy piją, – Szwaby się patrzą. Zaczyna wracać humor, planujemy ucieczkę i pocieszamy tych, co płaczą. Po kilku minutach przychodzi do mnie ten mój drański gestapowiec.

– »Co? wódkę masz?«

– »Mam, może się pan napije?«

– »Nie, mnie nie wolno, najwyżej mogę wziąć do kieszeni«.

Wsadziłem mu jedną litrówkę. Zaczyna z nami rozmawiać, stał się zupełnie innym człowiekiem. Mówi, że wszyscy młodzi i starsi zdolni do pracy pojadą na roboty do Niemiec, a tam jest bardzo dobrze, tylko trzeba pracować. Skoro już się wygadał, zacząłem mu przedstawiać swoją sprawę. Tłumaczę mu, że jestem z Dubienki pow. hrubieszowskiego, że przyjechałem tylko po rzeczy żony, bo tu miała

je u rodziny i tak kręcę jak mogę. Obiecuję dać mu kilka litrów wódki, pieniędzy, by tylko postarał się o moje zwolnienie.

– »Dobrze, postaram się«.

Poszedł do jakiegoś kapitana Gestapo.

– »Pokaż pan dowód« – mówi.

– »Nie mam, zostałem w domu, mam tylko metrykę urodzenia«.

– »Pokazać«.

Całe szczęście, że metryka moja była wystawiona w Dubience i to mnie uratowało, zostałem zwolniony z całym wozem i jego zawartością.

Wtedy gdy rozmawiałem z tym gestapowcem, odbywała się segregacja ludzi. Volksdeutsche odsyłali do domów, resztę zaś dzielili na dwie grupy. Jedną grupę ładowali na wozy forszpanowe i ustawiali w kierunku Zamościa, drugą grupę przesiedlali na wieś Zawodę, gdzie mieli być użyci jako robotnicy u Volksdeutsche. Setki furmanek ruszyły do Zamościa, drogą przez Huszczkę, słysząc było przy tym okropny płacz. Znęcano się strasznie. Dużo ludzi uciekło, większość jednak dostała się za druty, do baraków. Z baraków wywożono ich następnie do Oświęcimia, do Niemiec na roboty, a jeszcze innych na miejsce stracenia na Rotundę i na Majdanek.

JAN PACZEŚNY

AKCJA PACYFIKACYJNA W WYWŁOCZCE W 1943 R.

Wieś Wywłoczka wchodząca w skład gminy Zwierzyniec pow. zamojskiego przeżyła rok 1940 i 1941, podobnie jak i wiele innych wsi, w warunkach bardzo ciężkich.

Wczesną wiosną 1942 r. aresztowano tu kilku mężczyzn, mianowicie: Antoniego Czarneckiego, Franciszka i Czesława Ruszczyckich oraz Władysława Różyłę. Wywieziono ich do Biłgoraja, jednak po kilkunastu dniach udało się im zbiec z więzienia do lasu, do tego »domu« o bliżej nieznanym Niemcom adresie. Ludzie ci byli zmuszeni korzystać z gościnnych progów lasu, jednakowoż zamiast przyłączyć się do oddziałów dywersyjnych woleli na własną rękę uprawiać t. zw. »bandziorkę« i zasilać zrabowanymi rzeczami swoje rodziny. Dlatego też często pokazywali się w swojej rodzinnej Wywłoczce. Ludność

miejscowa obawiając się następstw, stosownie do zarządzeń, w każdym podobnym wypadku meldowała władzom niemieckim o ich pojawieniu się we wsi i stąd urobiła się nie bardzo słuszna opinia, że Wywłoczka to sami bandyci.

Tymczasem ci, którzy dali powód do tak ujemnego wyobrażenia o Wywłoczce, w dalszym ciągu uprawiali swe nieczne rzemiosło, zaczęli szukać swoich osobistych wrogów i dopuszczać się nie tylko grabieży, ale także gwałtów i morderstw.

I tak 1 listopada 1942 r. w nocy zabili oni w Wywłoczce Józefa Jonasa i jego syna Feliksa, a matkę ciężko poranili. – W Turzyńcu, wsi sąsiedniej, również w tym samym dniu zabili Budzyńskiego i jego dwóch synów Jana i Michała, a w Topólczy Świszka.

Ludność przewidywała wówczas smutny los Wywłoczki. I rzeczywiście w kilka dni później wieczorem zjechali do wsi żandarmi powiadomieni o ukazaniu się w Wywłoczce bandytów i otoczyli całą wieś. Winowajcy zdążyli zbiec, żandarmi zaś nie mogąc ująć winnych wybrali spośród ich rodzin 6 osób, które rozstrzelali na wygonie i tamże kazali pochować. Byli to Józef Czarnecki i jego żona Anna, Michał Golec z córką Ludwiką, Anna Ruszczycka i Stefania Różyło.

Po tych mrozących krew w żyłach wypadkach, po straceniu tylu niewinnych ludzi, wieś przestała zupełnie posyłać meldunki o pojawianiu się bandytów mniemając, że może w ten sposób odwróci się oko wroga od tej nieszczęsnej wsi. – Ale gdzie tam.

Po niedługim czasie Niemcy przypomnieli sobie znów o Wywłoczce i powodowani nie wiadomo czym wybrali 10 mężczyzn jako zakładników, wydarli ich rodzinom wśród przerażających lamentów, bo byli to zupełnie niewinni ludzie, wywieźli ich następnie na Majdanek, skąd po jakimś czasie wrócił jeden tylko Różyło, ale tak wycieńczony, że wkrótce zakończył życie.

Wróg jednak i teraz nie dał za wygrane. W lutym 1943 r. wzięto dalszych zakładników. Po obstawieniu wsi wybrano tym razem 26 mężczyzn i zaraz w tym samym dniu wywieziono ich do Zamościa. I znów cała wieś przeżywała bardzo ciężkie chwile.

Zdawało się, że już wreszcie dość będzie tej pokuty dla wsi za niepopołnione winy.

Jednak krwiożerczość niemiecka nie została jeszcze zaspokojona.

Nadszedł tragiczny dzień 31 marca 1943 r. Wczesnym bardzo rankiem wkroczyli do wsi od strony Zwierzyńca żandarmi i otoczyli

wieś dookoła. Część ich chodziła od domu do domu budząc wystraszonych i przerażonych ludzi i wyganiając ich na drogę. Łaskawie pozwolili zabrać ze sobą krowy i wozy z końmi. Kolbami karabinów popędzali opieszających, aby szybko, aby prędzej, gdziekolwiek zaś ta metoda bicia i kopania nie odnosiła skutku, nie wahali się strzelać.

I tak obłożnie chorą Teklę Zaburską z córką, która nie chciała opuścić chorej matki, wyprowadzili przed chatę i tu rozstrzelali. – W innym znowu miejscu młodzi chłopcy Władysław i Eugeniusz Ksiądz, którzy ociągali się z wyjściem chcąc ukryć się w obejściu gospodarskim, zostali również zabici. – Podobny los spotkał Adama Grełę, kołodzieja wioskowego, który będąc kulawym nie mógł iść.

W niespełna 15 minut wszyscy mieszkańcy Wywłóczki spotkali się na placu z majątkiem, który mieścił się przeważnie w koszykach i tobołkach. W oczach wszystkich malowała się trwoga. Między zebranymi było wielu takich, którzy nie zdążyli nawet porządnie się ubrać. Ludzie ze strachu i w pośpiechu potracili głowy, wkładali na siebie co było pod ręką, najczęściej co gorsze, robocze ubrania, zostawiając okrycie bardziej wartościowe.

Ranek był słoneczny, lecz wiał bardzo przejmujący chłodny wiatr. Nic więc dziwnego, że trzygodzinne stanie na dworze w czasie takiej zimnicy odbiło się później ujemnie na zdrowiu Ludzi, zwłaszcza dzieci.

Przeciwnym brzegiem rzeki siedł w tym czasie Jan Romaszko zamieszkały na Bagnie oddzielonym od Wywłóczki rzeką Wieprzem. Szedł do pracy do Zwierzyńca. Niemcy stojący nad brzegiem rzeki kazali mu przyjść do siebie, a ponieważ Romaszko przez chwilę ociągał się z wejściem do zimnej wody, więc posłano mu kulę, która niestety z odległości 20 mtr musiała być trafna.

Trzy godziny długiego, męczącego wyczekiwania wlokły się leniwie. Zegnani stali jakby oszołomieni z trwogą spoglądając na swoje dzieci, a znając bestialstwo wroga snuli najrozmaitsze domysły co do przyszłych swoich losów.

W tym samym czasie, kiedy tak różnorodne, bolesne uczucia targały sercami zebranych, żandarmi przeprowadzali haniebną rabunkową łupieżkę ludzkiego pozostawionego w domach. Lepsze rzeczy, jak maszyny do szycia, ładniejsze meble, kożuchy, ubrania, kilimy itp. co tylko przedstawiało większą wartość, załadowano na samochody i wywieziono do Zwierzyńca.

Wreszcie po 3-godzinnyim wyczekiwaniu przyszedł dalszy, nie wiadomo co kryjący w sobie, rozkaz oprawców: – »Mężczyźni na drodze, w kolumnie trójkowej! Zbiórka!«

Chwila bardzo ciężka. – Wszak rozkaz ten przynosił rozdzielenie rodzin. Kobiety i dzieci zaczęły cicho płakać. Gdzeniegdzie słyhać było głośniejszy lament. Niektórzy mężczyźni żegnali się z rodzinami niepewni – na zawsze, czy na krótki tylko czas. Inni nie chcąc powiększać rozpacz i bólu swych rodzin, z trudem wypowiadali jedno tylko słowo »do widzenia« – nie wiedząc, na tym, czy na tamtym śmiecie.

Wreszcie wśród krzyków i popychań mężczyźni ustawili się w kolumnę, po czym pod bardzo liczną eskortą ruszyli z miejsca.

Marsz odbywał się w milczeniu. Ludzie szli jakby nieprzytomni. Serca ich przeszywał ból nie do opisania. Wszak tam we wsi zostały matki, żony i nieletnie dzieci, a oni oderwani od rodzin idą w nieznane.

Ból ten powiększył się jeszcze, kiedy w pewnym momencie dały się słyszeć dwa strzały, po których przestały bić dwa serca ludzkie. To padli dwaj gospodarze łożożny Piotr i Pacyk Mikołaj, którzy będąc w podeszłym wieku nie mogli nadążyć w marszu.

Nie jeden z idących w bezsilnej wściekłości zaciskał pięści i do krwi gryzł wargi.

Wreszcie kolumna dotarła do celu czyli do obozu otoczonego wysokimi zasiekami z drutu kolczastego. Wpędzono wszystkich do baraków. Odpoczynek!..

Ale myśli odpoczynku nie znają. Co będzie dalej?

Dały się właśnie słyszeć wybuchy granatów zapalających, a po nich po chwili ukazały się kłęby czarnych dymów, – to zaczęła się palić cała Wywłoczka. Tam, o dwa kilometry od obozu, długoletnia praca ludzka zamieniała się w bezwartościowy popiół. Lecz serca mężczyzn już skamieniały i nie było szlochów ani lamentów.

W ogniu spalała się broń, rwały się granaty i amunicja przechowywane jak relikwie przez żołnierzy z myślą o tym momencie, kiedy przyjdzie rozkaz: »Do broni!«

W tym czasie ukazał się tabor złożony z niewiast i dzieci, wozów i bydła. – Kobiety i dzieci miały również bardzo ciężkie przeżycia...

Zaraz po odejściu mężczyzn ogarnęło je jakieś oszołomienie, chwilowe odrętwienie i dziwna zaciętość. – Złowroga cisza zaległa

plac jakby przed burzą, która rzeczywiście zaraz nadeszła, bo oto żandarmi wydali rozkaz wymarszu.

Wszystko się zakotłowało. Matki biorą na ręce dzieci, każda chwyta jakiś tobołek czy koszyk. Ruszają wozy z różnym dobytkiem, za nimi idą krowy. Jakaś kobieta zabiera kozę – jedyną żywicielkę.

Pochód szykuje się. Pędzeni mijają przydrożną figurę, przyklekają, modlą się, jakby wzywając Boga na świadka, że dzieje się im straszna krzywda.

Rzewnym wzrokiem spoglądają kobiety po całej wsi i żegnając się krzyżem świętym idą prędko i znikają na zakręcie, bo już słyszą nawoływania w znienawidzonym niemieckim języku. Należało się mieć na baczności i pilnować szeregu, bo łatwo można było pozostać na miejscu, ale już na wieki.

Więc szły. Pospuszczały głowy i szły, a raczej wlokły się i towarzyszyły im straszne myśli.

Po obu stronach drogi w przydrożnych rowach leżą męskie trupy. Na ten widok podnosi się w szeregach cichy jęk. Niektóre poznają w zabitych swoich najbliższych. Ach Boże! Więc to pożegnanie na placu było naprawdę ostatnim.

Idą dalej, ale lęk je ogarnia i boją się spojrzeć w bok, bo nie wiedzą, czy o kilka metrów dalej nie zobaczą znowu jakiejś ofiary niewinnej, może swego ojca, syna czy brata.

Już Niemiec prowadzący pochód skręcił na szosę w kierunku Zwierzyńca, zmniejszyło się przy tym zamieszanie. Wtem z ust przeszło pół tysiąca kobiet i dzieci wyrwał się krzyk: – »Nasza wieś się pali!«, bo odwróciwszy głowy zobaczyły nad opuszczoną wioską kłęby czarnego dymu. Rozległ się rozdzierający jęk...

Tymczasem dziwnym sposobem eskortujący Niemcy zostali daleko w tyle. Korzystając z tego niektóre kobiety i dzieci zaczynają skręcać w bok, jedne do fabryki, drugie w kierunku lasu, inne do parku, część znajduje schronienie w prywatnych domach, reszta zaś zostaje doprowadzona za druty, do baraków.

Tym sposobem za drutami znaleźli się prawie wszyscy mieszkańcy Wywłoczki z wyjątkiem zabitych i tych kobiet i dzieci, które korzystając z okazji uciekły po drodze.

Mężczyźni jako bardziej niebezpieczni zostali umieszczeni pośród baraków otoczonych podwójnymi zasiekami. Kobiety i dzieci z całym dobytkiem zatrzymano za drutami pojedynczymi.

Wszyscy zaczęli wypatrywać swoich najbliższych, a kobiety korzystając z nieuwagi wartowników zaczęły przerzucać przez druty żywność dla mężczyzn, którzy w pośpiechu przeważnie nic ze sobą nie zabrali. Niektóre kobiety wypatrzywszy odpowiednią chwilę zdołały przeczołgać się pod drutami i wydostać się na wolność. Ucieczki próbował również i Szuty Leonard, jednak podczas przechodzenia przez zasieki ugodzony niemiecką kulą zawisnął na drutach.

W niedługim czasie kierownicy różnych instytucji i fabryk w Zwierzyńcu zaczęli robić starania o zwolnienie swoich pracowników. Na skutek tych starań część mężczyzn została zwolniona do pracy. Co parę godzin wyczytywano po kilkanaście nazwisk. Wyczytani natychmiast opuszczali obóz, pozostali zaś wyciągali do nich ręce błagając o ratunek, by będąc na wolności pamiętali o nich.

Tymczasem lunął ulewny deszcz, który zaczął gasić kończącą się palic Wywołczkę, ludzie zaś przebywający za drutami drżeli z zimna i z rozpaczą myśleli o nadchodzącej nocy.

Tym razem jednak »szczęście« im sprzyjało, gdyż ogłoszono rozkaz, że kobiety i dzieci mogą wracać do swoich... domów.

I wróciły. – Jednak na miejscu, gdzie stały ich zabudowania, sterczały już tylko kominy, a naokoło leżały kupy gruzów wymownie świadczące o barbarzyństwie Niemców.

Ludzie rozpoczęli poszukiwania w zgliszczach spodziewając się znaleźć jeszcze cokolwiek, co dla nieposiadających nic byłoby teraz bardzo przydatne. Tu odkopano jakieś naczynie, tam żelazko, gdzie indziej w piwnicy ocalały ziemniaki itp.

Szukali i Czarneccy na swoich zgliszczach. Szukali i znaleźli... Martwe ciała swoich dwóch synów, którzy nie chcąc poddać się wysiedleniu ukryli się w piwnicy w nadziei, że tu ocaleją.

Kończy się dzień 31 marca 1943 r. W ciągu dwóch następnych dni zwolniono dalszą część mężczyzn, zostawiono tylko 20, których wywieziono do obozu w Zamościu.

Po kilku tygodniach i tych 20 wypuszczono na wolność.

Zdawaćby się mogło, że właściwie tragedii z tej akcji pacyfikacyjnej robić nie można. Lecz ktoby tak sądził, myliłby się bardzo, bo przeżycia tego jednego dnia, każdej jego godziny, a nawet minuty

wyryły się w duszy każdego Polaka jako ogromna krzywda i równocześnie jako dług, który musimy Niemcom spłacić. – I spłacimy.

Jakie uczucia targały wtedy duszami ludzkimi, – opisać trudno. To wiedzą tylko ci, którzy przeżyli je w Wywłoczce, w Sochach i w wielu innych wioskach Zamojszczyzny.

KAZIMIERA ŚWITAJOWA

PACYFIKACJA WSI SOCHY

Dnia 1 czerwca 1943 r. straszną tragedię przeżyła mała wieś Sochy gminy Terespol. Rankiem około godz. 5 otoczyli ją Niemcy, – specjalne oddziały z Zamościa, t. zw. »Sonderkommando«, w których skład wchodziło Gestapo, Schutzpolizei i Ukraińcy będący w służbie niemieckiej, popularnie zwani »trawnikami«.

Wieś Sochy ciągnie się długim pasem przy drodze przytykając jednym końcem do lasu. Po obu stronach wsi są wysokie wzgórza, poza którymi do ostatniej chwili ukrywali się Niemcy przybyli od Zwierzyńca i od Biłgoraja przez sąsiednią wioskę Szozdy.

Niemcy wpadali do mieszkań, zabijali ludzi i podpalali zabudowania. Domy zajmowały się jeden od drugiego, przerażeni ludzie uciekali, a wówczas bez wyjątku i bez litości zabijano mężczyzn, kobiety i dzieci. Zabijano kobiety w ciąży, niemowlęta przy piersi matek, dzieci uciekające z rodzicami. Niektóre z nich klękały błagając o darowanie im życia, ale to nie wzruszało dzikich oprawców.

Rzucano ludzi żywcem w ogień, dobijano rannych. A byli wśród Niemców i tacy, co czynili to z sadystyczną rozkoszą i śmiejąc się szatańsko. Ludzie przeważnie byli tak zaskoczeni, zerwani nagle ze snu, że wcale się nie bronili. – Znalazł się jednak chłop, który wyrwał Niemcowi karabin i ze straszliwą siłą i pasją roztrzaskał go o słup, a sam został zabity na miejscu przez drugiego Niemca. Dlaczego nie grzmotnął tym karabinem Niemca? Pozostanie to zagadką psychologiczną ginącego człowieka.

Ludzie uciekali w pola i do lasu, lecz wszędzie spotykali swych katów i ginęli.

Około godz. 8 oddziały piesze po krwawej rzezi wycofały się ze wsi, a dla dokończenia dzieła zniszczenia nadleciały niemieckie samoloty w liczbie około 10 i zrzuciły kilkanaście bomb na pola sąsiadujące z domami, gdzie spodziewano się znaleźć ukrytych ludzi. Ci »bohaterscy« lotnicy zniżali się nad same zboża wypatrując resztek żywych ludzi i siekli z karabinów maszynowych. Były to ich »ćwiczenia praktyczne«.

Od bomb i kul znowu zginęło kilkanaście osób.

Gdy odleciały samoloty i odjechali wszyscy Niemcy, została po nich tylko paląca się wieś, a wśród gruzów i zgłiszcz długo jeszcze rozlegały się rozpaczliwe krzyki rannych i ryk poparzonego bydła.

Po pewnym czasie przybyli ludzie z sąsiednich wsi. Zobaczyli straszny obraz: dymiące zgłiszcza i wszędzie dookoła na drogach, w ogrodach, po polach, po lesie setki trupów. Gdźieniedzie leżało po kilkanaście osób. Dużo rodzin wybito co do nogi. – Okropny widok przedstawiały zwęglone zwłoki, na które nie mogli patrzeć najbardziej nerwowo wytrzymali ludzie. – Przede wszystkim szukano rannych, by im udzielić pomocy. Niektórych opatrzone na miejscu, innych odesłano do szpitali. – Daleko w zbożu znaleziono martwą kobietę, a obok niej dwoje żywych bliźnięt, niemowląt 3-miesięcznych. Jakimś cudem dzieci te ocalały. – Jedna kobieta została postrzelona w ramię w chwili, gdy zastraniała sobą męża, z różańcem w ręku prosząc, by go nie zabijano. Lecz to nic nie pomogło. – Przy trupach kobiet i mężczyzn znajdowano konwulsyjnie rączkami uciepione do nich dzieci, – również martwe. – Trup jakiegoś mężczyzny w pozycji na pół klęczącej obejmował drzewo. – Niektóre trupy starszych gospodarzy trzymały w zaciśniętej kurczowo dłoni święty obrazek.

Przez kilka dni zbierano trupy w różnych miejscach, zanim pochowano je w zbiorowych mogiłach pod lasem.

Z liczby około 600 mieszkańców wsi zabitych i rannych było przeszło 400. – Zabito kilkunastu ludzi z innych wsi przypadkowo znajdujących się wówczas w Sochach. Niektórzy zaś mieszkańcy Sochów ocalili jedynie dzięki temu, że owej nocy nie byli w domu. Nie wielu udało się uciec w czasie akcji.

Za co taki los spotkał wieś? Była to spokojna wioska, a ludzie ubodzy na piaszczystej glebie. Nigdy nie było wśród nich żadnych »bandytów«. Zapewne za to, że udzielali czasem gościny polskim partyzantom przychodzącym z lasu.

WYSIEDLENIE I PACYFIKACJA GMINY ALEKSANDRÓW W 1943 R.

Nie przebrzmiały jeszcze echa dzikiego nalotu i zniszczenia wsi Sochy pod Zwierzyńcem, a już nadchodzą wieści o grożącej akcji pacyfikacyjnej i wysiedleńczej, jakie przygotowuje »niezwyciężona armia niemiecka« w walce z bezbronną ludnością polską i z niemowlętami.

Pierwszy czerwca 1943 r. będzie pamiętnym dniem barbarzyńskiego napadu najeźdźcy na spokojnych mieszkańców miasteczka Józefowa, którzy po przetrzymaniu bombardowania zaatakowani zostali przez dobrze uzbrojony większy oddział Niemców.

Lecz nie sądzona była jeszcze całkowita zagłada. – Zdesperowana młodzież stawiała czoło zbliżającym się wrogom i po kilkugodzinnej walce zmusiła ich do ustąpienia. Niemcy wśród nocy chyłkiem wycofali się do oczekującej w odległości dwóch kilometrów pancerki i Józefów na razie ocalał unikając losu Sochów.

Od tej chwili Józefów żartobliwie nazywano »Rzeczpospolitą Józefowską«.¹⁾

Przez pewien czas nic nie mąciło tu spokoju i ciszy. Widocznie Niemcy nauczeni doświadczeniem zaniechali napadów oddziałami składającymi się z kilkuset ludzi i zaczęli skrycie przygotowywać wypad dobrze obmyślany i planowy. I rzeczywiście niedługo trwał spokój i pocieszenie się ludności, że Niemcy pominęli już nasze strony.

Koło 20 czerwca lotem błyskawicy rozchodzi się wiadomość, że według planu z r. 1941, – który dostał się w ręce naszego dowództwa, – zostaną wysiedlone wszystkie wsie gminy Aleksandrów, równocześnie dochodzi druga wiadomość, że rozpoczęła się już akcja pacyfikacyjna w południowej części powiatu biłgorajskiego. – W akcji tej, prócz specjalnych oddziałów wysiedleńczych prowadzonych przez wyrafinowanych zbrodniarzy z SS i z Gestapo, bierze udział około 20 tysięcy wojska ściągniętego z różnych stron.

¹⁾ W r. 1944 i Radecznice przezwano »Rzeczpospolitą Radecznicką«, ponieważ Niemcy rzadko tam się pokazywali i mieszkańcy korzystali z większej swobody niż gdzieindziej (*Przyp. red.*).

W nocy z 23 na 24 czerwca cała gmina Aleksandrów jest otoczona, patrole rozstawione są na wszystkich przejściach. Od wczesnego ranka 24.VI słyszę warkot samochodów na drodze Zwierzyniec – Józefów. To dalsze posiłki. Idą wojska zmotoryzowane. Na pozycje środkowe ciągną czołgi dla likwidowania »nieprzyjaciela« w kotle. Ubezpieczone przednimi i bocznymi patrolami przeszukującymi najbliższe zarośla wkraczają do wiosek. Krążą samoloty wywiadowcze. Czuwają nad sytuacją, obserwują ruchy wyludniających się w pobliże lasy wiosek. Wróg kolejno zajmuje prawie puste wsie. Ludność uprzedzona kryje się w lasach, wąwozach i specjalnych schronach przygotowanych do tego celu. Część ludności, nie wierząc jeszcze w brutalność i bezwzględność Niemców, pozostaje na miejscu, mianowicie starcy, matki z małymi dziećmi i po kilkunastu mężczyzn w sile wieku.

Rozpoczyna się szczegółowe poszukiwanie »bandytów«. Przede wszystkim ludność, jaką zastano we wsiach, spędzono do kościołów, względnie na place, otaczając ich silną wartą i przystąpiono do rewizji domów, aby, – jak mówiono, – sprawdzić, czy nie ukrywają się gdzie bandyci. Cokolwiek znaleziono w zabudowaniach mniej lub więcej wartościowego zniknęło bezpowrotnie. W ogóle wszystko stało się pastwą rozwścieczonej tłuszczy niemieckiej. Po przeprowadzonej rewizji każde gospodarstwo przedstawiało obraz całkowitej ruiny. Inwentarz żywy puszczonej luzem trawiał pola z wyjątkowo pięknymi w tym roku zasiewami. Żołdactwo na koniach, motocyklach i pieszo szukając ludzi po polach dopełniało zniszczenia.

Od czasu do czasu słychać było wybuchy pocisków armatnich. To działa ustawione w okolicy Biłgoraja wspomagają swym ogniem idącą naprzód »dzielną armię« zbrodniarzy. – Ustawiczna strzelanina z karabinów maszynowych, warkot motorów, ryk bydła, krzyki i nawoływania żołnierzy, płacz dzieci i kobiet pędzonych na miejsce zbiórki stwarzały obraz trudny do opisanego. – To nie jest XX wiek kultury. To czasy krzyżackich napadów na bezbronnych mieszkańców wsi, porwania niewiast i dzieci. To rzeź ludzi, którzy ośmielają się myśleć i mówić po polsku.

Następuje teraz wywożenie do obozów w Zwierzyńcu, w Zamościu i w Lublinie. – Po przejściu kilku lub kilkunastu kilometrów pieszo do stacji zaczyna się dalsza część tortur. Pomimo gorących,

upalnych dni, poniewieranych, popychanych i bitych umieszczano w po brzegi natłoczonych, szczelnie zamkniętych wagonach.

Zabranych ludzi dzielono na trzy kategorie:

- a) podejrzanych,
- b) przeznaczonych do wysiedlania,
- c) nadających się na roboty rolne do Niemiec.

Podejrzanych wywożono przeważnie do Zwierzyńca. Tu podczas badania wielu ludzi poniosło śmierć wskutek pobicia za to, że »nic nie wiedzieli o różnych bandach leśnych«, czy też o osobach biorących udział w pracy niepodległościowej. – Zakwalifikowanych do wysiedlenia, względnie na roboty, kierowano do Zamościa lub do Lublina, skąd po kilkotygodniowym znęcaniu się wywożono dalej – do Niemiec albo do innych powiatów, najczęściej do puławskiego i lubelskiego. Wielu też trafiło do Majdanku.

W ciągu kilku dni wywieziono z terenu gminy Aleksandrów około 3.000 ludzi. Lecz akcji na tym nie zakończono. Przez pewien czas wciąż jeszcze poszukiwano ukrywających się. Pozostała ludność, – a gmina liczyła wówczas około 7.000 mieszkańców, – rozpiezchła się po innych wioskach, przeważnie w sąsiednich powiatach, względnie schroniła się w niedostępnych miejscach w lesie. Przebywała tam przez cały czas trwania akcji, nieraz po kilka dni bez pożywienia. Niemcy przeszukując pola natrafiali czasem na ukrytych mężczyzn i tych rozstrzeliwali na miejscu. Znaleźli kilka schronów, w których ukrywały się liczne nieraz rodziny, a w jednym wypadku wymordowali wszystkich rzuciwszy granaty do wnętrza.

Przez trzy dni i trzy noce ludność przedzierała się poprzez patrole i linie niemieckie usiłując w ten sposób ratować swe życie i często pod gradem kul z ręcznej broni maszynowej i z granatników kierowała się na tereny już spacyfikowane. Niekiedy w nocy ostrożnie skradające się grupki ludzi natykały się na gniazda karabinów maszynowych. Oświetlano wówczas las rakietami świetlnymi i z różnych stron zaczynały odzywać się KM-y. – Często trzeba było zmieniać kierunek ucieczki, żeby ominąć snujące się patrole. Dużo mężczyzn ratowało życie ukrywając się w lesie na gęstych jodłach, gdzie siedzieli po kilka dni, dla bezpieczeństwa przywiązując się do drzewa.

Zimna krew i rozważa wielu ludzi uratowała od śmierci, względnie od obozów koncentracyjnych.

Na zakończenie tej »pacyfikacji« i wysiedlenia spalono we wsi Aleksandrów około 100 gospodarstw i rozpoczęto drugą fazę akcji, mianowicie nasiedlanie opuszczonych wsi przez Ukraińców wysiedlonych z innych powiatów. Tu działała »Komisja przesiedleńcza« – Już w pierwszych dniach lipca od strony powiatu tomaszowskiego ciągnęły do naszych wiosek długie sznury wozów z Ukraińcami, których też przemocą usunięto z ich gospodarstw zabierając je dla różnych Volksdeutscheów.

Przywieziono 320 rodzin. Nasiedleni Ukraińcy umieszczeni zostali we wsiach Stanisławów, Długi Kąt, Hamernia, Aleksandrów i w osadzie Józefów. Największą ilość, bo 200 rodzin, przydzielono do Aleksandrowa i tam przez kilka tygodni geometrzy wprowadzali je na poszczególne skomasowane gospodarstwa. – Nasiedlonymi przeznaczonymi do innych miejscowości mniej się interesowano, toteż po bezskutecznym oczekiwaniu na przydział gospodarstwa po kilku dniach rozjechali się w swoje strony zabierając część inwentarza i zboże. Tak było np. w Długim Kącie.

Ukraińcy nasiedleni w Aleksandrowie otoczeni byli specjalną opieką. Osadzono tu silną załogę policji niemieckiej i ukraińskiej. Policja ta w dalszym ciągu patrolując tereny wyłapywała ludzi, którzy nie zdążyli przenieść się do sąsiednich wsi, dotychczas jeszcze nie wysiedlonych, a równocześnie wraz z nasiedlonymi czyniła dalsze spustoszenie w gospodarstwach, brała udział w masowym uboju bydła, wywożeniu zboża i reszty inwentarza.

Stan niepewności ludzi ukrywających się i tych nielicznych, którzy pozostali na miejscu, trwał mniej więcej do końca września. W międzyczasie zorganizowano wydawanie dowodów osobistych ukrywającym się a także tym wysiedlonym, którzy powoli zaczęli powracać w swoje strony.

Smutny był widok ludzi, którzy z trudem mogli się poruszać. Po przejściu trzechmiesięcznej kwarantanny w obozach przesiedleni do powiatu puławskiego lub lubelskiego starcy, kobiety, dzieci, względnie całe rodziny, uciekają i pieszo wędrują chcąc być bliżej swych domów. – Wracają często w uszczuplonym gronie, bo w drodze dzieci marły z głodu lub chorób. Wszyscy wynędzniali i trudni do poznania.

Spotkałem raz znajomego gospodarza z Aleksandrowa powracającego z rodziną wprost z obozu. Mężczyzna lat około 50, poprzednio zdrowy i czerstwy, jego żona i dwoje dzieci to jakby cienie ludzkie (troje dzieci zmarło w Majdanku). Dwukilometrową przestrzeń

od stacji do najbliższego osiedla wlekli się całe trzy godziny. Byli tak wyczerpani, że co chwila musieli odpoczywać.

Powracającymi zaopiekowała się Delegatura Pol. Kom. Opiek., której członkowie pracowali w różnych miejscowościach gminy kryjąc się przed łapankami. Umieszczano tych tułaczy bez dachu nad głową, prawie gołych, bez kawałka chleba, w sąsiednich wsiach.

Rozpoczęto starania o oddanie do użytku powracającym gospodarstw dotychczas nie przydzielonych, co się częściowo udawało. Jednak wielu w obawie przed ponownym wywiezieniem wołało przenosić się z miejsca na miejsce, aby nie spotykać się z »opiekunami«. Bo patrole kręciły się ustawicznie, a od czasu do czasu do różnych wsi wpadali Schupowcy z bandą zwaną »Komisją Wysiedleńczą« na czele.

Chociaż nadszedł już październik, jednak było jeszcze ciepło, można więc było na razie przebywać gdziekolwiek bądź. Ludzie miejscowi doświadczywszy na sobie skutków pacyfikacji dzielili się z bezdomnymi czym mogli, utrzymując setki nędzarzy. Nie pomagały zarządzenia, że nie wolno przyjmować wysiedlonych, których liczba wzrastała coraz bardziej. Lecz powracającymi zaczyna interesować się również i policja aleksandrowska. Robi wypadki do tych miejscowości, w których jest najwięcej wysiedlonych. Aby nie narażać gospodarzy, u których mieszkają, ci w popłochu kryją się gdzie mogą aż do chwili odejścia policjantów.

Sytuacja jest bardzo ciężka, dłużej nie do wytrzymania. Kryjący się w pobliskich lasach mężczyźni z wysiedlonych miejscowości, a szczególnie z Aleksandrowa, organizują samoobronę. Przy pomocy oddziałów partyzanckich działalność policji zostaje ograniczona. Pod obawą rozbrojenia policjanci siedzą na miejscu w warownych bunkrach otoczonych drutami kolczastymi.

Minęła już pierwsza połowa października, a wielu wciąż jeszcze prowadzi żywot tułaczy, troszcząc się o to, co przyniesie zima, szczególnie zaś rok następny. Nasiedleni nie myślą o uprawie pól i o zasiewach. Krążą wiadomości, że po oddaniu kontyngentów mają oni wyjechać. Wobec uspokojenia się policji niemiecko – ukraińskiej, jak również wobec usiłowania nawiązania dobrych stosunków z prawymi właścicielami gospodarstw przez nasiedlonych Ukraińców, znaczna część ludzi wraca do Aleksandrowa, oprócz mężczyzn młodych, względnie w sile wieku. W wielu miejscach zaczyna się uprawa pól pod zasiewy.

Jak ciężka była praca nad zorganizowaniem gospodarstwa, bez inwentarza, bez narzędzi, a nawet garnka na ugotowanie strawy, to może osądzić tylko ten, kto na to patrzył. W dodatku było się świadkiem, jak czasowi przybysze w dalszym ciągu niszczyli resztę dobytku.

Lecz niedługo to już trwało. Coraz bardziej zagrożona policja w dniu 22.X wyjeżdża wreszcie z Aleksandrowa; a wieczorem wieś zostaje zajęta przez polskie oddziały partyzanckie i gospodarstwa oddane w ręce prawych właścicieli. Odebrano cały dobytek, jaki Ukraińcy usiłowali sobie przywłaszczyć. Następnego dnia musieli oni wyjechać, zabierając z sobą tylko to, co było ich faktyczną własnością.

Tak zakończyła się gehenna Aleksandrowa i okolicy. Ci co byli w pobliżu natychmiast pośpieszyli do swych obejść. Inni ścigali z dala. – Ogarnęła ich straszna rozpacz. Wszędzie pustki. Niespalone domy częściowo rozebrane, bez okien, bez drzwi, tylko wiatr hula po mieszkaniu.

Każdy z wysiedlonych przed wygnaniem zdążył schować w ziemi nieco dobytku, trochę »łachów« – co lepsze. Teraz ma nadzieję, może się coś uratowało. – Niestety, wszystko znikło. Wykopano z ziemi, zabrano, prawie nic nie pozostało.

Dzielni ludzie niedługo rozpaczali. Prędko się podnoszą – twarzą, bo wychowani w ciężkiej pracy wśród lasów, zahartowani, bo przechodzili nie pierwszy najazd hordy. Przecież sierpień 1942 i luty 1943 r. zabrał również wiele ofiar i przyniósł dużo strat materialnych przez rabunek i zniszczenie. Gdy się przejeżdża przez wsie zniszczone podczas pacyfikacji i wysiedlania, wszędzie widzi się strasliwą pustkę. Tam, gdzie rok temu kwitło życie, – dziś cisza, jakby wszystko wymarło. Z rzadka tylko spotyka się człowieka, – dawniej uśmiechniętego, dzisiaj ponurego i mało mówiącego. W olbrzymiej wsi Aleksandrów o długości 8 klm, posiadającej 3.500 mieszkańców – pustki.

Nie lepiej w innych miejscowościach.

Józefów! Ruchliwe miasteczko, nie dające się wyprzedzić w żadnych poczynaniach, przedstawia widok przejścia największego zniszczenia. Głusza całkowita, rynek i ulice zarosły trawą. Prócz wałęsających się psów nie widać nikogo. Czasem tylko szybko przebiegnie bocznymi uliczkami, jak gdyby gonione, widmo człowieka rozglądające się na wszystkie strony. Po Aleksandrowie wywieziono

stąd największą ilość mieszkańców. Pozostali tylko ci, którzy ukryli się lub wyjechali poza obręb pacyfikowanych miejscowości.

I tych pozostałych i powracających ogarnia teraz jedno wspólne uczucie: – chęć zemsty i odwetu! Uczucie to się wzmacnia, gdy się spojrzysz na bilans całej tej barbarzyńskiej akcji wysiedlania i pacyfikacji.

Oto cyfry:

Zabitych	– 192 mężczyzn,	32 kobiety,	29 dzieci.	Razem 253.
Wywiezion.	– 424	„ 695	„ 212	„ „ 1331.
Zaginionych	– 9	„ –	–	„ 9.
Rannych	– 3	„ –	–	„ 3.
Spalonych domów mieszkalnych 191, budynków gospod. 188.				
Zrabowano inwentarza:				
Drób	– 8.952 szt.			
Konie	– 947	„		
Krowy	– 1,997	„		
Świnie	– 71	„		
Owce	– 4	„		

Dr ZYGMUNT KLUKOWSKI

WYSIEDLENIE SZCZEBRZESZYNA I UTWORZENIE GMINY NIEMIECKIEJ

Akcja wysiedleńcza rozpoczęta w listopadzie 1942 r. w Skierbieszowie i otaczających go wsiach wywołała niemałe wrażenie na wszystkich mieszkańców Zamojszczyzny. Nieustannie zaczęły krążyć plotki i domysły, jakie miejscowości z kolei mają być wysiedlone. Ludzie żyli w ciągłym strachu i wyczekiwaniu. Nieraz nawet dłuższe przerwy w akcji wysiedleńczej uspokajały nerwy i umysły, lecz potem wznowienie wysiedlania tym więcej ludzi zatrząsało.

Na wiosnę 1943 r. fala wysiedleń doszła do okolic Szczebreszyna. W czerwcu już głośno mówiono, że akcja ta Szczebreszyna nie ominie.

Dn. 21 czerwca niespodziewanie zamknięto Urząd Pocztowo-Telegraficzny. Wyłączono wszystkie telefony. Zostaliśmy odcięci nie tylko od świata, lecz nawet od najbliższych miasteczek.

Wieści o mającym nastąpić wysiedleniu stale przybierały na sile. Noc z 28 na 29 czerwca przeszła w bardzo silnym zdenerwowaniu. Większość mieszkańców nie spała, ludzie na gwałt pakowali się, nie bacząc na godziny policyjne coraz to wychodzili na ulicę i lada chwila oczekiwali rozpoczęcia się akcji wysiedlania.

29 czerwca od świtu niepokój jeszcze bardziej się wzmógł. Postępowki żandarmerii i policji nie wpuszczały nikogo do miasta od strony Rozłop i od cukrowni, nie wypuszczały też nikogo z miasta, nawet robotników zatrudnionych na lotnisku i w cukrowni.

30 czerwca pod wieczór niektórzy trochę się uspokoili, inni zaś nadal trzęsą się ze zdenerwowania i niepokoju o dalszy los. Późnym wieczorem wskutek nadeszłych wiadomości o rzekomym wysiedleniu Tarnogrodu i wobec zjawienia się w mieście gestapowców nagle ogarnęło ludzi przerażenie. Lecz noc przeszła zupełnie spokojnie.

Dnia 1 lipca gdzieś na »Domkach« pod cukrownią zaczęła się jakaś tajemnicza »akcja kontrolna«. Była godzina 11 rano. Zjawili się pierwsi aresztowani. W mieście zapanował nad wyraz ciężki nastrój.

O godz. 4 po południu na ulicach i na rynku pełno już było żołnierzy Schupo, żandarmów itp. Na szosie zwierzynieckiej, od mostu aż do szlakówki i dalej stał długi sznur ogromnych pustych ciężarówek przeznaczonych do przewożenia wojska.

Wtem na drodze z Brodzkiej góry ukazała się pierwsza liczna grupa zatrzymanych mężczyzn, następnie co jakiś czas prowadzono większymi i mniejszymi grupkami od strony Brodów aresztowanych, wyłącznie mężczyzn. Na razie wahano się i nie wiedziano, gdzie tych aresztowanych umieścić. Wreszcie zaczęto wprowadzać wszystkich do starej zniszczonej bożnicy żydowskiej.

Prowadzono już małymi grupkami i mężczyzn z miasta. Brano ich z mieszkań, biur, urzędów, sklepów, po kolei wszystkich, pozostawiając na miejscu tylko starców powyżej 65 lat, chorych i niedołężnych. Wzięto urzędników z magistratu, sądu, pracowników »Rolnika«, spółdzielni mleczarskiej, księży, lekarzy itd. Przed bożnicą postawiono dwa stoły i zaczęto przeprowadzać rejestrację, sprawdzać dowody itp. Niektórych wkrótce puszczono, – przede wszystkim zatrudnionych we wspomnianych urzędach i instytucjach, lekarzy, robotników z lotniska, z cukrowni, z »Alwy« i in.

Trudno opisać, co się w mieście działo. Byliśmy całkowicie w rękach Niemców. Właściwie nie było wyjścia. Uciekać ludzie nie mogli,

bo całe miasto było otoczone. Szosy, boczne drogi, a nawet zboża obstawiono żołnierzami z karabinami maszynowymi.

Żołnierze obchodzili systematycznie po kolei wszystkie domy, wszystkie mieszkania i zabierali mężczyzn. Załatwiano to względnie spokojnie, bez zwykłego bicia, potrącania itp. Tylko małej stosunkowo garstce udało się gdzieś ukryć. Patrzyliśmy na to co się dzieje bezsilni i bezradni, przygotowani na wszystko oczekując, że lada chwila przyjdą i po nas. Lecz jakoś szczęśliwie szpital ominęli. Przechodzili koło niego wiele razy, czytali szyld, byli we wszystkich domach naprzeciw szpitala i w sąsiednich, a do nas nie zaszli. Nie wiem, czy odstraszyła ich tablica wisząca na drzwiach wejściowych z napisem: »Achtung! Fleckfieber«, czy też nie leżało to w ich z góry ułożonym planie, dość że u nas nie byli. – Miejskowa żandarmeria wiedząc, co ma być w mieście a chcąc uchronić niektórych potrzebnych i wygodnych dla nich ludzi, wezwwała ich na posterunek i kazała piłować i rąbać drwa. Tym sposobem znaleźli się tu niektórzy młynarze, piekarze, mechanicy, rzeźnicy itp. w liczbie około dwudziestu kilku.

Kobiet nie ruszano zupełnie. Swobodnie chodziły po mieście, grupowały się na rogach ulic i w pobliżu boźnicy. A tam bez przerwy segregowano zatrzymanych posługując się przy tym jakimiś listami z zanotowanymi nazwiskami. Wydzielono 11 mężczyzn, którym ołówkiem chemicznym wypisano na czole niemiecką literę V. Byli to: 1) Amborski Dominik, pracownik »Rolnika«, b. nauczyciel tutejszego gimnazjum, 2) Postulski, urzędnik sądu grodzkiego, 3) Naszyński Wit, długoletni buchalter magistratu, 4) Dworniczak, rzeźnik, 5) Doleżał Jan, emerytowany leśniczy O. Z., 6) Cichocki Adolf, b. urzędnik, 7) Krukowski Feliks, szofer, 8) Fedorowicz Marian, urzędnik »Alwy«, 9) Wawrzkowicz Kazimierz, pracownik »Alwy«, 10) Głowacki, nauczyciel i 11) Głowacki, kupiec.

Wszystkich innych po sprawdzeniu dokumentów odprowadzono do b. cerkwi, zupełnie zrujnowanej. Do północy słychać było krzyki Niemców, nawoływania internowanych, lamenty kobiet. Dla pozostałych na wolności noc przeszła zupełnie spokojnie. Od świtu dnia 2 lipca widać było na ulicach tylko pojedyncze sylwetki kobiet ostrożnie posuwających się ku cerkwi.

Po godz. 5 wszystkich zatrzymanych wyprowadzono i ustawiono w jedną kolumnę czwórkami. Na przedzie odrębną grupkę pilnie strzeżoną przez gęsto rozstawionych Schupowców stanowili oznaczeni literą »V« z Naszyńskim w pierwszym szeregu. W pewnej od nich

odległości sformowano całą ogromną partię, na oko liczącą chyba do 1500 ludzi. Ze Szczepieszyna było bez mała 600. Szli, można powiedzieć, w formie doskonałej. Nie znać było zbytniego przygnębienia, mieli tylko wygląd nieco zmęczony po nieprzespanej nocy. – Pomimo to wrażenie było straszne. Stałem za dużą starą lipą w ogrodzie szpitalnym i obserwowałem. Szli popędzani przez żandarmów krokiem szybkim i trudno mi było rozpoznać wszystkich znajomych. W ostatnich szeregach drepcząc drobnym krokiem starał się nadążyć za innymi dość korpulentny ks. kan. Masłowski z butelką kawy w ręku. Obok ks. Kowalczyk, bez kapelusza, dźwigał dużą ciężką walizę. Szedł też i ks. Winnicki z Mokrego Lipia. A tłum kobiet po obu stronach szosy stał złorzecząc, lamentując i miotając straszliwe przekleństwa na Niemców. Kobiety już niczym się nie krępowały.

Mimo woli przypominały mi się sceny z okresu likwidacji Żydów. Była jednak ogromna różnica. Przede wszystkim Żydów wykańczało kilku gestapowców przy pomocy miejscowej żandarmerii i policji, tu zaś była trudna do obliczenia masa różnorodnego wojska z karabinami maszynowymi. Nie było widać takiej bezgranicznej rezygnacji jak u Żydów, przeciwnie, patrząc na te liczne szeregi pewnie idących mężczyzn otoczonych żołnierzami niemieckimi z karabinami gotowymi do strzału czuło się, że jest w nich jakaś utajona moc i potęga. I prowadzonych i pozostałych na wolności aż nazbyt wyraźnie jednoczyło wspólne przemożne uczucie nienawiści do Niemców, pogardy dla nich i nienasycona żądza zemsty.

Wszystkich aresztowanych popędzono do obozu w Zwierzyńcu.

Miasteczko w rannych godzinach wyglądało jak po jakim pogromie: na ulicach pustki, sklepy pozamykane, wystraszeni ludzie nieśmiało wychodzili z domów i z trudem przystępowali do swych zwykłych zajęć.

W Zwierzyńcu tego samego dnia zwolniono zza drutów kilkunastu mężczyzn ze Szczepieszyna. Powoli zaczęli oni nadciągać do miasta. Pierwsi przybyli księża. Tłum składający się przeważnie z kobiet przez całe popołudnie stał na szosie, wypatrywał i spotykał powracających zasypując ich pytaniami.

11 »piętnowanych« osadzono w osobnym baraku i od razu rozpoczęto już zwykłe katowanie, bicie, kopanie itp. Opowiadał o tym m. in. i ks. Winnicki, który był naocznym tego świadkiem.

Następne dni przeszły nam w ciągłym oczekiwaniu dalszej akcji wysiedleńczej. Nikt nie wątpił, że nie skończy się na tym, co było. Prawie wszyscy mieszkańcy mieli rzeczy spakowane w tobołach, koszach i walizkach. Ulice nawet w dzień targowy świeciły pustkami, tylko starcy i kobiety wychodzili z domów na zwiady. Aresztowano w tym czasie po raz drugi ks. Masłowskiego i wywieziono do Zwierzyńca za druty.

Aż wreszcie doczekaliśmy się dnia 10 lipca.

Przed godz. 6 rano zaczęto bębnić na mieście. Od razu wszyscy się zorientowali, że musi być coś bardzo ważnego, jeżeli o tak wczesnej porze podają coś do publicznej wiadomości. Okazało się, że wszyscy bez wyjątku mieszkańcy Szczepieszyna, niezależnie od płci i wieku, mają niezwłocznie stawić się na rynku gotowi do drogi.

W jednej chwili ulice opustoszały. Ludzie rzucili się do domów nie wiedząc co robić: uciekać, chować się, czy iść.

Ubrałem się naprędce i poszedłem na posterunek żandarmerii. Na schodach oprócz miejscowych żandarmów z leitnaniem na czele stali jacyś umundurowani Niemcy prowadzący całą akcję. Zwróciłem się do leitnanta komendanta żandarmerii z zapytaniem, co mam robić z chorymi i ze wszystkimi pracownikami szpitalnymi. Komendant porozumiał się z przyjezdnymi Niemcami i oświadczył mi, że mamy pozostać na miejscu i nie ruszać się. Z tą wiadomością pośpieszyłem do szpitala, gdzie w niepokoju i w niepewności oczekiwano mojego powrotu z żandarmerii.

Tymczasem ludzie zaczęli powoli wychodzić z domów i leniwie wlecsię na rynek dźwigając mniejsze i większe toboły. Żołnierzy i żandarmów było stosunkowo mało. Cała akcja odbywała się względnie spokojnie. Tylko niektórzy przyjezdni żandarmi popychali i bili ludzi gumowymi pałkami. Bezstronnie muszę oddać sprawiedliwość, że »nasi« żandarmi zachowywali się nadzwyczajnie poprawnie i okazywali mieszkańcom dużo życzliwości. Wielu ludzi ukryli w obrębie posterunku i starali się zwalniać kogo tylko się dało.

Po paru godzinach większość obywateli naszego miasteczka stała już na rynku. Inteligencja z małymi wyjątkami stawiała się niemal w komplecie. Zaczęto wówczas legitymować zgromadzonych, segregować i stopniowo puszczać do domu. Zwolniono wszystkich zatrudnionych w urzędach, spółdzielniach, w cukrowni, w »Alwie«, na lotnisku, lekarzy, dentystów, rzemieślników itp. wraz z członkami

ich rodzin. W rezultacie wywieziono do Zwierzyńca kilkanaście dużych autokarów z ludźmi nie mającymi kart pracy, a więc mieszczan, gospodarzy, handlowców, bezrobotnych itp. ze wszystkimi członkami rodzin. Ile osób wywieziono z samego miasta – trudno jest powiedzieć. Nawet burmistrz nie mógł mi podać ich liczby. Prawdopodobnie do 400 ludzi.¹⁾

Jaki był nastrój w mieście – łatwo sobie wyobrazić. Jednak pomimo brutalności niemieckiej, pomimo potwornej treści takiego gwałtu nad ludnością miasteczka, cała akcja wysiedlania odbyła się dziwnie spokojnie i bez hałasu. Ludzie z rezygnacją poddali się losowi, tylko pewna ich część ukryła się, lecz bezwzględna większość wyszła na plac przed posterunkiem żandarmerii.

Już od wczesnego ranka ukazali się na ulicach miasta nowi ludzie – mężczyźni ubrani po cywilnemu z karabinami na ramieniu, kobiety i dzieci. Mówili po niemiecku. Ciekawie rozglądali się dookoła, przypatrywali się lepszym domom. W ciągu dnia przybywało ich coraz więcej. Niektórzy mówili po polsku, inni po chorwacku. Byli to nowi obywatele Szczepieszyna – Niemcy nasiedleńcy.

Przeżyliśmy nad wyraz ciężki dzień. Ludzie byli do cna zgnębieni i w dalszym ciągu bardzo niepewni swego losu. Wszyscy byli przekonani, że to jeszcze nie koniec, że będą nas jeszcze wysiedlać, wyrzucać z mieszkań itd. I wszędzie dookoła dzieje się to samo.

Do późnego wieczora z lepszych mieszkań wynoszono walizy, kosze, pościel, żeby choć cokolwiek uratować.

11 lipca zaczęła już działać nowa komisja mieszkaniowa. Po – zajmowano dla przybyszów Niemcom lepsze domy i lepsze mieszkania.

Równocześnie wysiedlono kilka pobliskich wsi – Bodaczów, Deszkowice, Rozłopy, Sułów, Kolonię Sułowską i in. Na miejscu zostawiano tylko bardzo nielicznych, w pierwszym rzędzie zatrudnionych w cukrowni. Na odebranych Polakom gospodarstwach osadzają teraz Niemców. A ci nadciągają w coraz większej ilości. Niektórzy są wyjątkowo bezczelni i brutalni. Nie tylko, że wyrzucają z mieszkań,

¹⁾ Podług danych otrzymanych z Magistratu wynika, że wysiedlono ze Szczepieszyna 54 rodziny.

ale nie pozwalają zabierać umeblowania, pościeli, drzewa opałowego itp., złością się przy tym, że nie wszyscy u nas mają pierzyny.

Pozostała ludność, zwłaszcza na Błoniu, w dalszym ciągu ogromnie boi się wysiedlania. W związku z tym jesteśmy świadkami ciekawego zjawiska: ponieważ dotychczas nie wysiedlano Ukraińców i prawosławnych, więc chłopci masowo zaczęli przechodzić na prawosławie, żeby tym sposobem uniknąć wysiedlenia. Ks. dziekan Szepietowski ze Zwierzyńca wyjaśnił mi, że jest to objaw powszechny i wymienił szereg wsi w pow. biłgorajskim, gdzie cała ludność zmieniła wyznanie zapisując się równocześnie na Ukraińców, m. in. w Kosobudach, w których ksiądz katolicki nie ma już co właściwie robić.

W szczembrzeskiej parafii prawosławnej do dnia 14 lipca, podług danych otrzymanych od burmistrza, zgłosiło chęć zmiany wyznania 552 osoby. Lecz naraz wszystko ustało i nawet niektórzy starają się wycofać swoje podania. A to dlatego, że – jak się okazało – owe metamorfozy religijno-narodowościowe wcale nie zabezpieczają przed wysiedleniem, mogą spowodować przesiedlenie gdzieś na wschód, za Bug, na tereny czysto ukraińskie.

Powróciła do Szczembrzeszyna pewna liczba ludzi wypuszczonych zza drutów w Zwierzyńcu. Niektórzy zwrócili się o poradę lekarską. Przy badaniu widziałem pośladki twarde i koloru dojrzałej śliwki, tak były zbite pałkami. Dowiedziałem się przy tym, że kierownik szkoły powszechnej w Szczembrzeszynie Stanisław Węgierski nie wytrzymał takiego bicia i zmarł podczas badania.

Szczembrzeszyn zasadniczo został wysiedlony i skreślony z liczby miast polskich. Będą go teraz zamieszkiwać nowi ludzie, wszystko stopniowo ma przechodzić w ręce niemieckie. Polacy będą tolerowani tylko jako pracownicy zatrudnieni w instytucjach i fabrykach potrzebnych Niemcom.

Dnia 21 lipca wywieziono ze Szczembrzeszyna i sąsiednich wiosek wszystkich Ukraińców do Tarnobrodu i okolicy. Znowu ubyłła pewna część stałej ludności.

Pod koniec lipca rozniosła się po mieście wiadomość, że znowu mają wysiedlić ze Szczembrzeszyna znaczną część Polaków. Ludność więc jeszcze raz zaczęła się pakować, cbować rzeczy, częściowo uchodzić na wieś. Ale tym razem skończyło się tylko na silnym popłochu.

Dnia 1 sierpnia jeździłem do Zwierzyńca. Widziałem na własne oczy snujące się za drutami obozu wynędzniałe, wycieńczone, zmal-

tretowane ludzkie postacie. Ale największe wrażenie, od którego nie mogłem się otrząsnąć przez dłuższy czas, sprawiły na mnie chore dzieci w szpitalu ordynackim. Było ich przeszło 40, tylko do lat 5. Chorują przeważnie na czerwonkę i na odrę. W małych naprędcie skleconych drewnianych łóżeczkach leżą po dwoje wyniszczone i wychudzone tak, że podobne są raczej do trupków. Niektóre zdrowsze leżały w cieńcu na trawie na podwórzu. Resztę dzieci umieszczono w ochronie ordynackiej. Wszystkich ich udało się zabrać z obozu 214, lecz wyłącznie poniżej 5 lat. Główną opiekę nad nimi objęła młoda ordynatowa. Bardzo dużo pań i panien zwierzynieckich po kilka godzin i w dzień i w nocy pełni tu dyżury, gorliwie zajmując się tymi nieszczęsnymi ofiarami niemieckiego barbarzyństwa, karmią je, myją, noszą niemowlęta na rękach. Chciałem parę dzieci wziąć do siebie, lecz Niemcy nie zgadzają się na wywożenie ich poza Zwierzyniec.

Dnia 31 sierpnia odbył się uroczysty akt utworzenia nowej niemieckiej gminy Szczebrzeszyn. Tak więc od dziś miasto nasze z przyległymi wsiami otrzymuje oficjalną nazwę »Deutsche Land – gemeinde Szczebrzeszyn, kreis Zamość«. Burmistrzowi kazano przygotować przyjęcie na 150 osób. Magistrat od rana udekorowany był tżema flagami hitlerowskimi. Zjechali się po południu przedstawiciele administracji niemieckiej dwóch zainteresowanych powiatów, t. j. biłgorajskiego i zamojskiego, poza tym Dorffhrehrzy itp. Przyjęcie urządzono w sali kinowej Krzeszowskich. Ku naszemu ogromnemu zadowoleniu nikogo z Polaków nie proszono.

Podług oficjalnego wykazu udzielonego mi przez burmistrza Volksdeutscha ukraińskiego pochodzenia Andreasa Krausa do nowoutworzonej gminy szczebreskiej należy 31 wsi – 13 niemieckich i 18 polskich. A więc:

- | | |
|----------|--------------------------|
| Deutsche | Dörfer. |
| 1. | Hauptdorf Szczebrzeszyn. |
| 2. | Rozłopy. |
| 3. | Sułów kol. |
| 4. | Żrebce. |
| 5. | Tworyczów. |
| 6. | Kitów. |
| 7. | Deszkowice. |
| 8. | Bodaczów. |
| 9. | Wieloncza. |
| 10. | Zawada. |

11. Gross Brody.
12. Sułów.
13. Vorstadt Zamojskie.
- Polnische Dorfer.
 1. Marynówka.
 2. Kąty I und Kąty II.
 3. Niedzieliska u. Czarny Wygon.
 4. Kol. Niedzieliska.
 5. Klemensom.
 6. Brody Małe.
 7. Kawenczyn.
 8. Kaweczynek.
 9. Kol. Kawenczyn.
10. Sułowiec.
11. Sułówek.
12. Kulików.
13. Michałów.
14. Szperówka u. Doroszewszczyzna.
15. Sąsiadka.
16. Mokre Lipie.
17. Błonie.
18. Kol. Rozłopy¹⁾.

¹⁾ W pozostawionych przez Niemców w magistracie szczepieskim aktach znalazł się następujący ciekawy i ważny dla nas dokument:

»Aufstellung der Einwohner der Deutschen Gemeinde Szczepiesyn«. Wykaz ten podaje nazwy wsi i liczbę mieszkańców Niemców i »nie-Niemców«, a mianowicie:

N	Miejscowość	Niemcy	nie-Niemcy
1.	Bodaczów	162	1385
2.	Brody Duże	289	706
3.	Brody Małe	9	720
4.	Błonie	-	615
5.	Deszkowice	379	909
6.	Kitów	107	80
7.	Kawenczyn	8	983
8.	Kawenczyn Kolonia	-	126
9.	Kaweczynek	-	174
10.	Kąty	1	903
11.	Kulików	-	294
12.	Michałów	7	1038
13.	Mokre Lipie	-	772
14.	Niedzieliska	-	1762

Z biegiem czasu Niemcy zadomowili się i rozpanoszyli nie na żarty w Szczepieszynie. Jak gdyby mieli tu pozostać na zawsze. Coraz bardziej umacniali i rozszerzali swój stan posiadania i swoje wpływy. Odebrali Polakom prawie wszystkie warsztaty pracy. M. in. niemiecki sołtys Hepp założył nową niemiecką restaurację pod wiele mówiącą nazwą »Neue Heimat«. W magistracie połowa urzędników to Niemcy, cała biurowość prowadzi się w języku niemieckim. Na ulicach na każdym kroku widzimy niemieckie szyldy. Na rogach ulic umieszczono nowe tablice z ich nazwami w języku niemieckim i polskim np. Klosterstrasse, Kirchestrasse, Gerichtsstrasse, Grunestrasse itd.

Lecz nie tylko obcy, przyjezdni Niemcy, t. zw. »czarni«, zapełnili miasto. Przybyło sporo i swoich, »rodzimych« Niemców: parę setek stałych obywateli Szczepieszyna Polaków pod pewnym naciskiem lub najzupełniej dobrowolnie zgłosiło swą przynależność do narodowości niemieckiej¹. Trudno uwierzyć, ale to jest fakt niezbity, że kapitalna większość tych Volksdeutscheów stała się nimi z własnej woli, bez przymusu ze strony Niemców. Są wśród nich b. wojskowi, nawet legioniści i peowiacy, np. Stanisław Kiszka, Jan Flak – legioniści I brygady, dalej Wójtowicz, Bielecki, Grygiel, Kołodziejczyk, Rypin, Gaska, Borowiński, Kozłowski, Bizior, Dominik Amborski-b. nauczyciel tutejszego gimnazjum, wychowanek uniwersytetu lubel-

15.	Niedzieliska Kolonia	1	416
16.	Rozłopy	153	465
17.	Rozłopy Kolonia	–	157
18.	Sułów	117	321
19.	Sułów Kolonia	38	109
20.	Szczepieszyn	313	2243
21.	Sąsiadka	–	1009
22.	Sułówek	–	381
23.	Sułowiec	–	662
24.	Szperówka	–	526
25.	Tworyczów	111	267
26.	Wielącza	321	839
27.	Zawada	248	1265
28.	Żrebce	75	84
29.	Przedm. Zamojskie i cukr. Klemensów	230	1607
	Razem	2.569	20.818

1) Podług oficjalnych danych magistratu zapisanych było jako Volks-i Stamm – Deutsche 203 osoby łącznie z dziećmi.

skiego, Ignacy Ostrowski – legionista II brygady, obrońca sądowy i długoletni zasłużony komendant straży ogniowej i wielu innych. Dokładne i szczegółowe spisy wszystkich Volksdeutschów będą ogłoszone nieco później.

Warto zanotować pewien ciekawy szczegół. Wszyscy neofici niemieccy są, oczywiście, katolikami. Nie ma ich i wśród Niemców nasiedlonych. Otóż nikomu z nich nie wolno chodzić do kościoła. (Nabożeństwa księży odprawiają w kaplicy św. Leonarda na cmentarzu, ponieważ kościół parafialny Niemcy zamknęli). Księżom zapowiedziano, że nie mogą bez specjalnego zezwolenia władz niemieckich chrzczyć dzieci, dawać ślubów, chować katolików narodowości niemieckiej itp. Księża niejednokrotnie ogłaszali to z ambony, lecz pomimo tego zakazu wszyscy chodzą do kościoła po dawnemu.

W pierwszych miesiącach 1944 r. wobec silnej ofensywy sowieckiej na wschodzie Niemcy tutejsi zaczęli się denerwować. W miarę zbliżania się frontu wzrastał ich niepokój. Zawczasu poczyniono pewne przygotowania do wyjazdu. Jednak wszystko się jakoś uspokoiło i życie płynęło nadal normalnym trybem, częściej tylko ukazywały się furmanki z uciekinierami od wschodu. Lecz uchodzili oni głównie przed Ukraińcami.

Aż nagle dn. 18 marca o godz. 3 po południu lotem błyskawicy rozniosła się po mieście wieść, że wszystkim Niemcom kazano natychmiast pakować się i przygotować do wyjazdu. Wśród nasiedlonych i miejscowych Volksdeutschów powstał nieopisany popłoch. Niemcy rzucili się do szukania furmanek, do pakowania, zaczęli na gwałt sprzedawać różne rzeczy, – płacz, lament, przekleństwa, bieganina po mieście itd. I od nikogo nie można było dowiedzieć się, co właściwie się stało, jaka jest przyczyna tak nagłej ewakuacji Niemców. Pod wieczór od strony Brodów nadciągnęły pierwsze furmanki przeładowane rozmaitym dobytkiem domowym Niemców, pościelą, tobołami, walizami, kosztami itd. Niektórzy nie czekając dalszych zarządzeń wyjeżdżają na własną rękę. Wszyscy jadą tylko w stronę Zamościa. Boją się, że nie zdążą nigdzie uciec, że mogą być ze wszystkich stron otoczeni i odcięci. Niepokój wzrasta przez to, że zerwane zostało połączenie telefoniczne z Lublinem. Wielką rozterkę przeżywają nasi miejscowi Volks – i Stammdeutsche. Sami nie wiedzą, co robić. Zostać na miejscu, czy jechać. – Lecz dokąd? z czego żyć? Polacy niektórzy też są w strachu,

bo się boją, że po wyjeździe Niemców zjawią się u nas bandy ukraińskie. – Lecz poza tym wszystkim Polaków ogarnęło zgodne uczucie niesłychanej radości, że nareszcie doczekaliśmy się chwili, w której butni Niemcy muszą od nas sromotnie uciekać... I to uczucie odsunęło na drugi plan troskę, co będzie z nami, co właściwie czeka nas wszystkich w przyszłości...

Nazajutrz od 6 rano panował w mieście duży ruch. Ze wszystkich okolicznych wsi ściągali tu furmanki z nasiedlonymi Niemcami. Trzymano ich w ustawicznym oczekiwaniu hasła do wyjazdu aż do godz. 3 po południu, po czym kazano zajechać na podwórza i tam dalej czekać. W ciągu dnia wyjaśniło się, że droga na Zamość – Lublin jest odcięta, droga zaś na Biłgoraj też bardzo niepewna. A mają jechać na Radom do Łodzi. – Dzisiejszy widok całodziennego poniewierki i niepokoju Niemców sprawiał ludziom wielką przyjemność.

W poniedziałek 20 marca wszystkie furmanki jeszcze stały na podwórzach i na placach gotowe w każdej chwili do drogi.

A nasi aż piszczą, żeby tych Niemców gdzieś przydybać, przetrzepać im porządnie skórę, odebrać broń, konie, wozy i w ogóle wszystko, co nam zagrabili. Niemcy to czują i boją się wyruszać w drogę. – Niektórzy Volksdeutsche-koloniści z Brodów zamiast na punkt zborny do Szczepieszyna pojechali do lasu.

Dopiero we wtorek 21.III wywieziono do Zamościa wszystkie kobiety i dzieci do lat 14. Mężczyźni na razie jeszcze pozostali.

Dnia 24 marca miały wyjechać rodziny miejscowych Volksdeutscheów. Ściągnięto 40 furmanek i dwie kryte budy, nikt jednak nie pojechał. Wielu natomiast ukryło się w sąsiednich wioskach.

Na dzień 5 czerwca wyznaczono drugi termin wyjazdu miejscowych Volksdeutscheów, lecz na 54 rodziny stawiło się znów tylko kilka osób. – Dn. 8 czerwca zjawili się w mieście gestapowcy i rozpoczęli akcję przeciwko Volksdeutscheom, którzy nie zastosowali się do wydanych zarządzeń i nie wyjechali ze Szczepieszyna, przy czym niektórych pobito np. fryzjera Gortnera, Bieleckiego i in.

Dn. 15 czerwca Dorfführer i »czarni« spędzali Volksdeutscheów i zmuszali ich do wyjazdu. W rezultacie wyruszyło w stronę Zamościa 15 furmanek. Przez pozbycie się elementu małowartościowego miasto nasze nie poniosło żadnej straty.

Powstrzymanie ofensywy sowieckiej na wschodzie wpłynęło nieco uspokajająco na pozostałych Niemców. Niemiecki magistrat na nowo podjął urzędowanie, wznowił się trochę ruch handlowy w nie-

mieckich sklepach i przedsiębiorstwach. Rolnikom Niemcom kazano niezwłocznie przystąpić do intensywnej pracy w polu.

Aż nagle pod wieczór 18 lipca miasto zostało poruszone wiadomością, że Niemcy znów otrzymali rozkaz przygotowania się do wyjazdu. Zarządzeniem samorządowych władz niemieckich w Zamościu burmistrzem został Sygit, sekretarzem zaś Skórczyński. Obydwaj byli urzędnikami polskimi w magistracie. Przekazanie urzędowania odbyło się formalnie, kasa oddana protokularnie.

We środę 19.VII o godz. 4 rano wyjechał »Arbeitsamt«.

Zlikwidowano urząd pocztowy. Pozdejmovano nawet szyldy i skrzynki pocztowe.

Miasto w podnieceniu i napięciu oczekiwało dalszego rozwoju wypadków.

Po południu tegoż dnia nastąpił nareszcie tak upragniony i tym razem ostateczny wyjazd »czarnych« i urzędników niemieckich magistratu. Popili się przedtem setnie, strzelali – lecz nieszkodliwie, i samo opuszczanie przez nich miasta odbyło się właściwie spokojnie, bez ekscesów. – Płakały tylko kochanki niektórych Niemców.

Miejscowi Volksdeutsche pozostali jednak w dużej liczbie, wyjechali głównie ci, którzy obawiali się konsekwencji za swoje rene-gactwo.

Dnia 26 lipca wkroczyły do Szczepieszyna wojskowe oddziały polskie i sowieckie. Zizucono niemieckie szyldy, starto niemieckie napisy.

Po paru dniach przywrócono dawny, przedwojenny podział administracyjny powiatu. Zniknęła jak efemeryda »Niemiecka gmina Szczepieszyna«. Ślad po niej pozostał tylko w aktach magistrackich, a ogromna ręcznie malowana mapa »Deutsche Gemeinde Szczepieszyn« zdobiąca jedną ze ścian magistratu, wzbogaciła moje zbiory regionalne.

Inż. ADAM KLIMEK

BUDOWNICTWO W POWIECIE ZAMOJSKIM PODCZAS OKUPACJI NIEMIECKIEJ 1939-1944

Mam przed sobą małą czerwoną książeczkę formatu kieszonkowego. Jest to wydany w r. 1943 w Lipsku »Bædekens General – gouver-

nement«. Na stronie 135 u dołu czytamy tu między innymi o Zamościu: ...»eine der sehenswertesten Kleinstädte des Generalgouvernements, mit einer stark durch deutschen Einfluss bestimm – ten Stadtgeschichte¹⁾ i dalej ...»gemeinschaftlicher Arbeit von deutschen und italienischen Baumeistern«...²⁾)

Te dwa krótkie zdania zacytowane z przewodnika jasno określają sprawę podejścia okupantów do zagadnienia polskości zabytków Zamościa. Niedoszły »Himmelerstadt« był przewidziany jako centrum germanizacji terenów polskich. Bluff okazywany wszędzie, w każdym posunięciu Niemców, nie ominął starego grodu hetmańskiego jak i całej Zamojszczyzny. Od samego początku zainstalowania się na naszych terenach wzięto się do budowania tak, jakby zastano Polskę drewnianą, a chciano zostawić murowaną. Wszystko uważano za złe, podlegające przeróbce, a więc: lokale biurowe są niewygodne, te ściany należy rozebrać, postawić inne, nowe, mieszkania urzędników przerobić według jednego szablonu ze ścianami kremowymi, stolarką na kość słoniową i obowiązkowo z drewnianymi lampami.

Zamość dostał Kreishauptmanna Helmuta Weißenmaiera, który przez cały czas swego urzędowania, t. j. od listopada 1939 r. do lipca 1944, miał manię budowania i stale twierdził, że gdyby nie był Kreishauptmannem, byłby architektem. – Do mnie odnosił się czasem entuzjastycznie nazywając mnie swoim »Hofarchitekten«, to znów chciał strzelać i groził obozem. Poza tym zajaśniał na horyzoncie zamojskim inż. Wolf Gutbier, asystent politechniki stuttgardzkiej, architekt o dziwnie rzemieślniczym ustosunkowaniu się do architektury. Dobry kreślarz, nic więcej. – Przypomina mi się jeden epizod z jego »twórczej« pracy architektonicznej. Trzeba było połączyć główny budynek ratusza z oficyną schodami, które miały pokonać różnicę poziomów obu tych budynków wynoszącą 3,45 mtr. Zwołano wielką konferencję z 5 osób: Kreishauptmanna, inż. Gutbiera, kierownika referatu budowlanego Vossa, z zawodu elektromontera, architekta miejskiego T. Zarembę i mnie. Gutbier mający zawsze aktorski gest zasiadł przy stole zarzuconym wszystkimi planami ratusza i przez dwie godziny rozwodził się nad możliwościami pokonania różnicy

¹⁾ ...jedno z najbardziej godnych widzenia małych miast Generalnej Gubernii z historią uwydatniającą silne wpływy niemieckie.

²⁾ ...wspólną pracą niemieckich i włoskich budowniczych...

poziomów 3,45 mtr. między dwoma budynkami. Ani kol. Zaremby, ani mnie nie pytano o zdanie i do końca konferencji pozostawaliśmy niemymi jej świadkami. Wreszcie Gutbier oświadczył, że nie ma innego wyjścia, jak tylko zrobić schody jednobiegowe, ciemne, szerokie na 1 mtr 20 cm z poziomu górnego na dolny. Dostałem polecenie wykonania na następny ranek szkicu w myśl tej »genialnej koncepcji«. Po przyjeździe do domu obrysowałem ten projekt i równocześnie zrobiłem drugi według własnego pomysłu, gdzie w budynku oficynowym zakładałem normalną klatkę schodową oświetloną światłem dziennym łączącą się z głównym budynkiem za pomocą korytarzyka. Nazajutrz przedstawiłem obydwie projekty. Przyjęto mój i tak też schody zostały wykonane, ale od tego dnia w osobie inż. Gutbiera miałem śmiertelnego wroga.

Przykładów bezsensownego rozwiązywania rozmaitych szczegółów możnaby cytować długo, ale miałem pełną satysfakcję, gdy w końcu tenże Gutbier wyraził się, że absolwenci polskich politechnik umieją znacznie więcej aniżeli niemieckich.

Bardzo charakterystycznym momentem była wycieczka sześciu profesorów Akademii Sztuk Pięknych z Drezna zwiedzająca Zamość w lecie 1942 r. Pewnego dnia wezwano kol. Zarembę i mnie do oprowadzenia tych profesorów po Zamościu. Wybraliśmy się rano na miasto. Objaśnienia dawał kol. Zaremba, ja zaś w czasie przechadzki postanowiłem pociągnąć ich trochę za język, wypytywałem o rozmaite szczegóły, między innymi, czy znają prace którego z polskich malarzy. Na sześciu jeden tylko odpowiedział mi, że zna tego, »co to malował konie« (Kossaka).

Referat budowlany przy starostwie istniał właściwie tylko na papierze. Chociaż polskie prawo budowlane przetłumaczone na język niemiecki leżało stale w szafie, w rzeczywistości zupełnie pomijano wszelkie przepisy, a nawet zarządzenia własnych władz okupacyjnych. Na początku 1942 r. referat budowlany został rozbity. Mnie wraz z kreślarką przeniesiono do Starostwa (Kreishauptmannschaft), a w Wydziale Powiatowym pozostawiono technika z gońcem.

Irytujące było mieszanie się do spraw budowlanych zupełnych laików. Okrzyczana na zewnątrz w różnych pismach (Krakauer

Zeitung, Bædekera i in.) niemieckość zabytków Zamościa wcale nie znajdowała oddźwięku u miejscowych matadorów. Wprawdzie dyskutowano nieraz nad »zgleichowaniem« domów w rynku, ale pozostało to jedynie w sferze projektów.

Przykładem faktycznego podejścia do zabytków miasta może służyć kolegiata zamojska. Dwukrotnie urządzano w niej magazyn zbożowy, mianowicie od 3.V 1941 do 8.IX 1941, a od 3.VIII 1942 do 1.IV 1944 był tu skład rzeczy nasiedleńców. Ze stacji kolejowej zwożono do kościoła meble i inne graty, po które zgłaszali się potem nasiedleni, t. zw. »czarni«. Często widziano wjeżdżające do wnętrza kolegiaty samochody osobowe i motocykle.

Domy mieszkalne w Rynku Głównym i Solnym pozostawały przez cały ten czas bez koniecznej konserwacji. Efekt tego widać teraz: poobrywane rynny ściekowe, zacieki na ścianach, wykruszone filary podcieni grożą zawaleniem itd. Kilkakrotne poruszanie tej sprawy nie dało żadnego rezultatu.

Ratusz odnowiono i przerobiono wewnątrz w r. 1940, lecz nie można było doprosić się kredytów na konieczną naprawę dachu i w czasie deszczów woda lała się przez sufity do biur na drugim piętrze.

W synagodze żydowskiej po zupełnym zdemolowaniu wnętrza urządzono warsztaty stolarskie firmy Zipser.

Synagoga zabytkowa w Szczepieszynie z pięknym dachem staropolskim i wspianymi stiukowymi żebrowaniami sklepienia i gzymsami została spalona w 1939 r. i dziś pozostała z niej ruina.

Przed wojną wyszło w Zamościu zarządzenie, że nie wolno malować ścian budynków, – mają one pozostać w naturalnym kolorze tynku. W czasie okupacji zarządzenie to nie było respektowane.

Dawny gmach Akademii pomalowano w r. 1942 farbą wapienną na kolor cielisty albo »majtkowy«, jak to określił sam Kreishauptmann. Zostało to wykonane przez policję niemiecką, która stacjonowała w tym budynku, z czego były niezadowolone nawet władze okupacyjne, ale ścian nie można już było zdrapać, tylko dobrotliwe słońce i deszcze spatynowały nową szatę dostojnego gmachu. – W podobny sposób zostały pomalowane ściany oficyny ratusza od strony Rynku Solnego, budynek dawnego inspektoratu szkolnego (za czasów okupacyjnych »Dekage« czyli Deutsche Kamerun Gesellschaft), a Lucht obsmarował farbą wapienną zajęty przez siebie budynek przy ul. Staszica.

Mówiono nawet o przemalowaniu na inne kolory kamienic w Rynku, ale na szczęście pozostało wszystko po dawnemu.

Specjalnego pecha miały budynki w Rynku oznaczone numerami 11 i 13.

Pod jesień 1940 r. postanowiono wybudować t. zw. »Deutsches Haus«. Miały tam znajdować się pokoje hotelowe, kawiarnia i restauracja. Los padł na niedokończony, wymurowany pod drugie piętro, narożny dom w Rynku przy ul. Kołłątają, będący własnością Starzyńskiego.

Natychmiast przystąpiono do budowy. Wymurowano ściany drugiego piętra nie zważając na rozplanowanie wewnętrzne. Kierownictwo powierzono arch. Braunsteinowi, który robił przedwojenne plany budynku. Dach został wykonany w styczniu 1941 r. W lutym pokryto go papą i na tym roboty przerwano. Dalsze plany wykonano w wydziale budowlanym Dystryktu w Lublinie i późną jesienią 1941 r. wznowiono prace. Najlepsze miesiące sezonu budowlanego zostały stracone. Do narożnego domu Starzyńskiego dołączono sąsiedni budynek »Domu Starców« (Rynek 11), na którym zdjęto dach i domurowano drugie piętro. – Starców przeniesiono do budynku przy ul. Pereca.

Prace prowadzono systemem przedsiębiorczym, ja byłem tylko nominalnym kierownikiem budowy. Ponieważ miałem równocześnie inne prace (przebudowa domu Bodaka i Domu Centralnego), więc nie mogłem być na tej budowie. Stale przychodził tu ktoś inny i wydawał często sprzeczne zarządzenia. W otworze na I p. między dwoma budynkami wstawiono 9 dźwigarów żelaznych jako podciąg na rozpiętości 4 mtr. w świetle otworu. Na II p. budynku Domu Starców założono podciąg drewniany o wymiarze przekroju 50/50 cm. Nie uwzględniono przy tym wytrzymałości podpór i wykonano cały szereg innych nonsensów konstrukcyjnych. Wszystkie te konstrukcje były nakazywane przez ludzi niefachowych podczas mojej nieobecności i o dyspozycjach tych dowiadywałem się nieraz już po ich wykonaniu. Na budowę wpadali czasem członkowie »Sonderdienstu« i podobno z polecenia Kreishauptmanna okładali robotników nahażami, tak że trzech musiało kiedyś przerwać pracę z powodu ciężkich obrażeń ciała. – Zgodnie z planem zaczęto wykopywać nasyp pośrodku nowego budynku na kotłownię centralnego ogrzewania. Po usunięciu warstwy na 1 mtr okazało się, że ściany nośne budynku ustawione są na fundamentach dawnego domu, który w r. 1848 zawalił się, a używany poprzednio do tego celu wapniak wskutek działań atmosferycznych stracił spójność i wykrusza się. W tym miejscu wstrzymałem roboty i zawiadomiłem o tym Kreishauptmanna. To wywołało burzę. Wspomniany wyżej inż. Gutbier, który został usunięty z kierownictwa budowy »Bauhofu« za nieudolność, uchwycił się tego faktu jako deski ratunku przed wojskiem. Wystosował

memoriał do Krakowa krytykując zaczęcie budowy bez uprzedniego zbadania fundamentów, projekty, konstrukcje itd. Zjechały komisje, zaczęły się dyskusje, oględziny, których efektem było wstrzymanie robót, polecenie wykonania nowego projektu i ustąpienie z urzędu kierownika wydziału budowlanego Distriktu Löhra. Kierownikiem budowy został teraz Gutbier, który zaczął wiercenia próbne na terenie całej budowy i po kilku miesiącach wykonał projekt nowego budynku, żelbetowego, z propozycją rozebrania istniejącego. Fasady były w stylu wiedeńskiego baroku. Plany i kosztorysy zostały wysłane do Krakowa i od tej chwili cała budowa stanęła na martwym punkcie. Po kilku miesiącach Gutbiera wzięto do wojska, a niezabezpieczony budynek stoi do dnia dzisiejszego dopiero teraz grożąc zawaleniem.

Ratusz. Po zajęciu Zamościa we wrześniu 1939 r. mieściła się w ratuszu niemiecka komenda miasta. Część ratusza oddano Zarządowi Miejskiemu. We wrześniu 1940 r. usunięto stąd magistrat i zaczęto przebudowę na biura starostwa (Landratsamt).

Ponieważ odnowienie ratusza w r. 1937 obejmowało tylko rekonstrukcję fasad i doprowadzenie do porządku holu i klatki schodowej, wewnątrz biur przedstawiało widok opłakany. – Po otrzymaniu polecenia przeróbki i odnowienia wewnątrz zabrałem się z miejsca do roboty. Ponaprawiano wówczas tynki, wykonano nowe ścianki działowe, założono instalacje elektryczne, telefoniczne i dzwonekowe w każdym pokoju, ułożono parkiet w niektórych pokojach, pomalowano wewnątrz na jasne kolory i urządzono ustępy. Tak więc ratusz przez to dużo zyskał. W zimie 1940/41 r. wykonano według mego projektu schody żelbetowe łączące wejście od ul. 1 Maja z pierwszym piętrem głównego trzonu budynku.

Przy końcu 1941 r. rozpoczęto drugą większą przebudowę wnętrza ratusza mającą na celu połączenie głównego budynku z oficyną i urządzenie pokoi biurowych w całej oficynie. W tym czasie wykonano dębową klatkę schodową, o której wspominałem na wstępie i cały szereg pokoi biurowych dostępnych z korytarza obiegającego dookoła oficynę na parterze i I piętrze. Przez te prace stracono miły lokal Biblioteki Publicznej.

Nowa Brama Lwowska. W budynku tym mieściła się dawniej elektrownia, potem Klub Obywatelski. W r. 1940 na jesieni zaczęto przebudowę na kasyno dla cywilnych Niemców. Prace trwały całą zimę. Do istniejących pomieszczeń, które – śmiało można powiedzieć – zostały urządzone z wykwintem, dobudowano kuchnię ze spiżarnią, dwie piwnice i uporządkowano ogród. W czasie wykony-

wania piwnic natrafiono w fundamentach budynku na furtę obramowaną kamieniem prowadzącą kiedyś do fosy dawnego obronnego Zamościa.

Muzeum. Ponieważ zbiory muzealne znajdujące się w oficynie ratusza musiały być usunięte, więc wybrano na muzeum dom przy ul. Ormiańskiej 26. Budynek ten posiadający stosunkowo dobrze zachowane wnętrza, bogaty w rzeźby, najlepiej nadawał się na ulokowanie w nim muzeum po odpowiedniej przebudowie. – Jesienią 1941 r. architekt miejski T. Zaremba z całym zapałem wziął się do pracy. Zankrował budynek, oczyścił z grubej warstwy wapna płaskorzeźby ościeży okiennych sal na parterze i piętrze, odsłonił stare stropy belkowe, założył nowe stopnie w klatce schodowej i poczynił adaptacje konieczne dla umieszczenia muzeum. W czasie remontu odkryto ciekawe freski ściennie w salach na I piętrze oraz dawne palenisko kuchenne na II piętrze, które zostało doprowadzone do pierwotnego stanu. Cała przebudowa budynku została dokonana kosztem Zarządu Miejskiego i pod wyłącznym kierownictwem arch. Zaremby. Miasto zyskało piękny obiekt zbliżony w wyglądzie wnętrza do pierwszych lat istnienia Zamościa.

Infułatka. Najstarszy budynek Zamościa również nie uniknął przebudowy. Bliskość Urzędu Pocztowego mającego w programie rozbudowę sieci telefonicznej na 3 powiaty z centralą automatów w Zamościu wpłynęła na wybór budynku Infułatki na ten cel. W r. 1942 rozpoczęto budowę. Kilka razy zmieniano rozplanowanie wnętrza, w końcu dokonano przebudowy, ale jak zwykle niekompletnej, bo zniszczone pokrycie dachowe pozostawiono i obecnie woda przecieka przez strop w kilku salach I piętra. – W związku z tą przebudową w dużym niebezpieczeństwie znajdował się najpiękniejszy portal w mieście, gdyż w zapędzie »unowocześniania« budynku projektowano usunąć go. Gdy dowiedziałem się o tym, przekonałem Kreishauptmanna o konieczności pozostawienia go.

Dom Centralny. Przerobiono tu całe pierwsze piętro i część drugiego na biura o systemie korytarzowym. W hotelu Centralnym, po odebraniu go od dzierżawcy, założono umywalki z bieżącą wodą w każdym pokoju, dołączono kilkanaście pokoi na drugim i trzecim piętrze, wykonano wewnętrzną klatkę schodową łączącą drugie piętro z trzecim oraz cały hotel wyposażono w nowe meble. Budynek

ten dużo zyskał. W związku z przebudową tego gmachu zaszedł mały incydent. Po połączeniu kilku mieszkań przez wybicie ścian okazało się, że często poziomy podłóg są rozmaite. Skorzystano z tego, by mi wytknąć, że jest to »typowo polskie«. Lecz odparłem na to, że budynek ten stawiał właśnie »Reichsdeutsch« Lucht, który obecnie jest architektem miejskim w Toruniu.

Gmach policji. Wykonano przebudowę oficyn dobudowując korytarz od strony podwórza, ponadto odnowiono skrzydło wchodnie budynku.

Dom służbowy starosty. Ponieważ Zamojszczyzna została upatrzona na centrum germanizacji »Generalgouvernement'u«, więc starosta wpadł na pomysł wybudowania »wzorowego domu niemieckiego«, który miał stanowić pierwszy zaczątek ziemienia budownictwa na tym terenie.

Stawianie nowych domów w tym czasie było wzbronione, więc Kreishauptmann obszedł ten zakaz zapewniając władze w Lublinie, że chce tylko przebudować »swoją« dom mieszkalny przy ul. Narutowicza. Projekt przebudowy wykonał wspomniany arch. Gutbier. Budowa ciągnęła się przez cały rok przy stałym zmienianiu szczegółów i wymyślaniu ulepszeń, w końcu w lecie 1943 r. budynek został wykończony. Uposażenie wewnętrzne jest tak luksusowe, że można śmiało uznać dom ten za najbardziej wykwiniony w Zamościu. Gubernator lubelski orzekł, że na terenie Generalnej Gubernii jest to najładniejszy dom starosty, tylko za mały.

»Bauhof« i ujeżdżalnia w szkole rolniczej w Janowicach. Są to dwa kompleksy budynków postawione przez Niemców od fundamentów pod dach w przeciwieństwie do innych, które były tylko przebudowywane.

Bauhof – to szereg budynków za stacją kolejową przeznaczonych na biura, garaże i warsztaty Powiatowego Zarządu Drogowego. Wszystkie w typowym stylu niemieckim projektowane i budowane według ustalonego szablonu przez inż. Gutbiera.

Drugi kompleks to ujeżdżalnia o pow. 1.800 mtr² i długie na 300 mtr stajnie dla koni za Szkołą Rolniczą w Janowicach, w której mieściła się szkoła SS-owców. Budynki te zostały zaprojektowane i wykonane pod kierownictwem polskiego fachowca inż. E. Mazura.

Inne drobne przebudowy. W Rynku w domach pod Nr 1 i 3 urządzono biura »Technisches Hauptamt« przerabiając je na system korytarzowy. Założono tu centralne ogrzewanie i kanalizację.

W domu Nr 3 przebudowanym według projektu inż. Mokrzyńskiego pod kierownictwem arch. Zaremby miało być urządzone kasyno dla urzędników niemieckich »Technisches Hauptamt« oraz mieszkania, ale nie zdążyli go Niemcy użytkować, gdyż prace zostały wykończone w czerwcu 1944 r.

W ogóle we wszystkich domach, gdzie mieszcili się Niemcy, dokonano licznych przeróbek.

W kinie już pod koniec okupacji zaczęto przebudowę wnętrza według moich projektów, a mianowicie wyjście z kina na ul. Staszica, wejście na balkon. Amfiteatralnego wzniesienia na krzesła na balkonie oraz podniesienia kabiny operatora nie zdążono już wykonać. Sprawa kina często była poruszana podczas okupacji i kilkakrotnie rozwijano rozmaite koncepcje w tej sprawie, większość jednak pozostała tylko na papierze.

Osobny dział budownictwa stanowią budowle sanitarne. W lutym 1940 r. z inicjatywy lekarza powiatowego dra J. Tyczkowskiego dostałem polecenie wykończenia oddziału zakaźnego szpitala powiatowego w Zamościu. Budynek ten postawiony przed wojną znajdował się w stanie surowym. W ciągu 4 miesięcy został on wykończony z kompletnym wyposażeniem na koszt Wydziału Powiatowego za 330.000 zł. Ponieważ w czasie trwania tej budowy miałem wolne ręce, starałem się dać jak najlepsze wyposażenie techniczne, m. in. centralne ogrzewanie, zimną i gorącą wodę w każdej sali itp.

W r. 1942 zaczęto akcję budowania w powiecie odwyszalni. Ponieważ sprawa była uznana za bardzo pilną, w ciągu dwóch tygodni wykonałem projekty, kosztorysy i zestawienia materiałów 12 odwyszalni w powiecie. Wszystko zostało wysłane do Krakowa i na tym na razie skończyło się. Dopiero jesienią 1943 r. rzecz tę wznowiono jako bardzo intratne przedsięwzięcie rejonowego lekarza dra Zimmera i jednego z polskich przedsiębiorców. Gotówka zaczęła przelewać się setkami tysięcy zł i gdzieś tam rozpoczęto roboty. W rozpędzie przystąpiono do stawiania baraków i jako szpitali dla chorych zakaźnych.

W czasie wojny dużo ucierpiały i wsie w Zamojszczyźnie. Dokładny obraz zniszczeń daje załączona tabela. Postały one w dużej części wskutek pacyfikacji, gdy palono całe zagrody wraz z dobytkiem. Wiele zabudowań zostało spalonych wskutek działań wojennych w lipcu 1944 r. (Radecznicza, Zmierzyniec, Gorajec, Pod – wysokie),

a przede wszystkim wskutek akcji nasiedleńczej, kiedy »czarni« gospodarowali po wsiach niczym niekrępowani. Wiele budynków rozebrano, z kilku stawiano jeden większy, wiele zużyto na opał.

Nieodżałowaną stratą dla wartości kulturalnych Zamojszczyzny jest zupełne zniszczenie rokokowego pałacu w Łabuniach. Został on spalony, a środkowa część wysadzona w powietrze w lipcu 1944 r. przy wycofywaniu się wojsk niemieckich.

Nie od rzeczy będzie wspomnieć o działalności »dystryktowych« władz budowlanych w Lublinie.

Na wiosnę 1940 r. kierownikiem wydziału budowlanego był Brenner, młody, świeżo upieczony architekt, który nie mieszał się do pracy w terenie. – Co pewien czas zjeżdżała do Zamościa architektka od wewnątrz Rümker, która niewiele wniosła do »dorobku« artystycznego tych czasów. Specjalnym typem był Schieber, »zaczęty« architekt o tytule »Staatsbaumeister«, który wpadał do miast powiatowych i krzyczał, że wszystko jest źle i do niczego. W r. 1941 kierownikiem wydziału budowlanego został Löhr. Ustąpił on z urzędu wskutek zatargu z arch. Gutbierem o »Deutsches Haus« w Zamościu. – Najbardziej rzeczowym był inż. Brodauf, który za każdą swą bytnością twierdził, że nic go Zamość nie obchodzi, bo i tak Niemcy dostaną lanie.

W lecie 1943 r. zostały zorganizowane »Technisches Hauptamt«. W Zamościu mieścił się taki urząd na 5 powiatów (hrubieszowski, biłgorajski, zamojski, chełmski i krasnostawski), do którego i ja zostałem przeniesiony ze starostwa. Była to kompletna »lipa« albo, jak nazwał jeden z Volksdeutschy chorwackich, »Aktenschiebung« czyli przesuwania papierów. Urzędowanie trwało od 8 do 18 z półgodziną przerwą na obiad. – Kierownikiem działu budowlanego był Rhode, nauczyciel ze szkoły rzemiosł, kompletny ignorant w dziale budownictwa. – W marcu przyjechał na to stanowisko budowniczy Maurer, który nie przejmował się zbyt pracą i tylko szukał okazji do pijatyki. W czasie wyjazdów do sąsiednich powiatów obładowywał się bronią wypełniając kieszenie granatami.

»Technisches Hauptamt« w popłochu wyemigrował z Zamościa do Radomia w dniu 16 lipca 1944 r., t. j. na 8 dni przed wejściem wojsk sowieckich do Zamościa.

Z e s t a w i e n i e
budynków spalonych w czasie działań wojennych 1939–1944

Lp.	G M I N A	Domy mieszk.	Stodoły	Obory i Stajnie	Szopy	Razem
1.	Krasnobród	112	94	102	47	355
2.	Łabunie	243	244	198	124	809
3.	Mokre	328	355	381	49	1113
4.	Nielisz	54	57	47	7	165
5.	Nowa Osada	71	48	51	18	188
6.	Radecznica	73	77	73	66	289
7.	Skierbieszów	301	317	240	—	858
8.	Stary Zamość	51	36	60	5	152
9.	Suchowola	202	131	142	49	524
10.	Sułów	85	74	92	26	277
11.	Szczepieszyn	7	19	13	3	42
12.	Tereszpol	118	99	120	81	418
13.	Wysokie	297	306	307	126	1036
14.	Zamość	17	13	15	10	55
15.	Zwierzyniec	463	162	542	—	1167
	Ogółem	2422	2032	2383	611	7448

BRONISŁAW STEFAN TYSZKA

Z NOTATNIKA PARTYZANTA

Autor urodził się dn. 22.XII. 1923 r. Przed wojną uczęszczał do gimnazjum w Zamościu. W lecie 1944 r. poszedł »do lasu«. Zginął w lasach józefowskich pod Osuchami pod koniec czerwca 1944 r. – Przy zwłokach, które długi czas leżały nieopogrzebane, znaleziono mały notes o rozmiarach 6,5 X 9»5 cm. Oprócz różnych notatek dotyczących rozegranych partyj szachów zawiera on krótki dzienniczek poległego. Pierwsze 24 stroniczki to są właściwie zbutwiałe szczątki poszczególnych kartek. Rozsypują się one na drobny proch. Odczytanie całości jest zupełnie niemożliwe. Z wielkim trudem dało się odczytać tylko niektóre zdania i oderwane słowa. Dalsze stroniczki są już zachowane znacznie lepiej i przy bardzo wyraźnym charakterze pisma autora można je było odczytać bez żadnych luk. – Ogłaszam ten cenny i wzruszający dokument podając w nawiasach litery, których można raczej domyślać się niż wyraźnie odczytać, kropkami zaś oznaczam miejsca całkiem brakujące. Bronisław Tyszka był szarym żołnierzem słabo orientującym się w ogólnej sytuacji wojkowej i mało obeznanym ze stanem oddziałów partyzanckich, wśród których się znalazł. Dlatego też notatki jego zawierają dużo błędów i nieści-

słości. Nie wprowadzałem w nich żadnych poprawek i zmian trzymając się najdokładniej oryginału. Czynię to z rozmysłem, nie zaliczam bowiem tego pamiętniczka do rzędu źródeł historycznych. Widzę w nim jedynie wierne odbicie przeżyć osobistych młodego, ideowego żołnierza, który do ostatniej chwili życia, w pełnej świadomości, że ginie, notował otaczające go zjawiska i wrażenia, jakie przeżywał. A gdy widział, że nie ma dlań ratunku, kreśli już tylko słowa improwizowanej modlitwy. Na niej kończy swe zapiski. Wkłada notes do kieszeni i oczekuje śmierci.

Z. Kl.

...44 r. O ... godz. ... z rodzicami ... tam, gdzie mnie ojczyzna woła. Pożegnania z rodzicami opisywać nie będę. ... pożyczonym ... rowe-rem, (kt... oddałem) ... jedziemy ... zsiadłem z wozu i szedłem dalej piechotą z jednym z kolegów. Usiedliśmy wreszcie koło Płoskiego przy szosie i ... na prawo. ... Idziemy dalej w tym (kie)runku. Spotykamy naszą furę. Czekamy na kolegę ... po niewielu minutach (dopędza) nas. Sia(damy) na furę i ... dojeżdżamy (koń)mi. Stąd pieszo idziemy aż do Bondyrza. Tu przenocowaliśmy i rano dostawszy furmankę jedziemy na G(órecko). Tuż przed ... między Kras(nobro)dem a Zwierzyń(ce)m) ... Przejeź... kolumna sam(ocho)dów niemieckich. Przedostatni samochód zatrzymuje się ... za nim ... i wysiada ... żandarmów ... rezygno... polski granat zaczepny. Ostatnie kule dla nas. Okazało się, że pękła opona... chłopa wysy(łamy) z powrotem, a (sami) skradając się omijamy wokół... przebiegamy chyłkiem tor i zagłębiamy się w głąb lasu kierując się na Górecko. Po krótkim wypoczynku ... jedziemy ze stacji Krasnobród na Majdan Nepyrski i stąd do Józefowa. Tu przenocowaliśmy i kierujemy się do obozu. W Górecku trafiliśmy na furmankę, którą jechał por. War i (kilku) porucz., do któr(ych) zameldowaliśmy się. Pozwolono nam przysiąc się i po krótkiej chwili znaleźliśmy się we właściwym obozie. Tu zameldowaliśmy się dowódcy kompanii por. Topoli.¹⁾ Jestem tu znany pod pseudonimem W(łóczęga).

Obóz partyzancki w Helacinie. Jestem już 3 dni w obozie. Bardzo dodatniego wrażenia nie odniosłem. Ludzie wynędzn(iali), ubrani jak kto może. Ale jest to najdzielniejszy oddział w całym ... Ćwiczą nas co dzień (prz)ygotowując na (po)doficerów. Jeszcze (nie) zafasowałem ... i broni. Życie i ... upływają (mo)notonnie. ...

17 ma podobno przyjechać por. Grom. Spodziewamy się jakichś zmian. Dziś był u nas major »Kalina«²⁾, dowódca na okręg lubelski.

¹⁾ Poległ w walce z Niemcami 26.VI.1944. (Przyp. red.).

²⁾ Poległ w tej samej bitwie. (Przyp. red.).

Zlustrował ... zadawał nam pytania z sprawami wojskowymi związane. Spodziewamy się przydziału broni ... i maszynowej ... Niedaleko nas (pozo)stają sowieci ... kilku do nich na wódkę. Popili się i narobili awantury strzelając z rewolweru. Przy apelu i raporcie dostaliśmy surową naganę. – Pewnej niedzieli stojąc na warcie od 3-ej do 5-ej zastrzeliłem z Kb zająca i narobiłem alarmu. Przybiegł służbowy (i) porucznik Topola. ...wano mi srogą naganę za alarm w pobliżu Niemców. W rezultacie okazało się, że dostałem za karę: wyczyszczenie końskiego munsztuka. Porucznik Topola (zga)nił za alarm i jednocześnie pochwalił za piękny strzał.

Parę dni upłynęło na spokojnym obozowym zajęciu. We wtorek wieczorem poszliśmy w 2-ch na ubezpieczenie minierów, którzy mieli podminować pewien most szosy Zwierz. – Biłgoraj. ... Godz. 3-cia rano wyruszyliśmy do (mos)tu. Minierzy zamiast nam dać znać i ... usunęli się po cichu: tchórze. W obozie było ostre pogotowie. Drugiego wieczora poszliśmy w (inne) miejsce (na) Bukownicę. Szedłem z Niedźwiedziem jako szperacz. Podprowadziliśmy oddział pod samą wieś i wynaleźliśmy stanowiska. Mieliśmy z sobą 6 kar. maszynowych. Przez nieostrożność Niedźwiedzia zauważono nas. Około 30 Niemców zaczęło posuwać się w stronę lasu chcąc nas zająć z boku; wycofaliśmy się ostrożnie. Minierzy na gwałt podminowali most i wycofaliśmy się dalej w kierunku drugiego mostu, ubezpieczyliśmy minierów, którzy ... Cały oddział znajdował się za rzeką. Tylko ubezpieczenie składające się z 7-iu ludzi pozostało po stronie Niemców. Z nimi znajdowałem się i ja. Mieliśmy 1 RKM i 1 LKM. Reszta miała kabeki. W międzyczasie ... obrzucono miejsce, w którym znajdowaliśmy się przedtem, granatami wyrzuconymi z granatników. Wreszcie kazano nam się wycofać, co natychmiast uczyniliśmy. Wysadziliśmy most i uciążliwym kilkudziesięciom(inutowym) marszem dostaliśmy się do obozu. Natychmiast oznajmiono nam, że jest ostre pogotowie i prawdopodobnie wymaszerujemy z całym obozem, gdyż na wszystkie lasy idzie potężna niemiecka obława na partyzantów. I rzeczywiście wymaszerowaliśmy, jakichś 500 ludzi. Komendę objął ppor. Topola. O jakieś 3 klm. od obozu zajęliśmy stanowiska obr(on-ne) szykując się do walki. Stanowiska mieliśmy dobre i możliwość obstrzału z osłoną. Czekaliśmy na ... wreszcie usłyszeliśmy liczne głosy. Proch, który (rozkazywał), nakazał wycofać się grupami. A to z tego powodu, iż usłyszeliśmy strzelaninę i liczne okrzyki niemieckie. Przy-

jechał goniec i oświadczył, iż porucznik Topola gdzieś ... Ordynans jego, obydwa ... zastrzelony.

(Sta)liśmy na ochotnika w 10-ciu z Prochem. Oczywiście sam (Za)mość. W ostatniej chwili mieliśmy się wycofać oddawszy kilka strażów m kierunku Niemców. Byli(śmy) ubezpieczeniem, inaczej strażą tylną. W chwili wycofywania się nadjechał por. Topola i wraz z nim pojechaliśmy za resztą oddziału. Ja i Żbik byliśmy szperaczami. Wkrótce połączyliśmy się z resztą oddziału i poszliśmy do obozu por. Woyny.¹⁾ Oddział ten, można powiedzieć, był oddziałem reprezentacyjnym ... umundurowany ... zamiast kabeków M. Pi. – maszynowe pistolety t. zw. »Schmeisery«. Przed obozem o 1 klm por. zatrzymał wojsko, ... straż tylną i poszedł do obozu (w) odległości 300 mtr. ..., porucznik dał mi ... żebym je odniósł Prochowi, pod którego kolumną została straż złożona z 10 ludzi i wziął od niego P.. i odniósł je porucznikowi. Drogami ... pistolety, oddaliłem się w kierunku lasu. Naraz stamtąd (roz)legło się granie licznych maszyn i kule zaczęły gwizdać wokół. Granatniki zaczęły wyrzucać niezliczoną ilość ... niemieckie granaty. Miałem drogę do obozu odciętą. Do wyboru miałem dwie możliwości – albo przedzierać się przez zasięg pocisków artyleryjskich albo pójść z powrotem do Procha. Wybrałem to drugie. Gdy ten mnie ujrział spy(tał) (sta)nowczym tonem, co z towarzyszącymi. (Czy) sam? – Sam – odpowiadam. Myślał zapewne, że dotarłszy już do obozu, a usłyszawszy świst kul ze strachu uciekłem. Domyśliłem się tego i wytłumaczyłem mu jak sprawa ...

Teraz dopiero rozpoczął się konc(ert). Ujrzeliśmy w pobliżu nas Niemców. Byliśmy otoczeni z trzech stron przez Niemców, czwarta była zamknięta przez rwące się pociski artyleryjskie. Przedzieraliśmy się przez to pole dążąc w kierunku strażów. Niestety te zaczęły się oddalać, wreszcie umilkły. Musieliśmy kierować się instynktem. Lasu nikt nie znał. Byliśmy piekielnie głodni. Mam menażkę cukru ... ssimy. Dotarliśmy do obozu Woyny. Był opustoszały. Skierowaliśmy się na ślady prowadzące przez bagno. Śladami tymi wlecemy się po kostki w wodzie. Dotarliśmy do Okna. Jest to wyrąb, a na nim stoi spalona gajówka. Znaleźliśmy tu dr(uty) telefonu wojskowego. Mamy nadzieję, że teraz trafimy do jakiegoś obozu. I rzeczywiście po godzinie mę(ki) dotarliśmy do placówek majora Wira. Wskazano nam miejsce

¹⁾ Poległ 26.VI.1944 pod Osuchami (*Przyp. red.*).

postoju por. Topoli. Ten przyjął nas prawie z płaczem. Miał nas za straconych. Posililiśmy się chlebem i cukrem i natychmiast szykowaliśmy się do nowego marszu. Było nas tu więcej niż tysiąc. Różne placówki. Ciągłe przez bagna poszliśmy dalej. Szliśmy parę uciążliwych dni ... po potężnych bagnach, głodni i niewyspani. Nie rozumiem dlaczego dowództwo nasze nie przyjmuje walki z Niemcami w celu przebicia się przez linie niemieckie na drugą stronę.

Dochodzą nas pogłoski, że idziemy w Karpaty. Dotarliśmy pod Józefów od strony Hamerni. Była noc. Rozlokowaliśmy się na nocleg. W nocy sowieli przedzierali się przez linie niemieckie. Stracili kilkadziesiąt ludzi i cofnęli się. Rano dostaliśmy gorącej grochówki i czarnej kawy. Pierwsza gorąca strawa od kilku mozolnych dni. Około południa przeprawiliśmy się przez most. Pluton nasz stanowił ubezpieczenie tylne. Zajęliśmy stanowiska na wysokim przeciwnym brzegu tuż przy moście. O godz. 6-tej wieczorem wyszedłem na patrol z podchor. Prochem i ze strz. Bizonem na drugą stronę rzeki. Usłyszeliśmy warkot motorów i po krótkiej chwili ujrzeliśmy samochody pancerne wyłaniające się z lasu. Było ich trzy. Od razu rozpoczęły ogień na drugi brzeg, Bizun jak łącznik pobiegł do majora, a ja z Prochem usunęliśmy się na drugi brzeg rzeki. Po krótkiej chwili ujrzeliśmy naszą armię dążącą na stanowiska. Nieśli ze sobą działka pancerne i »Piaty« – P. I. A. T. – angielski skrót miotaczy przeciwpancernych, wyrzucających pociski zdolne przebić pancerz do 100 mm grubości ale tylko z odległości 100 mtr.

Zaczął się huraganowy ogień. Prawdziwy koncert śmierci. Zająłem stanowisko za zrąbanym pniakiem. Lepszego wyszukać nie mogłem, kule gwizdały i rwały się pociski armatnie. Ślicznie szli do ataku nasi chłopcy z prawego skrzydła. Ja stałem na lewym, a lewe broniło przeprawy przez bród. Razem z żołnierzami szły w pierwszej prawie linii sanitariuszki, które miały za zadanie przenosić rannych na tyły do taboru. Szalona bitwa trwała przeszło godzinę. Skończyła się o godzinie 19.15 (?). Niemcy zostali zmuszeni do ucieczki. Major rozkazał wymarsz obawiając się artylerii. Miał rację. Po wycofaniu się, a został tylko nasz pluton, zaczęło się ostrzeliwanie artyleryjskie. Mieliśmy rozkaz opuścić nasze stanowiska o godz. 22 i podążyć za armią. Tak też i zrobiliśmy. Po godz. przeprawy przez bagna dotarliśmy do armii. Tu odpoczynek do samego rana. Bolszewicy zaczę-

li się przedzierać w nocy. Podobno się przedarli. Rano zostawiono wozy, zabrano konie, żywność, rozdano nam cukier i zapuściliśmy się w lasy. Stąd jednak po krótkim odpoczynku zapuściliśmy się w bagna na Osuchach. Przesiedzieliśmy do wieczora, głodni, żywiąc się odrobinami cukru i piekielnie przemęczeni. Wieczorem wymarsz. Dowództwo podało nam do wiadomości, że idziemy przekraść się przez linie niemieckie. Strzelać wzbroniono. Po trzech godzinach dotarliśmy pod same linie. Skradamy się po cichu. Lecz jest to niemożliwym ze względu na wielką masę żołnierstwa idącą w ciemną noc przez las. Naraz obsypano nas kulami z karabinów maszynowych. Padliśmy na ziemię. Dowództwo się zawahało, czy iść przebojem, czy po cichu nie oddawszy ani jednego strzału. Wybrano to drugie. Wycofywano się szybko. Oddziały pogubiły się. Każdy szedł na swoją rękę. Ja ze Żbikiem i pchor. Prochem trzymałem się razem. Zaszła między nami umowa, że we trzech zaszyjemy się w bagna i przeczekamy o cukrze i wodzie całą niemiecką akcję. Przyłączyło się do nas jeszcze kilku i jeden taki, co zna te okolice. Prowadził nas w kierunku Józefowa. Zbłądziliśmy. Teraz idziemy na południe orientując się za pomocą gwiazd. Weszliśmy w obszerne bagna. Tu zmęczeni zaszyliśmy się w krzaki. Zamierzamy tu przeczekać akcję.

Cały dzień siedząc w niewygodnej pozycji czuвам. Jest, zdaje się, niedziela. Od samej północy do godz. 18-tej rozbrzmiewają strzały. O godzinie tej umilkły, a rozpoczęła się obława, którą wyraźnie słyszemy. Ufamy w Boga, że nas szczęśliwie przechowa w tym bagnie i nie wyda w ręce katów niemieckich. Spraw to, o Panie Boże, zlituj się nad grzesznikami Twymi, wybaw nas z nieszczęścia tego, a będę Cię chwalił po wieki wieków. Proś Matko Najświętsza za nami, o łaskę nad nami u Chrystusa Pana Syna Twego, który Tobie jest nieskończenie posłuszny. Matko Nieustającej Pomocy, zmiłuj się nad nami, a czynię ślub, iż jeżeli nas wyzwolisz z nieszczęścia tego, przez 9 pierwszych piątków miesiąca ku chwale Twojej będę uczęszczał do spowiedzi i do Komunii Św. Zbaw nas Matko Nieustającej Pomocy, a będę Cię chwalił po wieki wieków.

SKOROWIDZ NAZWISK

- Adamowicz 32.
Amborski Dominik 140, 147.
Anders 1, 2, 12.
Arent 106.
Augustyn Stanisław 9.
Babiarz Bolesław 82.
Bakuniakówna Ada 83, 63.
Balicka Jadwiga 78.
Barciszewski 80.
Barda 47, 48.
Bartosz 97.
Bartyzel 17.
Bernat 15, 18, 81.
Betlej 2.
Białówna Halina 83.
Bielecki 147, 149.
Biernacki 87.
Biernacki-Dąb 1.
Bizior 147.
Bizon 164.
Błachewiczowa 95, 96, 99.
Bocian 17, 19.
Bodak 154.
Bombas 12.
Bondygrowa 86.
Boratyn 22.
Borowiński 147.
Borucki 5.
Braunstein 154.
Braunstein 58, 59.
Brenner 159.
Brodauf 159.
Budzyński 125.
Budzyński Jan 125.
Budzyński Michał 125.
Cichocki Adolf 140.
Colb 35-38, 40-44, 73-76, #3
Czajka Jan 107.
Czarneccy 129.
Czarnecka Anna 125.
Czarnecki 15.
Czarnecki Antoni 124.
Czarnecki Józef 125.
Czerski 14, 18.
Danilenko Jewdokia 87—89.
Dobrzański Mieczysław 1.
Doleżał Jan 140.
Dorant Władysław 79.
Dorantowa Janina 79.
Dorosz Czesław 107.
Duch 2.
Dworniczak 140.
Dziuba Stanisław 13.
Ebeling 32, 33.
Emich 18, 19.
Fedorowicz Marian 140.
Fidala 15.
Fijałkowski-Młot 1.
Flak Jan 147.
Flis 71, 73, 76.
Gąsiorowa 86.
Gąska 147.
Gergowich 12.
Gieroba Irena 83.
Głowacki 140 Głowacki 140.
Golec Ludwika 135.
Golec Michał 125.
Gołda 31, 32.

Gortner 149.
 Gościk 19.
 Greła Adam 126.
 Grom 161.
 Grygiel 147.
 Gutbier Wolf 151, 152, 154, 155, 157, 159.

Harlos 122.
 Hepp 147.
 Herman Franciszek 1.

J. C. 121.
 Janicka 87.
 Jonas Feliks 125.
 Jonas Józef 125.

Kalina 161.
 Kalinowska 103.
 Kamińska Jadwiga 27, 28.
 Kamiński 19.
 Karcz 6.
 Karpiński 19.
 Kądzielewski 17, 18.
 Kielar 7.
 Kierepka Leokadia 88—91, 96, 98.
 Kierowski Jan 107.
 Kierowski Zdzisław 107.
 Kisszka Stanisław 147.
 Klaudeł Zbigniew 18, 19.
 Klemdl 83.
 Klimek Adam 150.
 Klukowski Zygmunt VII, 138.
 Kołodziejczyk 147.
 Konarzewski 18.
 Korga Władysław 107.
 Kossak 152.
 Kostrubała 19 Kowal 73, 76.
 Kowalczyk 141,
 Kowalewska 81.
 Kowalewski Lucjan 80, 82.
 Kozłowski 147.
 Krajewska Janina 90.
 Krasulanka Irena 26, 28, 29, 32, 39.
 Krasulanka Maria 34.
 Krasulanki 67.
 Kraus Andreas 145.
 Kremarenko 29.
 Krukowski Feliks 140.

Kruszewski 1.
 Kruger 20.
 Krzeszowscy 145.
 Książd Eugeniusz 126.
 Książd Władysław 126.
 Kudyk 105.
 Kukułowicz 105.

Lembrych Jan 23, 26, 28, 29.
 Lesiecki Józef 107.
 Leśniak Michał 104.
 Lóhr 155, 159.
 Lucht 153.
 Lucht 157.

Łagoźny Piotr 127.

Machałkówna Felicja 84, 85, 88, 91
 Maciukiewicz Jan 26, 27.
 Majewski 37, 38, 41—43.
 Malinowski 22.
 Margasińska 89.
 Marzec Stanisław 107.
 Maślowski 141, 142.
 Matejko 18.
 Maurer 159.
 Mazur E. 157.
 Mazurek Bolesław 49, 50, 81.
 Michalik 22.
 Michalski Zenon VII.
 Mikołajczyk 85.
 Miler Stefan 13.
 Mirski Jan 108.
 Mokrzyński 158.
 Mrozik 36.
 Muszyńska Hilda 90.
 Müller 16.

Naszyński Wit 140.
 Niedźwiedź 162.
 Nosewicz 16.
 Nowacki 15.
 Nowakówna Stanisława 9.

Olbrycht Bruno 2.
 Oldan 48.
 Ostaszewski Marian Artur 106.
 Ostrowski Ignacy 147.

Osuch 22, 49.

Pacyk Mikołaj 127.

Pacześny Jan 124.

Palmowska Stanisława VII.

Paszkowski 108.

Pieczonka 71.

Pieczykolan Franciszek 107.

Pieczykolan Józef 107.

Pieczykolan Tadeusz 107.

Pietruszka p. Schriede. Pietruszka Bernard 107.

Pietruszka Władysław 107.

Pilarska Halina 91, 97—99.

Piłatówna Stanisława 92.

Podkowa 30.

Pogrebna 91.

Postulski 140.

Proch 162 -165.

Przeździecki 19.

Radomska Maria 88, 89, 91.

Rhode 159.

Ritter 12.

Rocznik 69, 70, 76, 78.

Romaszko Jan 126.

Rosiński Henryk VI,

Różyło 125.

Różyło Stefania 125.

Różyło Władysław 124.

Rugała Jan 107.

Ruszczycka Anna 125.

Ruszczycki Czesław 124.

Ruszczycki Franciszek 124.

Riimker 159.

Rypin 147.

Rzeszutko Józef 29, 30.

Rzeszutko Wacław 29.

Sałowacki 4 - 6.

Schiber 159.

Schmidt 83.

Schriede v. Pietruszka 22.

Sikorski Jan 107.

Sikorski Józef 107.

Skiba Józef 107.

Skierkowski 2, 4, 5.

Skórczyński 150.

Skuratowicz Wacław 21, 49.

Smarzewski Jan 68.

Smolny 16.

Sokołowski Zygmunt VII.

Sosnkowski 1.

Spisacki 15, 16.

Stalin 87.

Star 132.

Starzyński 154.

Sygit 150.

Szebesta Adam 10, 12.

Szepietowski 144.

Szpara 122.

Szuty Leonard 129.

Świstek 125.

Świtajowa Kazimiera 130.

Tanzhaus 88.

Taraszkiewicz 4, 6, 8.

Thuman 63.

Tobaszewska Genowefa 88, 89.

Tokarz Jan 107.

Tomasikówny 90.

Topola 161-164.

Trautwein Waldemar 22-25, 28, 31 106.

Tyczkowski Julian 158.

Tyszka Bronisław Stefan 160 - 161

Tyszko 23.

Voss 151.

Walczak 123.

Walicka 89.

Waligórska Stefania 94, 96, 98, 99

War 161.

Wattman 90.

Wawrzkowicz Kazimierz 140.

Wawrzyszak 17.

Wazowski Michał VI.

Weihenmaier Helmut 151.

Węgierski Stanisław 144.

Węgrzyn 19.

Więclaw 71, 76.

Winnicki 141.

Wir 163.

Wiśniewski 13.

Witkowski Franciszek 87.
 Włóczęga p. Tyszka Bronisław Stefan.
 Wnuk Bolesław 13, 15, 18, 19.
 Wolanin Józef 107.
 Wolanin Józef 107.
 Woyna 163.
 Wójcik 16
 Wójtowicz 147.

Zaburska Tekla 126.
 Zalejska Janina 89-91, 96, 98, 99, 103.
 Zaremba Tadeusz 151, 152, 156, 158.
 Zeig 28, 31-34.
 Zimmer 158.
 Zipser 153.

 Żbik 163, 165.
 Żeromski 33.
 Żmigrodzki 87,88

SPIS RZECZY

	Str.
Przedmowa wydawcy i redaktora	V
Łabunie i Suchowola	1
Nowakówna Stanisława. Szpital polowy Nr 502 w Krasnobrodzie	9
Miler Stefan. Przeżycia więzienne	13
Skuratowicz Wacław. Ze wspomnień więźnia	21
Krasulanka Maria. Z więziennych wspomnień	34
Smarzewski Jan. Ze wspomnień o więzieniu w Biłgoraju	68
Dorantowa Janina. Wspomnienia z więzienia w Zamościu i Lublinie	79
Piłatówna Stanisława. Moje przeżycia w więzieniu	92
Leśniak Michał. Egzekucja w Potoczku	104
* * * Egzekucja w Zwierzyńcu	106
Mirski Jan. Wysiedlanie w powiecie zamojskim	108
J. C. Wyszczepanie Skierbieszowa	121
Pacześny Jan. Akcja pacyfikacji w Wywłoczce w 1943 r.	124
Świtajowa Kazimiera. Pacyfikacja wsi Sochy	130
Star. Wyszczepanie i pacyfikacji gminy Aleksandrów w 1943 r.	132
Dr Klukowski Zygmunt. Wyszczepanie Szczepieszyna i utworzenie gminy niemieckiej	138
Inż. Klimek Adam. Budownictwo w powiecie zamojskim podczas okupacji niemieckiej	150
Tyszkiewicz Bronisław Stefan. Z notatnika partyzanta	160
Skorowidz nazwisk	167

